

*RUTH LANGAN*

JASNY NEFRYT

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*San Francisco*

1867

- Jedź ze mną do Teksasu, Ahn Lin. Tam jest twoje miejsce. - Onyx Jewel leżał w zmiętej pościeli, a jego twarz wyrażała pełną satysfakcję.

- Wiesz, że nie mogę. - Piękna kobieta o skośnych oczach narzuciła bordowe kimono haftowane w lecące żurawie, po czym starannie przewiązała się szarfą w talii.

Patrzył na nią. Wszystko w niej było pełne wdzięku i doskonałe. Zarys jędrnych piersi, miękka linia bioder, ułożenie fałd szaty.

Ahn Lin była niczym cienisty gaj w upalne południe. Już samo patrzeć na nią przynosiło rozkosz i ochłodę. Szczupła, delikatna, doskonale uformowana. Kruczoczarne włosy sięgały niżej pasa. Nabrzmiące wargi kusiły obietnicą pocałunków. Przepastne oczy zdawały się przenikać w głąb duszy mężczyzny.

- Nie możesz czy nie chcesz? - W jego głosie dawał się zauważyć ślad rozleniwienia.

Zamiast udzielić mu odpowiedzi, położyła na nocnej szafce tacę z egzotycznymi owocami. Granaty, winogrona, owoce mango sąsiadowały z płodami tropików, których nazw nawet nie znał. Do portu San Francisco przybyły w okrętowych ładowniach, a stanowiły tylko drobną część bogactw, które napływały tu z całego świata.

„Złoty Smok”, wytworny dom uciech, którego dewizą było dostarczanie mężczyznom wszystkich zmysłowych rozkoszy, stanowił jakby miniaturę całego miasta, znanego z rozrywek i zbytków. Gabinety niczym właściwie nie różniły się od pokoi sypialnych w magnackich rezydencjach, a tureckie dywany, irlandzkie szkła, chińskie jedwabie i belgijskie koronki zaświadczały o epoce prosperity i zamożności klientów.

- Jedz - rzekła ze spokojnym uśmiechem. - To ułagodzi tę bestię w tobie.

- Jest tylko jedna rzecz, zdolna tego dokonać. - Ujął ją za rękę, ona zaś, jak zawsze, zdumiała się siłą, jaka drzemała w tym Teksasńczyku, który ukradł jej serce.

Była właścicielką „Złotego Smoka”, co nie znaczy, że utrzymywała z klientami jakiegokolwiek inne stosunki poza towarzyskimi. Wyjątek uczyniła dla Onyxa. Ten hodowca bydła i nie znający strachu awanturник podbił ją, gdy na niego po raz pierwszy spojrzała.

- Rozmawialiśmy już o tym. - Głos Ahn Lin zachował melodykę jej ojczystego języka. - Dlaczego musisz wciąż powracać do tego tematu?

Przyciągnął ją bliżej i spojrzał w oczy.

- Ten ślub był tylko formalnością. Na miłość boską, Ahn Lin, miałas wtedy zaledwie trzy lata. Był przyjacielem twojego dziadka. Teraz musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat.

- To nie ma nic do rzeczy. Dokąd żyje, należę do niego, a on należy do mnie. Podchodzę z szacunkiem do tradycji.

- Do diabła z tą waszą tradycją! - W Jewelu odezwał się nieokrzesany awanturnik. - On nigdy nie opuści Chin, ty nigdy do Chin nie wrócisz.

Położyła dłoń na jego obnażonym torsie. Wyczuła przyspieszone bicie serca. Jej serce też biło jak szalone. Pragnęła go. Każdego dnia i w każdej minucie. Wystarczyło jej dotknąć go, ażeby cała reszta stała się jasna i oczywista.

- Nie prosź mnie o rzeczy, których nie mogę ci dać. Czy nie wystarcza ci, że jesteś jedynym mężczyzną mojego życia? I że damę ci coś, czego tamten nigdy nie otrzymał?

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi, ciche i nieśmiałe.

Ahn Lin wyprostowała się i odsunęła od łóżka.

- Proszę - rzekła.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich stara kobieta w tradycyjnym chińskim stroju. Weszła, wprowadzając świeżą jak poranek i pełną ujmującego wdzięku dziewczynę.

Dziewczę zatrzymało się na środku pokoju, złożyło dłonie jak do modlitwy i pochyliło głowę, wbijając wzrok w jeden punkt na dywanie.

- Przyjm moje pozdrowienie, czcigodny ojcze.

Ahn Lin klasnęła w dłonie i dziewczyna się wyprostowała.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki, ciepły uśmiech.

- Zbliź się, Jasny Nefrycie, i pocałuj mnie.

Ahn Lin cofnęła się o krok, dając przejście córce. Jasny Nefryt pofrunęła i przywarła ustami do ojcowskiej dłoni. Jewel pogładził ją po włosach, smolistych jak u matki. Jeszcze tylko niewielkim wzrostem przypominała Ahn Lin. Bo już jej twarz, jeśli pominąć lekko podłużny wykrój oczu, nosiła wszelkie znamiona dziedzictwa po mieczu.

Ta młoda piękność stanowiła harmonijne połączenie dwóch kultur, prastarej i wyrafinowanej kultury chińskiej oraz chrześcijańskiej kultury europejskiej, przeszczepionej na grunt amerykański. Jasny Nefryt znała smak i wagę wolności i, w odróżnieniu od swojej matki, nie umiałaby bez niej żyć. Uosobieniem i symbolem wolności w jej oczach był zuchwały Teksaszczyk, właściciel ogromnych stad bydła, jej ojciec.

- Jak długo pozostaniesz, ojcze? - szepnęła dziewczyna, gdy tulił ją do siebie.

- Wyjeżdżam rankiem - odparł i spojrzał na Ahn Lin.

Wiedział, że sprawił jej ból tymi słowami, ale nic na to nie mógł poradzić. Było ironią losu, że on, milioner i doradca samego prezydenta w sprawach rolnictwa i hodowli, nie mógł przekonać jednej małej

upartej kobietki, żeby rzuciła San Francisco i przeniosła się razem z nim do Teksasu, gdzie mogliby żyć jak prawdziwa rodzina.

- Czy będę miała sposobność zobaczenia cię jeszcze, ojcze?

Pogładził ją po włosach i musnął ustami jej skronie.

- Wiesz, że tak. Mam dla ciebie urodzinowy prezent.

- Prezent?

- Jest tylko jeden taki dzień, kiedy moja córka kończy szesnaście lat.

Jasny Nefryt aż klasnęła w dłonie z radości. Zaraz jednak, jakby przypominając sobie, że młodej panie nie wypada zbyt żywiołowo okazywać swych uczuć, przybrała ceremonialną pozę pożegnania.

- Życzę miłego dnia, czcigodny ojcze - powiedziała, po czym pokłoniwszy się obojgu rodzicom, lekkim krokiem opuściła pokój.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią i jej starą opiekunką, zapadła niezręczna cisza. Onyx Jewel wyciągnął rękę, zaś Ahn Lin posłusznie odpowiedziała na ten gest. Oboje wiedzieli, że przeżycia i doznania dnia dzisiejszego będą musiały im wystarczyć aż do następnego spotkania.

Jeżeli los łaskawie ofiaruje im taką sposobność.

Jasny Nefryt zajmowała odrębny apartament w części oddzielonej od reszty budynku. Podniecona, chodziła teraz tam i z powrotem po swoich pokojach i myślała o ojcu. Widziała jego poranny przyjazd

oraz moment, kiedy wchodził do środka z całym naręczem tajemniczych paczek i pudełek. Jak zawsze udał się wprost do apartamentu matki, gdzie znikł na cały dzień.

Jasny Nefryt od dzieciństwa uczyła się panowania nad niecierpliwością i maskowania prawdziwych uczuć. Ale dzisiaj nie udało się jej trzymać uczuć na wodzy. Była tak roztargniona na lekcji francuskiego, że jej nauczycielka w rozpaczy załamywała ręce. Gdy ciotka Lily wysłała ją w towarzystwie kucharki po świeżą rybę, jej drobne stopy frunęły nad ziemią. Kiedy zaś wróciła i dowiedziała się, że ojciec i matka wciąż przebywają ze sobą za zamkniętymi drzwiami, wpadła w zły humor i odmówiła zjedzenia lunchu, mimo że duszony z korzeniami kurczak z ryżem stanowił jej ulubione danie.

Teraz ojciec zapewnił ją, że przed jego wyjazdem będzie go miała przez jakiś czas dla siebie - tym bardziej więc niepokoiła się upływającymi godzinami. Nastał już wieczór i wciąż żadnego sygnału.

Wreszcie została wezwana. Rodzice czekali na nią. Onyx Jewel i Ahn Lin pokazali jej twarze, z których biła promienna radość.

Jasny Nefryt rzuciła się ojcu w ramiona.

- Stęskniłam się za tobą, ojczu. Tak długo cię nie było.

- Wiem, lecz liczę na wybaczenie z twojej strony.

Chłoneła wszystkimi zmysłami drzemiącą w nim siłę i jego spokojną czułość, a jej serce przepełniało się bólem miłości.

- A może byśmy tak zajęli się wreszcie otwieraniem prezentów? - Podprowadził ją do łóżka, zarzuconego paczkami, paczuszkami i pudełkami.

Z wesołym śmiechem jąta rozplątywać wstążki i sznurki, odwijać papiery i unosić wieczka. Ukazywały się eleganckie sukienki z Nowego Jorku, czepeczki z Paryża, parasolki z Londynu. Różane i fiołkowe mydła, jak również pachnidła Wschodu. Pantofle z cielęcej skóry, pantofelki z ałtasu i zimowe trzewiki na futrze. A wreszcie lamowana gronostajami peleryna, bardzo przydatna na te dni, gdy od zatoki nadciągały przejmujące wiatry.

Każdy prezent był dla Jasnego Nefrytu nowym zaskoczeniem i nową radością. Uściskała ojca najmocniej, jak zdołała.

- Pomyślałem, że to mogłabyś nałożyć już dzisiaj - rzekł, podając jej jeszcze jedną paczkę.

Z kilku warstw papieru wynurzyła się tradycyjna chińska szata z błyszczącego zielonego jedwabiu.

- Ojciec, brak mi słów. To jest takie piękne.

- Na pewno nie piękniejsze od ciebie, Jasny Nefrycie. Wyrosłaś na prześliczną młodą kobietę. Prawie tak piękną, jak twoja matka.

Większej pochwały z ust ojca nie mogła już oczekiwać. Jasny Nefryt poczuła, że jeszcze chwila, a rozpłacze się ze wzruszenia i dumy.

- A teraz proponuję, żebyśmy zjedli razem na dole urodzinową kolację - rzekł ojciec.

Na dole. Czyli razem z gośćmi. Doprawdy, rzadka to była dla niej okazja otrzeć się o towarzystwo. Wy-



chowała się i wyrosła w tym domu, ale trzymano ją z dala od życia, jakie toczyło się na parterze i piętrach tamtego skrzydła.

- Dziękuję za zaproszenie, czcigodny ojciec. - Jasny Nefryt nieśmiało spojrzała na matkę i zobaczyła na jej twarzy niemiłe zaskoczenie.

- Ja i twoja matka już schodzimy. Dołączysz do nas, gdy będziesz gotowa.

Onyx Jewel wziął Ahn Lin pod rękę i wyszli z pokoju.

Kiedy została sama, Jasny Nefryt puściła się w płasy. Czuła się taka szczęśliwa. Ojciec obsypał ją prezentami i powiedział, że urodą niemal dorównuje matce.

Przyszła pokojówka, która miała asystować jej przy toalecie. Rozległ się rozkoszny dla ucha szelest jedwabiu; zielona szata ślicznie ułożyła się na ciele. A potem trzeba było uczesać i utrefić włosy. Spojrzawszy w lustro, Jasny Nefryt zobaczyła kogoś zupełnie innego. Już nie dziewczę, tylko kobietę. Albo może zadziałała tu tylko jej wyobraźnia?

Śmiejąc się, wybiegła tanecznym krokiem z pokoju i puściła się w dół po schodach. Wpadła do ogólnej sali. Poczowała zapach paryskich perfum, kadzideł i dymu cygar. Chrapliwe męskie głosy mieszały się z kobiecymi chichotami. Dźwięczało szkło. Gdzieś w tle przygrywał trzosobowy zespół muzyczny. Lutnia, skrzypce i fortepian. A wszystko to po to, by gość mógł zapomnieć o problemach i troskach, z którymi

borykał się w świecie znajdującym się poza ścianami tego domu.

Instynktownie lękając się zanurzyć w tę gęstą od zapachów i dymów przestrzeń, Jasny Nefryt rzuciła się w drzwi po prawej stronie. Znalazła się w sali wprawdzie trochę mniej zatłoczonej, ale też pełnej dziwnych zapachów i tonącej w blasku świec. Przy przeciwległej ścianie wokół okrągłego stolika siedziało kilku mężczyzn, bawiąc się grą w karty. Bank trzymała młoda kobieta w błyszczącej sukience.

Jasny Nefryt chciała się już wycofać, gdy jeden z mężczyzn odwrócił głowę i spojrzał w jej kierunku. Rzecz dziwna, poczuła się jak sparaliżowana.

Nie miał na sobie, jak inni mężczyźni, stroju dżentelmena, tylko ubranie, jakie noszą poszukiwacze przygód. Ale i od nich się różnił, gdyż za wyjątkiem postrzępionej i wytartej skórzanej bluzy traperów, wszystko inne miał w czarnym kolorze. Czarna koszula, czarna kamizelka, czarne spodnie i czarne buty. Na głowie tkwił czarny kapelusz z szerokimi kresami, spod których wysypywała się grzywa złotych włosów. Policzki i brodę pokrywał kilkudniowy rudawy zarost, maskując rysy. Ale widać było zarówno jego pełne i zmysłowe wargi, wykrzywione w leniwym uśmiechu, jak i błyszczące jak u dzikiego kota oczy. Z cygara, które trzymał w palcach, spiralną smużką unosił się dym. Na serdecznym palcu prawej dłoni nosił złoty pierścień z bursztynem. Na stoliku przed nim piętrzyła się góra że-

tonów i było oczywiste, kto wygrywa w tym towarzystwie.

Jasny Nefryt wyrosła w domu, który dostarczał rozrywek i przyjemności również i takim mężczyznom. Ale żaden z nich dotąd, mimo iż od czasu do czasu natykała się na nich, nie wzbudził jej najmniejszego zainteresowania. Teraz było inaczej, gdyż nie mogła się ruszyć, a nawet trudno jej było odetchnąć. Człowiek w czarnym kapeluszu i z pierścieniem z bursztynem był najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Więc tutaj jesteś, Jasny Nefrycie. - Ahn Lin i Onyx Jewel stanęli u jej boku. - Chodźmy do naszego gabinetu.

Pozbawiona okna wnęka, do której zawiedli ją rodzice, przylegała do sali, w której toczyła się gra. Podano kolację. Jasny Nefryt jadła z apetytem. Przez cały czas czuła na sobie spojrzenie nieznanego. Nawet gdy na pierwszy rzut oka zdawał się być zaabsorbowany grą, coś jej szeptało do ucha, że myśli bardziej o niej niż o kartach. Przepęłniała ją wesołość; tak czują się ptaki, kiedy ustanie deszcz i zaświeci słońce.

A potem na stole pojawił się niewielki tort ze świeczkami. Jasny Nefryt zamknęła oczy, pomyślała życzenie, nabrała w płuca powietrza i zdmuchnęła wszystkie szesnaście świeczek.

- O czym pomyślałaś? - zapytała Ahn Lin.

Jasny Nefryt poczuła, że się rumieni.

- Jeśli odpowie na twoje pytanie, to jej życzenie się nie spełni - zauważył ojciec.

Wdzięczna za to wsparcie, Jasny Nefryt z ulgą odetchnęła. Zawarła bowiem w swoim życzeniu coś, co było jej zabronione, i co jawiło się jej dotąd w aurze niebezpieczeństwa. Nigdy przedtem nie miewała takich pragnień. I wiedziała, że dopuszczając je do siebie, łamie kodeks moralny.

Onyx Jewel sięgnął do kieszeni surduta.

- Mam jeszcze jeden prezent dla ciebie, Jasny Nefrycie. - Trzymał na otwartej dłoni niewielkie jubilerskie puzderko, w którym znajdował się gruby złoty sznur z przyczepionymi doń w kształcie wisiorków dwoma kamieniami, czarnym i zielonym. - Ten czarny to pewna odmiana agatu, ten zielony to nefryt - wyjaśnił. - Jak widzisz, kamienie te symbolizują mnie i ciebie.

Jasny Nefryt poczuła łyzy pod powiekami. Wyciągnęła szyję, chcąc ułatwić ojcu zawieszenie naszyjnika.

Dzieląc jej wzruszenie, Onyx Jewel pocałował córkę w oba policzki. Następnie ujawszy jej dłoń, głęboko spojrzał w oczy.

- Nie mogę być takim ojcem, jakim chciałbym być. Ale wiedz przynajmniej o jednym, moja ukochana córko. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będę z tobą. Nawet gdy opuszczę ten świat, ubłagam niebo i ziemię, by czuwały nad Jasnym Nefrytem.

- Ojczy, najukochańszy ojczy... - Zarzuciła mu rękę na szyję i ukryła twarz na jego piersi.

- Cieszę się, że spodobał ci się mój prezent. Ja...

Nie dokończył, gdyż poczuł czyjaś dłoń na swoim ramieniu. Wyprostował się i spojrzał w bok.

- To niesprawiedliwe...

Mężczyzna, który stał przy jego krześle, ubrany był w nienaganny strój wieczorowy. Przy nakrochmalonym wysokim kołnierzyku koszuli barwił się jedwabny krawat, zaś mankiety ozdobione miał złotymi spinkami z brylantami. W dłoni trzymał gruby plik banknotów. Ale żadne pieniądze nie mogłyby zatrzeć faktu, że był bardzo pijany.

- Oto siedzisz pan z dwiema najpiękniejszymi kobietami pod słońcem. - Mężczyzna cedził słowa dostatecznie głośno, żeby słyszeli je wszyscy znajdujący się na sali. - A ja jestem sam jak ten palec. Liczę więc na męską wyrozumiałość i odstąpienie mi tej młodszej. - Wskazał ręką, w której trzymał plik banknotów na Jasny Nefryt.

Onyx Jewel poderwał się z krzesła i chwycił tamtego za kłapy surduta. Twarz wykrzywił mu gniew.

- Pan właśnie obraził moją rodzinę. Ta młoda dama jest moją córką. A teraz proszę się stąd wynosić. I zapamiętać sobie, że nie ma pan wstępu do „Złotego Smoka”!

W ręku wytwornego mężczyzny pojawiło się coś srebrzystego, co rozbłysło w świetle świec i kandelabrow. I to coś dotykało w tej chwili gorsu koszuli Teksańczyka.

- On ma pistolet! - wykrzyknęła Ahn Lin.

Onyx Jewel cofnął się o krok i sięgnął po broń, mimo iż wiedział, że jest już za późno. Nie zdążył nawet dotknąć kolby, kiedy huknął strzał. A potem zapanowała głucha, niesamowita cisza. Nikt się nie ruszył.

Nikt nie odezwał się ani jednym słowem. Tylko pijany mężczyzna zwałił się z bolesnym jękiem na podłogę.

A przy karcianym stoliku inny mężczyzna, ubrany cały na czarno, stał na lekko rozkraczonych nogach, trzymając w dłoni dymiący rewolwer.

Przez długą chwilę Onyx Jewel i rewolwerowiec patrzyli sobie w oczy. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na dalszy rozwój wypadków. Tymczasem nic się nie wydarzyło. Mężczyzna w czerni schował szybkim ruchem broń do pochwy, dając tym znać, że incydent dobiegł końca. Następnie kocim krokiem podszedł do bocznego stolika, na którym stały trunki, nalał sobie pełną szklankę whisky i wypił ją jednym haustem.

Goście zaczęli wstawać od stolików i podchodzić do leżącego mężczyzny. Onyx Jewel ukląkł i zbadał mu puls.

- Nie żyje. Inaczej... - Nie dokończył, lecz każdy oczywiście zdawał sobie sprawę, że gdyby tamten tajemniczy rewolwerowiec nie zdecydował się na błyskawiczny strzał, to teraz na podłodze w kałuży krwi leżałby człowiek, który stanął w obronie dobrego imienia swej córki.

Jasny Nefryt, blada i do głębi wstrząśnięta, wychwytywała tylko urywki zdań.

- Widziałem go tu już. Nazywa się Nub Harkness...

- Zawsze sprawiał kłopoty...

- Za dużo pił...

- Miałeś pan szczęście, że akurat widział to Nevada, bo inaczej gadałbyś pan teraz ze świętym Piotrem.

Onyx Jewel przeszedł z zaszępioną miną na drugi koniec sali i uściśnął dłoń rewolwerowcowi.

Kwadrans później przybył szeryf z dwoma zastępcami w celu przeprowadzenia śledztwa. Zaczął od Ahn Lin i Jewela, których poprosił do pokoju obok, tak iż Jasny Nefryt została przy stoliku sama.

Nie trwało to długo. Uniosła głowę i zobaczyła tuż przy sobie mężczyznę w czarnym kapeluszu i bawolej kurtce.

- Przykro mi, że dzień pani urodzin skończył się tak smutno. - Miał niski i głęboki głos, dokładnie taki, jakiego oczekiwała.

Zaczęła szukać słów, którymi mogłaby wyrazić swą wdzięczność, ale znalazła tylko obiegową formułę podziękowania.

- Dziękuję za uratowanie życia mojemu ojcu. - Łzy stanęły jej w oczach.

Uśmiechnął się, jakby rozumiał jej dziewiczy wstyd.

- Ile lat dzisiaj pani kończy? - zapytał.

- Szesnaście - odparła, czując przyśpieszony rytm serca i pulsowanie w skroniach.

- Szesnaście - powtórzył, po czym ogarnął jej postać spojrzeniem, które wydało się jej zbyt śmiałe.

Ale tylko zbyt śmiałe. Nie zbrukało i nie poniżało, tak jak mogłoby uczynić spojrzenie innego mężczyzny. Ten groźny rewolwerowiec posiadał w sobie ja-

kiś czar. Mimo że kilkanaście minut temu zabił człowieka, wydawał się rozluźniony i skłonny do żartów.

- Panuje tutaj niepisany obyczaj, że w dzień swoich szesnastych urodzin panny są całowane na szczęście.

Pochylił się i bez słowa ostrzeżenia pocałował ją w same usta. Właściwie było to zaledwie muśnięcie wargami, lecz wystarczyło, by całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie umiała nazwać uczucia, które zalało ją gwałtowną falą. Siedziała więc w bezruchu i chłoneła to nowe dla siebie doznanie.

Potem uniosła wzrok i spojrzała w jego twarz. Zobaczyła posępne, bursztynowe i tajemnicze oczy oraz wargi wykrzywione w niejednoznacznym i wiele mówiącym uśmiechu.

- Ten nieszczęśnik miał rację. Jest pani najpiękniejszą kobietą pod słońcem.

Kobietą. Poruszyło ją to słowo. Był pierwszym, który w ten sposób się do niej zwrócił.

A potem zrobił rzecz tak dziwną i nieoczekiwaną, że mogła jedynie biernie się temu przyglądać. Pociągnął wskazującym palcem po linii jej ust, wsunął go na chwilę pomiędzy jej wargi, po czym, zwilgotniały i ośliniony, przeniósł do swoich ust. Zlizując go i ssąc, miał lekko zwięzione oczy.

Następnie bez słowa odwrócił się i zniknął w tłumie.

Jasny Nefryt poczuła się straszliwie samotna. Odszedł. Mężczyzna, który uratował życie jej ojcu, ulotnił się jak mgła nad zatoką, gdy powieje wiatr.



Jego zuchwały pocałunek oszołomił ją. Ale czuła, że był w prawie ją pocałować, skoro uratował życie człowiekowi, który był dla niej wszystkim na tym świecie.

To, co o nim wiedziała, sprowadzało się do jego imienia, nazwiska albo też przezwiska. Nevada.

I to, że potrafił zabijać bez mrugnięcia powieką.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Hanging Tree, Teksas*

*1870*

- Przyjm moje pozdrowienia, czcigodny ojcze.

Jasny Nefryt pokłoniła się kopcowi usypanemu z głazów i polnych kamieni, pod którym spoczywali jej rodzice. Tak było ostatnio niemal codziennie. Gdy słońce zapadało za horyzont, kazała zaprzęgać bryczkę i jechała na to smagane wiatrem wzniesienie, znajdując pociechę w rozmowie z drogimi zmarłymi. Rzecz dziwna, ale dopiero okrutna śmierć połączyła ich i uczyniła Ahn Lin oraz Onyxa Jewela małżeństwem.

Kiedy dotarła do niej wiadomość o śmierci ojca z ręki jakiegoś nieznanego mordercy, Jasny Nefryt pozostawiła „Złotego Smoka” w rękach ciotki Lily i wybrała się w daleką podróż do Teksasu. Odnalazła tu, pogrążone w identycznym bólu i smutku, trzy swoje przyrodnie siostry, które, mimo iż tak różne i niepodobne do siebie, stały się w obliczu tego nieszczęścia niemalże jednym ciałem i duszą.

Jasny Nefryt zdążyła je pokochać, zanim jeszcze

ujrzała je na oczy. Każda otrzymała niezwykajne imię. Takie było bowiem życzenie ojca, który nosząc nazwisko Jewel, co oznacza „klejnot”, pragnął widzieć w swoich córkach właśnie pełne blasku klejnoty. Tak więc siostrami Jasnego Nefrytu były Świetlisty Diament, Różowa Perła i Gorący Rubin. Oczywiście, poza kręgiem osób najbliższych mówiono o nich po prostu „siostry (lub panny) Jewel”.

Świetlisty Diament - dzika i surowa jak ta kraina, w której się wychowała - ubierała się identycznie jak jej kowboje, to znaczy w spodnie z kozłej skóry, wysokie buty i kurtkę bądź kamizelkę, zależnie od pogody i pory roku. Nigdy też nie zapominała przepasać się szerokim pasem z dwoma rewolwerami, groźnie sterczącymi z pochew u jej bioder.

Różowa Perła była natomiast prawdziwą damą. Wykształcona w Bostonie, mówiła starannym i pięknym językiem, a jej zapięte pod samą brodę sukienki zaświadczały tyleż o wrodzonej skromności, co o pruderyjnym wychowaniu. Posiadała bogatą kolekcję prześlicznych parasolek, pod którymi chroniła delikatną cerę przed drapieżnym słońcem Teksasu.

Gorący Rubin, wesoła i dość hałaśliwa piękność z Nowego Orleanu, lubiła szokować bliźnich swoimi śmiałymi dekoltami i obojętnością, z jaką traktowała społecznie akceptowane normy przyzwoitości. Kochankiem jej był skandal.

Pomimo tych różnic w charakterze, wyglądzie i sposobie bycia, każda z sióstr ofiarowała pozostałym mnóstwo przyjaźni i ciepła. Toteż Jasny Nefryt

poczuła się od razu niczym w prawdziwie kochającej się rodzinie. Postanowiła tu zostać, a gwarancją stałości tej decyzji był niejako fakt, że dodała prochy matki do prochów ojca, ażeby, rozłączeni za życia, stali się jednością przynajmniej po śmierci.

Wieczorne niebo barwiło się czerwienią i złotem ponad dalekim i ciemnym masywem gór. Północny wiatr, wzbijając tu i ówdzie kłęby pyłu, dał i dmuchał bez przeszkód na otwartej prerii. Po upalnym dniu wyraźnie się ochłodziło. Noc zapowiadała się zimna i Jasny Nefryt, ubrana bardzo lekko, już zaczynała marznąć.

Przygodnemu obserwatorowi, gdyby taki się pojawił, wydałaby się z pewnością fascynującym zjawiskiem. Drobne, kruche stworzenie o migdałowych oczach i włosach czarnych jak skrzydło kruka, opadających kaskadą aż do pośladków. W krainie bawełny i skóry ubierała się zgodnie z chińską tradycją w długą jedwabną szatę sięgającą kostek, z rozcięciami po bokach dla wydłużenia kroku i zapinaną na pętelki i wrzecionowate guziki. Dzisiaj jej szata była w kolorze wiosennej zieleni, którą zdobiły egzotyczne kwiaty.

Po latach dzieciństwa i młodości spędzonych w ciepłarnianym luksusie San Francisco, ta surowa kraina wydała się jej obca, prawie odstręczająca. Ale, przekonywała siebie w myślach, czymże była ta zmiana w porównaniu z duchowym i cywilizacyjnym przełomem, jaki przeżyła jej matka, opuszczając rodzinny dom w Chinach i rozpoczynając nowe życie za oceanem.

- Co podtrzymywało cię, matko, w tamtym pierwszym, najtrudniejszym okresie? - szepnęła, przełykając łzę. - Czy oparcie znalazłaś w swojej starożytnej kulturze, czy też w miłości do pewnego niezwykłego mężczyzny?

Człowiekowi, który skradł serce jej matki, nie musiała zadawać tego rodzaju pytań. Był najdzielniejszym z dzielnych i żył pełnią życia, aż pewnego dnia kula wystrzelona z rewolweru tchórzliwego łajdaka przeniosła go do krainy umarłych.

Jasny Nefryt wyjęła z podróżnego kufierka oblaną czarną emalią miseczkę, zdobioną wschodnimi symbolami w jaskrawych kolorach. Zapaliła zapałkę i przytknęła płomień do leżącej na dnie naczynia brązowej laseczki, przypominającej krótki patyk. Wiał wiatr, więc osłoniła ciałem smużkę błękitnego dymu o kadzidlany zapachu. Kiedy w miseczce pozostał już tylko popiół, ukłękła i zamknęła oczy. Trwając w tej modlitewnej postawie, próbowała uciszyć swą skołataną duszę.

Myślę, że byłbyś zadowolony, ojcze, z mojej decyzji pozostania pod dachem twojego domu. Ale jak żyć w Teksasie i równocześnie nie wyrzec się dziedzictwa chińskich przodków? Gdybyś żył, udzieliłbyś mi z pewnością jakiejś mądrej rady, a tak muszę oprzeć się tylko i wyłącznie na własnym rozsądku.

Sięgnęła pamięcią do tych dziewiętnastu szczęśliwych lat spędzonych w San Francisco i ujrzała, niczym odmalowany pędzlem malarza, swój luksusowy apartament w jednym z najwytworniejszych pałaców

w mieście. Przychodzili tam możni tego świata, ludzie sławni, dzierżący władzę i bajecznie bogaci. W rezultacie pałac ten stanowił ośrodek kosmopolitycznego życia miasta i w niczym nie przypominał zwykłego domu uciech. Tam właśnie ona, Jasny Nefryt, córka Ahn Lin i Onyxa Jewela, zdobyła wykształcenie i wszystkie inne umiejętności potrzebne w dorosłym życiu, ucząc się pilnie kilku języków obcych i ćwicząc umysł w wielu innych dziedzinach. Teraz zaś nie wiedziała, jak spożytkować całą tą nabytą wiedzę.

I nagle doznała olśnienia. Ujrzała rozwiązanie - jasne, proste, narzucające się samo przez się.

Rozpogodziła twarz w uśmiechu.

Oczywiście, tego właśnie potrzebuje to miasteczko i ta okolica. Dziękuję, czcigodny ojcze, że zesłałeś na mnie tę myśl, bo wyraźnie czułam twoją pomoc. Zajmę się czymś, na czym bez wątpienia najlepiej się znam. Zbuduję w Hanging Tree dom rozrywki. Zacznę dostarczać żyjącym tu mężczyznom radości, zabawy i wszelkiego typu przyjemności.

Jasny Nefryt ściągnęła lejce i oba lśniące gniadosze przeszły z kłusa w stępa. Po obu stronach głównej ulicy Hanging Tree, szerokiego i prostego pasa niczym nie utwardzonej ziemi, ciągnęły się domy, z których najwyższy liczył dwa piętra. Minęła kuźnię, stajnie, szpital z czterema łózkami, areszt i biuro seryfa. Ulica była typowa dla Dzikiego Zachodu; przy niej skupiało się życie miasteczka, które rozrastało się

poprzez jej wydłużanie. Tak i tutaj, na końcu ulicy, na niewielkim trawiastym wzniesieniu trwała budowa. Jasny Nefryt zatrzymała konie i wysiadła z bryczki.

Wrzała tu praca. Cieśle wznosili dom. Pojękiwanie piły mieszało się ze stukotem młotków i pokrzykiwaniami robotników. Majster tubalnym głosem wydawał polecenia. W powietrzu wyczuwało się miły zapach żywicznego drewna.

Jasny Nefryt poczuła przyływ dumy i zadowolenia. Oto jej plany nabierały konkretnych i widomych kształtów. Już mogła odgadnąć zarys bryły budynku i ostateczny wygląd frontowej ściany. Nad wejściowymi drzwiami miał wisieć wyrzeźbiony w drewnie smok, który za wyjątkiem czerwonych skrzydeł nietoperza i czerwonego jęzora pomalowany miał być na złoty kolor.

Przekroczywszy próg tego domu, gość i klient w jednej osobie przeniesiony zostanie w całkiem inny świat, w niczym nie przypominający teksaskiej rzeczywistości. Dywany, meble na wysoki połysk, wygodne fotele i kanapy. Bufet z rzadkimi alkoholami. Cicha, słodka, nastrojowa muzyka. Jedzenie, o jakim tu w ogóle nie słyszano. Powietrze ciężkie od zapachu kadzideł.

- Oto ona, pastorze - rozległ się z boku ostry kobiecy głos. - To chyba sam szatan zesłał nam tę bezwstydną ladacznicę.

Jasny Nefryt wzdrygnęła się. Spojrzała przez ramię i zobaczyła kilkunastoosobową grupę mieszkanek miasteczka. W pierwszym szeregu kroczyła najwię-

ksza tutejsza plotkara, a poza tym wielkiej zacności kobieta, Lavinia Thurlong, mając po lewej stronie swoją przyjaciółkę, Gladys Witherspoon, po prawej zaś miejscowego kaznodzieję.

- I po co nam ta szopa? - zapytała Lavinia, wskazując na budujący się dom. - Po co nam ten kurnik bez kur?

- Tak. Po co? - dało się słyszeć pięć czy sześć wzburzonych kobiecych głosów.

- Do tej pory nie stać nas nawet na kościół z prawdziwego zdarzenia, a tutaj topi się pieniądze w ja-skini rozpusty.

Słowa te spotkały się z aprobatą zebranych.

- Pani Thurlong - wmieszał się kaznodzieja - może jednak wysłuchamy panny Jewel. Dajmy jej szansę wypowiedzenia własnego zdania.

- Piękne słowo „szansa”. Przyjechaliśmy w te strony też dla zdobycia szansy. Tylko dlaczego mamy wysłuchiwać ludzi niegodnych, nastawiać uszu na słowa płynące z ust różnych ladacznic, szaleńców i złoczyńców. Po prostu podłożmy ogień pod ten dom, bo tylko ogniem można zniszczyć siedlisko rozpusty.

Rozległ się gniewny szmer, który przybierał na sile.

Pastor zwrócił się twarzą ku rozsierdzonym kobietom.

- A może jednak wpierw zapytamy panny Jewel, jakie jest przeznaczenie tego budynku. Przypominam, nie szafujmy pochopnymi oskarżeniami i nie krzywdźmy niewinnych.



- Nie potrzebujemy pytać. - Lavinia miała w tej chwili wyraz twarzy charyzmatycznej przywódczyni. - Wszyscy znają jej plany. Buduje dom publiczny, a kiedy skończy budować, ogłosi zaciąg prostytutek wszelkiego autoramentu. - Zmierzyła Jasny Nefryt zimnym i wzgardliwym spojrzeniem szarych oczu. - Nie ośmieli się zaprzeczyć.

Jasny Nefryt odwróciła się tyłem do kobiet i ich przywódczyni.

- Widzicie? Plecami wyznaje nam prawdę, bo nie ma odwagi spojrzeć prosto w oczy.

- W porządku, moje panie - rozległ się mocny i głęboki głos kaznodziei. - Wyraziłyście dobitnie swój sprzeciw. A teraz chyba czas wracać do domów, gdzie czekają na was obowiązki żon, matek i gospodyń, którymi jesteście.

- Tak, wrócimy do naszych domów - wybuchnęła Lavinia, coraz bardziej utwierdzając się we własnym gniewie. - Ale chyba tylko po to, żeby zabarykadować się przeciw inwazji zła. Lecz uprzedzam, wielebny, albo ona zrezygnuje ze swojego plugawego interesu, albo sięgniemy po argumenty silniejsze od słów i gniewnych pomruków.

Jasny Nefryt, drżąc na całym ciele, słuchała oddalającego się szurgotu butów.

- Obawiam się, panno Jewel, że nie były to groźby rzucone na wiatr.

Wzdrygnęła się i gwałtownie odwróciła.

- Myślałam, że wielebny zabrał się razem ze swoją gromadką.

Pastor był młodym mężczyzną o ujmującym wyglądzie. Stanowił dość rzadkie połączenie fizycznej tężyzny i duchowej głębi. Miał oczy pełne mistycznego blasku i ogorzałą twarz kowboja. Promieniał jakimś wewnętrznym niepokojem i spowijała go mgła tajemnicy. Z wyglądu drwal lub farmer, przy bliższym poznaniu wymykał się wszelkim definicjom. Raz wydawał się człowiekiem niesłychanie pobożnym i żarliwym, innym znów razem sceptycznym i kierującym się rozumem. W jego bursztynowożółtych oczach często gościły iskiereki ciepłego humoru.

- Zostałem w nadziei na krótką pogawędkę.

- Nie ma o czym rozmawiać. Wszystko jest jasne, jak powiedziała tamta kobieta. Przyjechałam nacieszyć oczy widokiem mojego domu. - Dopowiedziała ostatnie słowo, stwierdziła, że zabrakło jej w płucach powietrza, więc kilka razy głęboko odetchnęła.

Wielebny Wadę Weston uśmiechnął się.

- Nigdy nie wiemy niczego do końca, a słowa mogą zapobiec najgorszemu. Kiedy ten dom zostanie ukończony, na rozmowy może być już za późno.

Jasny Nefryt zmarszczyła czoło.

- Co stoi na przeszkodzie, żebyśmy otworzyła w mieście dom uciech, skoro sklepikarz otworzył sklep, a kowal kuźnię? Każdy ma prawo się rozwijać, budować...

- Tylko że pani dom mieszkańcom Hanging Tree kojarzy się z knowaniami diabła. - Spoglądał na nią

życzliwym spojrzeniem bursztynowych oczu. - Oni nigdy na to nie przystaną.

- Czy to groźba, ojciec wolebnicy?

- Ostrzeżenie, panno Jewel. - Jego spojrzenie pobiegło w kierunku miasteczka. - Nie zna pani determinacji tych ludzi. Sądzę, że musi być pani przygotowana na siłową konfrontację.

- Więc co mam począć? Przerwać budowę, mimo że do końca pozostało mi już tak niewiele?

- Nie chodzi o łupinę, rzecz idzie o jądro. Różne może być przeznaczenie tego budynku. Nasze miasto ma rozliczne potrzeby.

- Na przykład jakie?

- Na przykład przydałby się nam hotel z prawdziwego zdarzenia.

- Hotel o nazwie „Złoty Smok”? Paradne. To tak jakby nazwać kowbojem mojego ojca.

- Słyszałem, że zanim się stał największym hodowcą bydła w tych stronach, był właśnie przez wiele lat zwykłym kowbojem.

Nastroszyła się.

- Zwykłym? Przenigdy. I „Złoty Smok” nigdy nie będzie zwykłym hotelem. Przodkowie mojej matki dostarczali uciech i przyjemności samym cesarzom. - Dumnie uniosła głowę. - „Złoty Smok” będzie cudowną przystanią dla wszystkich mężczyzn z okolicy. Tu znajdą spokój, odprężenie i radość.

- W takim razie proszę mieć się na baczności, panno Jewel. Mieszkańcy Hanging Tree, ludzie, którzy

zwykli poważnie traktować pewne zasady, wydadzą pani wojnę.

- A ja myślę, że to raczej wielebny powinien patrzeć z niepokojem w najbliższą przyszłość. - Uśmiechała się, ale w jej głosie pobrzmiwał gniew. - Co z posłannictwem ojca, jeżeli tutaj będzie gwaro, a kaplica będzie świeciła pustkami, przynajmniej po tej stronie ławek, gdzie siedzą mężczyźni?

Rzuciła mu wyzwanie, lecz on, co było raczej dziwną reakcją, spoglądał na nią z jakimś nieokreślonym smutkiem w oczach.

- Znam trochę tych ludzi, panno Jewel. Są zaprawieni w trudach życia i bynajmniej nie pożądamy uciech i zmysłowych rozkoszy. Dla nich życie to raczej nie kończące się pasmo wyrzeczeń. Ostrzegam, będzie wojna, a nie ma wojny bez ofiar.

- I zapewne wielebny będzie głównodowodzącym strony przeciwnej. - Nie patrzyła już na swojego rozmówcę, tylko na pracujących na rusztowaniach robotników.

- Nie chcę tej wojny, panno Jewel.

- Ani ja, pastorze.

Ależ dumna i krnąbrna dusza, pomyślał. Panna Jewel byłaby godnym przeciwnikiem, wiedział jednak, że nie ma najmniejszych szans w konfrontacji z tutejszą społecznością.

- Mam nadzieję, że zmieni pani swoje plany.

- Być może zmieniłabym, lecz prowadzenie domu uciech to wszystko, co potrafię.

Widział jej migdałowe oczy, jej szlachetną twarz,

jej dumnie wyprostowaną sylwetkę i zastanawiał się, jak to możliwe, żeby w swej niewinności nie widziała niczego zdrożnego w dziele, które sobie zamierzyła.

- Życzę miłego dnia, panno Jewel - powiedział i odszedł.

Jasny Nefryt ani na chwilę nie oderwała wzroku od sylwetek pracujących robotników. Ale jej serce biło w przyśpieszonym rytmie. Dzień był upalny, a kaznodzieja dotknął kilku czułych strun jej duszy.

- Dzień dobry, panno Jewel. Dopiero co rozmawiałem o pani z naszym wielebnym i obecnym tu Willym. - Rufus Durfee, właściciel dużego sklepu kolonialnego, skinął głową w kierunku Wade'a Westona oraz jednego z okolicznych farmerów, który w zamian za miód chciał nabyć u niego kilka worków mąki i cukru.

Jasny Nefryt zdobyła się na konwencjonalny uśmiech i przeszła w głąb sklepu, gdzie piętrzyły się półki z towarami.

- To jest panna Jewel, która buduje „Złotego Smoka” - powiedział Rufus, zwracając się do farmera.

- Nie gadaj. - Willy zerknął przez brudne okno na widoczny w niewielkim oddaleniu budynek, jasny złocistością heblowanych desek. - No, chłopie, taki „Złoty Smok” na tym naszym zadupiu, przepraszam za słowo, pastorze, narobi trochę bigosu. Lecz pytam sieja, kogo, do diaska, będzie stać na opłacenie wstępu i usług? Nas, biednych farmerów, co to za ledwie wiążemy koniec z końcem?

Rufus rzekł stłumionym głosem:

- A wiesz, co ja sobie myślę w związku z tym wszystkim? Dokąd nie dotyczy to moich pieniędzy, niech panna Jewel buduje sobie nawet cały pałac na sto pokoiów. Nie zapominajmy zresztą, że miasto się rozrasta. Już w zeszłym roku mieliśmy tu wizytę sędziego średnio raz na miesiąc, podczas gdy inne miasteczka czekają, bywa, ponad rok. A ci bankierzy, którzy chcą przejąć bank Chestera Pierce'a, odkąd sam Chester został powieszony za zabójstwo Onyxa Jewela. Myślisz, że oni w ciemię bici? - Rufus zniżył głos prawie do szeptu. - Hanging Tree już dzisiaj przeżywa boom budowlany, a co będzie za rok? Buduje panna Jewel, a i Farley Duke skończył już tartak nad strumieniem. I zaczynają krążyć wieści, że mają do nas podciągnąć kolej żelazną. Jeśli to prawda, najeżdża się tu tylu opastych ranczerów i chudych kowbojów, nie mówiąc już o pracownikach kolejowych, że nie przeciśniesz się na naszej ulicy. Hanging Tree rozkwitnie.

- Kolej żelazna. - Głos Willy'ego drżał z podniecenia. - Jasne, Hanging Tree może niebawem zrównać się z Fort Worth albo Abilene.

- Wyrwałeś mi to z ust, człowieku. - Rufus podniecił się wizją wielkiego, tętniącego życiem miasta. - Może powinienem w związku z tym poszerzyć ofertę. Zaczną się spędy, przegony i targi bydła, a spragnieni wszystkiego poganiacze gotowi mi będą ogołocić półki w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Jasny Nefryt uśmiechnęła się do siebie, sprawdzając palcami jakość materiału, który zamierzała kupić na suknię dla Różowej Perły. Miała nadzieję, że te pogłoski o kolei żelaznej oparte były na solidnych podstawach. Jeżeli kolej zawita w te strony, to wówczas „Złoty Smok” stanie się oazą Teksasu.

Usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się. Przed nią stał wielebny Wadę Weston.

Sięgnął ręką ponad jej głową i zdjął z półki pudełko tytoniu.

- Sądziłam, że pastor wolny jest od zwykłych ludzkich słabości - powiedziała sarkastycznym tonem.

Skwitował pobłażliwym uśmiechem jej próbę zmierzenia się z nim w zasadniczych sprawach.

- Jadę z wizytą do Yancy'ego Winslowa i pomyślałem, że zasługuje na mały upominek.

- Powinnam się domyślić. Duchowni nie miewają nałogów.

Uśmiech rozlał się po całej jego twarzy.

- Duchowni są takimi samymi mężczyznami, jak farmerzy czy urzędnicy. My po prostu jedynie z uwagi na godność naszego powołania staramy się nie mieć nałogów.

Odwrócił się i już nie widziała jego ogorzałej twarzy, tylko szerokie plecy, okryte czarnym surdudem.

- Jasne - drażył temat Rufus - są też ciemne strony szybkiego rozwoju miasta. Ostatnio słyszałem kilka historyjek, które nie wróżą nam najlepiej.

- Co masz na myśli, Ruf? - zapytał farmer.

Sklepikarz wyjął z kieszeni chusteczkę wielkości

ręcznika i jął nią przecierać okulary. Tymczasem gro-  
no jego słuchaczy powiększyło się o dwie mieszkanki  
miasta - Lavinie Thurlong i Gladys Witherspoon.  
Oczywiście, uwagi obu kobiet nie uszła obecność w  
sklepie córki Onyxa Jewela.

- Chodzą pogłoski o bandzie złoczyńców, kręcą-  
cej się gdzieś w pobliżu. Pewien ranczer, który wrócił  
do domu z objazdu stad, znalazł swoją rodzinę wy-  
rżniętą, a budynki spalone. A to jeszcze nie wszystko.

- Więc opowiedz nam wszystko, Rufusie - ode-  
zwała się Lavinia, która rozchorowałaaby się ze zgry-  
zoty, gdyby nie wiedziała o czymś, o czym wiedzieli  
inni. - Wszystko, co dotarło do twoich uszu.

Rufus nabrał w płuca powietrza.

- Zaraz za Crooked Creek inny ranczer został za-  
bity strzałem w plecy, a jego stado zniknęło. Mówią,  
że to banda Garlanda.

- Niemożliwe - sprzeciwił się farmer. - Wedle  
mojej wiedzy ta banda rozproszyła się kilka lat temu,  
po tym jak przyskrzyniono jednego z nich, a innego  
postrzelono.

- To się zgadza z tym, co i ja słyszałem - rzekł  
Rufus, bynajmniej nie zbity z tropu. - Ale szeryf Re-  
gan uważa, że te morderstwa wskazują na Neda Gar-  
landa.

Rozmowę tę na kilka minut przerwała Jasny Ne-  
fryt, każąc sobie odciąć z beli odpowiednią ilość wy-  
branego materiału i uiszczając zapłatę.

Zapakowawszy towar i wydawszy resztę, Rufus  
rzekł do wielebnego Westona:



- Niech pastor weźmie od Yancy'ego listę zakupów, a ja już dostarczę mu je jakoś w przyszłym tygodniu.

- Dziękuję, Rufusie. Yancy doceni twój gest.

Jasny Nefryt sięgnęła po leżący na ladzie pakunek, ale uprzedził ją w tym wielebny Weston.

- Dam sobie radę - zaprotestowała, zdając sobie sprawę z własnej śmieszności.

- Nie wątpię, panno Jewel.

Gdy wychodzili, uprzejmie przytrzymał jej drzwi. Kiedy zaś doszli do bryczki, starannie umieścił pakunek pod tylnym siedzeniem i dodatkowo przykrył go derką.

- Dziękuję - powiedziała, zajmując miejsce woźnicy i ujmując w dłonie lejce. - Tyle że obawiam się, iż te wszystkie dowody uprzejmości pastora mogą się spotkać z surową krytyką ze strony obecnych w sklepie pań. Duchowny i lafirynda to para, która razi oko. Ludzie mogą jeszcze pomyśleć, że o zbawienie ich dusz dba człowiek niegodny zaufania.

- Proszę się nie martwić o moją reputację, panno Jewel. Duchownemu przystoi obcować z każdym, ze świętym i z najniebezpieczniejszym z grzeszników. Natomiast radziłbym, żeby pani od czasu do czasu pomyślała o swojej reputacji.

Uśmiechnął się, uchylił kapelusza i odszedł, nie dając jej możliwości udzielenia odpowiedzi.

Cmoknęła i konie ruszyły. Wyjeżdżając z miasta, wciąż myślała o tym zagadkowym kaznodziei, który tak lubił przygważdżać ją słowami, lecz który zara-

zem odnosił się do niej z dużą życzliwością. Mimo to po każdej rozmowie z nim czuła ogromny dyskomfort. Był bez wątpienia człowiekiem gładkim w obejściu, bardzo pewnym siebie i, jak na jej gust, zbyt doskonałym.

Wolała poszukiwaczy przygód, awanturników takich jak Onyx Jewel, mężczyzna, który zawalczył o serce jej matki i zdobył je. Albo też tajemniczych rewolwerowców, ubranych od stóp do głów na czarno i gotowych całować ją do utraty tchu.

Były to, rzecz prosta, rojenia, lecz niekiedy puszczała wodze wyobraźni.

Oddaliła się już od miasta na całkiem sporą odległość, gdy nagle usłyszała tętent koni za sobą. Odwróciła głowę i zobaczyła grupę jeźdźców. Ich twarze zamaskowane były barwnymi chustami.

Kilku trzymało w dłoniach rewolwery. Lecz co ją najbardziej zdumiało, to to, że owe rewolwery wycelowane były w jej stronę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jasny Nefryt poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Śmiertelny strach chwycił ją za gardło. W jednej chwili przypomniała sobie oba mrożące krew w żyłach wydarzenia, o których wspomniał Rufus. Złapała bat i kilkakrotnie z całej siły chlasnęła nim po końskich zadach. Gniadosze poszły cwałem. Niewielka bryczka podskakiwała na kamieniach i nierównościach gruntu niczym dziecinną zabawką. Niemal unosiła się w powietrzu.

Usłyszała strzały. To tylko wzmogło jej determinację. Nie podda się tak łatwo mordercom. Nadal kreśliła na końskich kłębach podłużne i ukośne pręgi.

Spojrzała przez ramię. Jeden z jeźdźców oderwał się od reszty i doganiał ją. Okładając wozami spienionego wierzchowca, już prawie zrównywał się z bryczką.

- Zatrzymaj się albo przestrzele ci głowę! - wykrzyknął, celując do niej z lśniącego rewolweru, jakby ulanego ze srebra.

Zobaczywszy jednak, że groźba nie skutkuje, wbił ostrogi w boki swego konia, aż zwierzę głucho jęknęło. Wyciągnęło się niczym antylopa. Bandyta zrów-

nał się z gniadoszami i przechyliwszy się w siodle, chwycił prawego za wędzidło. Walka była przegrana. Po chwili zaprzęg stanął w obłoku duszącego kurzu.

Nadciągnęli pozostali jeźdźcy.

- A teraz, kobieto, schodź na ziemię! - krzyknął zadyszany głosem jeden z nich.

- Przypatrzmy się, chłopcy, jakiego to motylka z takim uporem ścigaliśmy - odezwał się drugi.

Bandyty zarechotali, lecz rzuciwszy okiem na milczącego herszta, umilkli niczym trusie.

Ten ciągle siedział w siodle. W rękę nie trzymał już rewolweru, lecz zwinięty pejcz. Nie było widać jego twarzy, gdyż przesłaniała ją chusta. Pomiedzy chustą a kapeluszem z szerokimi kresami błyszczały tylko jego ciemne zwierzęce oczy. Przypominały oczy wilka, gotującego się do rozszarpania zagryzionej ofiary.

- Schodź na ziemię - rzekł szorstkim, nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Serce Jasnego Nefrytu biło jak oszalałe, strach obezwładniał jej nogi i ręce, a jednak znalazła w sobie dość siły, by pokazać bandytom spokojną twarz. Szczelniej jedynie owinęła się długim kaszmirowym szalem i stanęła w pyłe drogi. Spojrzała w oczy swoim prześladowcom.

- Jeżeli chcecie pieniędzy...

- Nie musisz nam ich dawać, sami się obsłużymy. Co do innych rzeczy również - powiedział herszt opryszków, pozwalając łaskawie, ażeby ci skwitowali jego słowa zgodnym rechotem.

- Zrzuć ten szal. Chciałbym zobaczyć, co właściwie wpadło mi w ręce. - Jął uderzać o łęk siodła trzymanym w dłoniach pejczem.

Ale Jasny Nefryt zachowała się dokładnie tak, jakby powiał od gór lodowaty wiatr. Ani myślała rozstać się z szalem.

- Chyba jednak będę musiał dać ci nauczkę, kobieto. Nie lubię, gdy ktoś lekceważy moje rozkazy.

Pejcz, niczym wąż, rozwinął się z przejmującym sykiem, przeciął powietrze i zaledwie musnął lewe ramię Jasnego Nefrytu, ale było to muśnięcie, po którym jej szal opadł w strzępach na ziemię.

Jeden z bandytów wydał przeciągły gwizd, a oczy herszta przybrały kształt wąskich szparek. Tajemnica się wydała. Szal zasłaniał sztylet o wąskim ostrzu i drogocennej rękojeści, który Jasny Nefryt ścisnęła w prawej dłoni.

- Sądysz, że z tym śmiesznym kozikiem możesz stawać przeciwko wszystkim naszym rewolwerom i strzelbom? - W głosie herszta zabrzmiały nareszcie pierwsze nutki wesołości.

- A może chciałbyś przekonać się, co potrafię? - Dziwne, ale nie poznawała swojego głosu. - Zanim wasze kule zdołają mnie powstrzymać, to ostrze dotrze do twojego serca.

Bandyta wyprostował się w siodle i przez chwilę mierzył ją dzikim spojrzeniem.

- Przyjmuję wyzwanie - rzekł i zamachnął się pejczem.

W tym samym momencie Jasny Nefryt uczyniła

nieznaczny ruch ręką i jej sztylet błysnął w powietrzu, świszcząc niczym lotna strzała. Mężczyzna błyskawicznie odchylił się w bok i to uratowało mu życie. Zamiast przeszyć serce, ostrze ugrzęzło aż po rękojęść w jego ramieniu.

- Ty wściekła suko...!

Wyszarpnął sztylet z rany i rzucił go na ziemię. Rękaw jego kurtki zaczął nasiąkać krwią.

Tymczasem banda przyglądała się całemu temu wydarzeniu niczym jakiemuś cyrkowemu widowisku. Żaden z opryszków nie zdążył w porę zareagować. A kiedy wreszcie ochłonęli i pomyśleli o odwecie i karze, nad ich głowami zagwizdały kule, jak gdyby strzelał do nich cały szwadron kawalerii.

- To na pewno szeryf ze swoimi ludźmi, Ned! - wykrzyknął jeden z bandytów, bodaj najbardziej przytomny.

Herszt bandy, lekce sobie ważąc oczywiście niebezpieczeństwo, wciąż patrzył na kobietę, która pokonała go w tym szczególnym pojedynku. Wydawało się, że zastanawiał się, czy zastrzelić ją, czy też pozostawić przy życiu. Z jakichś względów wybrał to drugie. Spiął konia i runął przed siebie na złamanie karku, a za nim zbitą kawalkadą popędzili jego towarzysze.

Jasny Nefryt spojrzała w kierunku, skąd posypały się kule. Oślepiło ją chylące się ku zachodowi słońce, przesłoniła dłonią oczy. Ujrzała drogę, niewielki zagajnik, trawiastą równinę i łańcuch gór na horyzoncie. Ani śladu oddziały dowodzonego przez szeryfa Regana.

- Uciekli! - wykrzyknęła w stronę drzew. - Przepędziliście ich!

Jej słowa przebrzmiały i znów zaległa cisza.

Dziwne, pomyślała, ale ogarnęła ją taka radość i ulga, że nie zaniepokoiła się tą ciszą. Pochyliła się i podniosła z ziemi sztylet. Wąskie ostrze splamione było krwią.

Ze sztyletem w dłoni skierowała się ku kępie drzew.

- Możecie wychodzić. Już ich nie ma.

Ale w zagajniku też nie było nikogo. Ujrzała tylko skunksa, przemykającego chyłkiem wśród drzew.

A jednak był tu ktoś przed chwilą. Na miękkiej ziemi znaczyły się ślady końskich kopyt. Tyle że jeździec musiał być sam.

Oczywiście, był sam i był na tyle mądry, żeby strzelać z ukrycia. Opróżniwszy bębenek rewolweru, sięgnął chyba po sztucer, gdyż zasypał bandę gradem kul, dbając przy tym nie tyle o celność strzałów, co o ich ilość. W rezultacie tamci pomyśleli, że mają przeciwko sobie cały oddział, i o to właśnie chodziło jej obrońcy. Był sam, a dał sobie radę z całą bandą uzbrojonych po zęby rewolwerowców.

Czmychnęli, ale i on uciekł. Dlaczego? Przecież miała prawo wiedzieć, kto uratował jej życie. Była mu winna podziękowanie. Poza tym czuła się w obowiązku wynagrodzić mu jego ofiarność i gotowość podjęcia ryzyka.

Wróciła do bryczki, a upewniwszy się, że żadne z kół nie pękło podczas tej szalonej jazdy cwałem, ru-

szyla w dalszą drogę. I dopiero gdy przejechała już dobry kilometr, nastąpiła reakcja. Zaczęła trząść się jak w febrze i poczuła, że się poci, choć zbliżał się wieczór i od prerii ciągnęło chłodem. Nie miała żadnych wątpliwości, że gdyby nie ta interwencja nieznanego zbawcy, jej los byłby przypieczętowany. Zgwałcona i z kulą w mózgu, leżałaby w tej chwili na poboczu drogi, dołączając w ten sposób do tych nieszczęśników, o których wspomniał Rufus.

Kim był człowiek, który ją uratował? I dlaczego postanowił zataić przed nią swoją twarz i nazwisko?

- Tajemniczy zbawca. Brzmi to bardzo romantycznie - podsumowała Różowa Perła, gdy Jasny Nefryt opowiedziała siostrze swoją przygodę.

Natomiast mąż Perły, Cal, zarządca rancza, zareagował całkiem inaczej. Popatrzył z troską na swoją żonę oraz dwóch przybranych synów, Daniela i Gilberta, i wpadł w posepne zamyślenie. Niebezpieczeństwo było poważne. Teraz już nikt nie mógł mieć wątpliwości, że w okolicy grasuje banda gotowych na wszystko opryszków, dla których zamordowanie dziecka lub kobiety niewiele się różniło od ustrzelenia królika. Los ranczerów oraz ich rodzin zależał teraz w dużej mierze od przypadku. Kogo banda wybierze za cel swojego kolejnego ataku? Ofiarą mógł być każdy.

- Musimy powiadomić o wszystkim szeryfa - powiedział po chwili milczenia.



Jasny Nefryt skinęła głową.

- Gdyby nie mój tajemniczy zbawca, trzeba byłoby obstalować trumnę.

- Tajemniczy zbawca - powtórzyła Świetlisty Diament, muskając palcami inkrustowaną rękojeść rewolweru, który zawadiacko odstawał od jej biodra.

Najwidoczniej określenie to spodobało się wszystkim siostram, chociaż Świetlisty Diament wypowiedziała je lekko ironicznym tonem. Ubrana jak zwykle w skórzane spodnie i kamizelkę, po trosze nie pasowała już do tego stroju, a to z uwagi na brzuch, który zaświadczał o jej odmiennym stanie. Ojcem dziecka był Adam, który siedział obok i na którego od czasu do czasu rzucała rozkochane spojrzenie.

- Trzeba chodzić pod bronią i mieć oczy z tyłu głowy - powiedziała. - Wtedy nie będzie trzeba żadnych tajemniczych zbawców.

- Miałam sztylet - przypomniała siostrze Jasny Nefryt. - I zrobiłam z niego, myślę, nienajgorszy użytek. Lecz nawet gdybym była obwieszona bronią, niewiele bym zdziałała przeciwko tej bandzie. Zabiłabym dwóch, trzech, a reszta rozszarpałaby mnie na kawałki. Przeżyłam wyłącznie dzięki mojemu tajemniczemu zbawcy.

- Zastanawiam się, kto to mógł być - ciągnęła Świetlisty Diament. - Nasi kowboje zajęci są przy stadach. Żaden nie oddaliłby się tak daleko.

- Może jakiś przejezdny - rzuciła Różowa Perła.

- Przejezdny nie miałby powodu kryć się przede mną - zauważyła Jasny Nefryt.

- Jest jeszcze inna możliwość. Wyobraźcie sobie uciekiniera, za którym rozesłano listy gończe - powiedział Adam i wszyscy wiedzieli, że myślał w tej chwili o własnej tułaczce, kiedy niesprawiedliwie osądzony został o morderstwo.

Cał skinał głową.

- Człowiekowi wyjętemu spod prawa faktycznie mogło zależeć na zatajeniu swojego tutaj pobytu.

- Mylicie się - odezwała się Gorący Rubin. - Ja wiem, kto to był.

Wszyscy spojrzeli na młodą kobietę, która kreśliła palcem jakieś tajemnicze znaki na materiale swej sukni.

- To był twój anioł stróż, kochanie - rzekła, zwracając się do Jasnego Nefrytu.

- Bzdury - oceniła Świetlisty Diament.

- Czyżbyś nie wierzyła w świat duchów i życie pozagrobowe, siostrzyczko? - Nikt nie wiedział, czy Gorący Rubin mówi poważnie, czy też żartuje sobie z towarzystwa. - Gdy przebywałam w stanie Missisipi, zetknęłam się...

- Ale tutaj jest Teksas - przerwała jej Świetlisty Diament.

- A poza tym Jasny Nefryt widziała ślady kopyt końskich - przypomniała Różowa Perła. - O ile mi wiadomo, aniołowie nie jeżdżą na koniach.

- O ile ci wiadomo! - Gorący Rubin wyduła swoje piękne wargi. - A kto zagwarantuje, że nie były to ślady sprzed kilku godzin albo nawet wczorajsze. Postarajcie się o mocniejsze argumenty. Ja w każdym razie upieram się przy aniele stróżu.

Idąc na górę do swego pokoju, Jasny Nefryt starała się uporządkować to, co zostało powiedziane w salonie podczas kolacji. W sumie jednak miała mętlik w głowie. Wiedziała tylko jedno. Kimkolwiek był jej tajemniczy zbawca, aniołem stróżem czy też człowiekiem z krwi i kości, bez wątpienia zawdzięczała mu życie.

Wadę Weston ziewnął i przeciągnął się, po czym odrzucił pled i zerwał się na nogi. Tę noc spędził pod gołym niebem na ziemi przy wygasłym ognisku. Czasami potrzebował samotności. Wówczas zrzucał swój codzienny mundur, który tworzyły tyleż czarny surdut i wy krochmalona biała koszula, co słowa, jakich po nim oczekiwano, i przemieniony w zwykłego mężczyznę, wsiadał na konia i włączył się po okolicy.

Nie to, żeby nie lubił ludzi. Przeciwnie, ludzie byli jego żywiołem, jego owczarnią, i cieszył się, widząc ich wokół siebie. Ogromna większość z nich zasługiwała na szacunek. Porządni i uczciwi, głęboko religijni i otwarci na bliźnich, mogliby stanowić wzór pocziwego życia. Takim na przykład człowiekiem była Millie Portter, u której wynajmował pokój, albo Rufus Durfee, który wychowywał swoich synów, Damona i Amosa, na dzielnych chwatów. Do grona tego należał też niewątpliwie stary samotnik Yancy Winslow.

Ale zdarzały się chwile, gdy towarzystwo innych uwierało go niczym kamyk w bucie. Najpierw więc wpadał w nastrój pod psem i zaczynał postrzegać

świat w szarych i brudnych kolorach, jakby znikła z niego wszelka szlachetność, przyzwoitość i godność. Widząc zaś, że ów stan się pogłębia, i nie chcąc się z nim zdradzać, wyjeżdżał z miasta w poszukiwaniu samotności.

Tym razem odnalazł ją tu, nad strumieniem, na malowniczej polanie okolonej drzewami.

Podszedł do ogniska, odgarnął wierzchnią warstwę wystygłego popiołu i rozdmuchując zachowany żar, przytknął doń garść zeschniętych traw i patyczków. Udało się. Płomień zachybotał, liznął podpałkę i poczerwieniał, pnąc się w górę. Wadę dorzucił kilka grubszych szczap. Po jakimś czasie rozszedł się cudowny aromat świeżo zaparzonej kawy.

Wypiwszy kubek gorącego płynu, Wadę namydlił policzki, ogolił się i zbliżył do strumienia rozlanego w tym miejscu na szerokość kilku metrów. Zrzucił odzienie i wskoczył do lodowatej wody. Sapiąc jak mops, przepłynął kilka razy tam i z powrotem.

Nie miał ręcznika, więc kiedy wyszedł z wody, stał przez jakiś czas w promieniach porannego słońca, czekając, aż ciało podeschnie. Słońce jednak dopiero rozpałało się i w rezultacie, gdy wciągał spodnie, nogawki zahaczały o wilgotną wciąż skórę. Sięgnął po koszulę.

Ale nie zdążył jej nałożyć. Usłyszał tętent kopyt końskich i hurkot wozu czy bryczki. Odwrócił głowę. Zobaczył kobietę, która już od kilku dni kojarzyła mu się z kwitnącą łąką. Jasny Nefryt też go ujrzała, zatrzymała konie i czekała, aż do niej podejdzie.

- Dzień dobry, panno Jewel! - zawołał, po czym ruszył ku niej, nakładając koszulę i starając się trafić odpowiednim guzikiem w odpowiednią dziurkę. - Nieładnie jest podglądać kąpiącego się mężczyznę i niebezpiecznie jest tak zbliżać się bez uprzedzenia. Ktoś inny na moim miejscu mógłby sięgnąć po broń i wystrzelić, zanim ustaliłby, kto faktycznie nadjeżdża. Jednym słowem, zaskoczyła mnie pani.

- Pastor również mnie zaskoczył. - Nie mogła oderwać wzroku od jego atletycznego torsu, rysującego się pod bawełnianą koszulą, która w kilku miejscach przylgnęła do mokrego ciała. I bynajmniej nie było to ciało kaznodziei. - Czasem tędy przejeżdżam i nigdy tu nikogo nie widziałam.

Uśmiechnął się. Jego mokre włosy lśniły w słońcu.

- Gdybym się pani spodziewał, z pewnością lepiej przygotowałbym się na ten moment. A już na pewno staranniej byłbym ubrany. - Wskazał głową w kierunku ogniska. - Da się pani zaprosić na kawę?

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam. Proszę mi wybaczyć, jeśli z mojego powodu poczuł się pastor skrępowany. - Ujęła za lejce.

Wadę położył dłonie na krawędzi pudła bryczki.

- Proszę, panno Jewel. Proszę nie odjeżdżać. Pani towarzystwo sprawi mi naprawdę ogromną przyjemność.

Nie bardzo rozumiała. Był jej wrogiem, zadeklarował się jako jej przeciwnik. Jaką więc przyjemność mógł czerpać z jej towarzystwa? Pamiętała słowa swojego czcigodnego ojca, który pewnego razu

udzielił jej następującej wskazówki: „Lepiej dziś zmierzyć się z gniewnym słowem wroga niż jutro z jego bronią”. Wynikało stąd, że istniały szanse zwyciężenia wrogości bez sięgania po środki ostateczne.

- W porządku. Myślę, że mam trochę czasu na wypicie kawy. - Wsiadła z bryczki i skierowała się w stronę ogniska, gdzie usiadła na pniu zwałonego drzewa. - Często pan sypia, pastorze, pod otwartym niebem?

- Od czasu do czasu.

- Słyszałam, że wynajmuje pastor pokój u Millie Potter, matki trzech córek.

- Zgadza się. - Opłukał wrzątkiem blaszany kubek, napełnił kawą i podał gościowi. - Ale niekiedy duszę się w czterech ścianach i wówczas wybieram spanie na świeżym powietrzu.

Zbliżyła kubek do warg i uważając, żeby się nie poparzyć, upiła łyk.

- Pachnąca, mocna i gorąca, niczego więcej nie można żądać od kawy. - Powiodła wzrokiem wokół siebie. - Uroczy zakątek. Rozumiem pana, pastorze. Ja też czasami tęsknię za samotnością.

- Zapewne bywają dni, gdy czuje się pani przygnieciona tą budową. No i ta pani zupełnie nowa sytuacja rodzinna.

Skinęła głową.

- Tak, dostałam w prezencie trzy cudowne siostry. Przyznaję, nie każdemu to się zdarza.

Wadę, siedząc na ziemi, oparł się plecami o siodło

i zapatrzył się na egzotyczną młodą kobietę, urodzoną i wychowaną na tym kontynencie, ale posiadającą swoje duchowe korzenie w dalekich Chinach. Ubrana dziś była w szatę w kolorze bursztynu i wydawała się mu jeszcze bardziej drobna i wiotka niż zazwyczaj. Ale złudne to było wrażenie. Jasny Nefryt była zaprzeczeniem kobiecej kruchości i słabości. W jej ciele płonął jakiś tajemniczy ogień, w którym jej dusza nabrała twardości hartowanej stali.

- Co sprowadziło panią o tak wczesnej godzinie nad brzeg Poison Creek, panno Jewel? Nie wygląda mi pani na osobę, która szuka samotności - machnął ręką - lub zacisznego kąpieliska w lesie.

- Ma pastor całkowitą rację. Ostatnio żyję tylko myślą o budowie domu i uznałam, że trzeba wybrać się do miasta. Pańskie oko konia tuczy.

Jednak prawda była trochę inna. Wyjechała z bezpiecznego rancza z duszą na ramieniu, a wyjechała dlatego, że nie mogła pozwolić, żeby banda morderców i gwałcicieli odarła ją z jej wolności i zabrała swobodę ruchów. Przemogła więc strach i podjęła ryzyko. Konieczność doglądania robót budowlanych była tylko pretekstem.

Wadę Weston dorzucił dREW do ognia.

- Dziwi mnie tylko, dlaczego jadąc z rancza do miasta, wybrała pani najdłuższą i najbardziej wyboistą drogę. I dlaczego nosi pani ten piękny i drogocenny sztylet u swego boku? Czyżby bała się pani czegoś?

Odruchowo dotknęła dłonią wysadzanej drogimi

kamieniami rękojeści sztyletu, zatknętego za szarfę szaty.

- Zawsze mam go przy sobie. Podarowała mi ten sztylet moja matka, która dostała go od swojej matki. Obie nosiły go dla odpędzenia złych duchów.

Pastor wykrzywił usta.

- I z jakim skutkiem?

Jasny Nefryt zagadkowo się uśmiechnęła.

- Co do złych duchów, to trudno powiedzieć coś pewnego. Ale kilka razy uratował moją matkę przed napastliwością mężczyzn, których wnętrza zasiedlały złe duchy.

Wadę zapatrzył się na płomień ogniska.

- Świat jest pełen mężczyzn we władzy złych duchów.

- Myślę, że pastor w swojej kaznodziejskiej działalności musiał zetknąć się z nimi.

- A ja myślę, że moje doświadczenie w tym względzie okaże się bardzo skromne w porównaniu z pani doświadczeniem po otwarciu „Złotego Smoka”.

Poczuła, że się rumieni.

- To moja sprawa, moje ryzyko. Wszelkie konsekwencje tej decyzji biorę na siebie.

- I znów się pani myli. Obecność takich mężczyzn stanie się problemem dla całego miasta.

Sapnęła z irytacji.

- Powinam była się domyślić, że w końcu powróci pastor do tego tematu i będzie namawiał mnie do zmiany planów.



- W naszym mieście rosną zastępy pani przeciwników, panno Jewel. Najwidoczniej panią ani ziębi to, ani grzeje. Wydaje się pani nie pojmować, że jest coś takiego jak poczucie przyzwoitości. Dochodzi do tego problem zagrożenia mieszkańców. Dom uciech ściągnie z całej okolicy różne typy spod ciemnej gwiazdy. Mam nadzieję, że nie zabraknie pani przyjaciół, którzy zgłoszą gotowość wystąpienia w pani obronie.

Czyżby ten człowiek potrafił tylko jej grozić?

- Na to wszyscy liczymy. Że nasi przyjaciele staną w naszej obronie, gdy zaistnieje taka potrzeba. - Nagle przypomniała sobie o wczorajszej przygodzie i nie namyślając się wiele, powiedziała: - Muszę panu, pastorze, coś wyznać. Wczoraj odkryłam, że posiadam właśnie takiego przyjaciela.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, lecz milczał.

- Kiedy wracałam z miasta do domu, otoczyła mnie banda uzbrojonych mężczyzn.

Zmrużył oczy.

- Rozpoznała pani któregoś z nich?

Potrząsnęła głową.

- Wiem tylko, że herszt nosi imię Ned. Twarze mieli przewiązane chustami. Ale ich zamiary były jasne. Chcieli zrobić mi krzywdę. Dla obrony miałam tylko ten sztylet. I nawet go użyłam, ale, przyznaję, z mizernym skutkiem. Czekałam na śmierć...

- I, jak wolno mi sądzić, nie doczekała się jej pani, panno Jewel - przerwał jej, uśmiechając się kącikami ust.

Wysączyła z kubka resztki kawy.

- Nagle rozległy się strzały. Zaczęły świstać kule. Bandyci rzucili się do ucieczki. Zostałam sama, sądząc, że za chwilę pojawią się moi zbawcy. Ale nikt nie nadjechał. Jakby człowiek, który przegnał bandytów, nie chciał pokazać mi swojej twarzy. Od wczoraj więc zadaję sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego komuś zachciało się najpierw ryzykować życie, mówię: ryzykować, gdyż reakcja bandytów mogła być całkiem inna, a potem zabrakło mu odwagi, by stanąć przede mną i przyjąć podziękowanie?

- Być może te strzały były wytworem pani wyobraźni.

- W takim razie musiały być wytworem wyobraźni również tych bandziorów, gdyż uciekali co koń wyskoczy. Nie, pastarze. Te strzały były czymś jak najbardziej realnym. Ktoś uratował mi życie. I chociaż nie znam tego człowieka, jestem i będę jego dłużniczką. - Wstała, co widząc, on również wstał. Przez chwilę w milczeniu patrzyli na siebie. - Moja siostra, Gorący Rubin, wspomniała coś o aniele stróżu. O ile wiem, jest to taka postać z waszej religii, która opiekuje się ludźmi, chroniąc ich przed różnymi niebezpieczeństwami. Czy pastor uważa, że mógł to być właśnie anioł stróż?

Uśmiechnął się i przejechał dłonią po mokrych włosach.

- Mógł być. Ale najprawdopodobniej był to ktoś, kto akurat tamtędy przejeżdżał i zobaczył, że komuś dzieje się krzywda.

- Ale dlaczego nie dał się poznać?

Wzrok kaznodziei nabrał mocy. Patrzył teraz na nią wszystkowiedzącym spojrzeniem.

- Rozumiem, że może dręczyć panią ta zagadka. Ale czy to takie ważne, kim był ten mężczyzna? Najważniejsze, że nie stała się pani żadna krzywda.

Jasny Nefryt wstrzymała oddech. Nagle bowiem pomiędzy nią a Wade'em Westonem zapanowało jakieś dziwne, niemożliwe wręcz do zniesienia napięcie. Nawet przemknęła jej przez głowę głupia myśl, że kaznodzieja chce ją pocałować.

- Dziękuję za kawę - szepnęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Jewel.

Odprowadził ją do bryczki, a kiedy już trzymała w rękach lejce, rzekł:

- Proszę uważać w drodze.

- Nic mi nie będzie. Przecież czuwa nade mną mój anioł stróż. Zdaje się, że będzie on jedynym moim przyjacielem w Hanging Tree.

Cmoknęła na konie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Pastorze, proszę popatrzeć, co Agnes zrobiła dla pana.

Lavinia Thurlong trzymała ramię córki w żelaznym uścisku swej spracowanej dłoni i tak powodowała dziewczyną, by ta znalazła się na wprost przystojnego kaznodziei.

- Placek z jeżynami - wyjaśniła Agnes, rumieniąc się jak piwonia i spuszczać oczy.

- Dziękuję, Agnes. To bardzo miłe z twojej strony - rzekł Wadę z uśmiechem, a odebrawszy z rąk uroczej dziewczyny zawiniętą w papier brytfańkę, położył ją na parapecie okna kaplicy, mieszczącej się w drewnianym baraku na tyłach sklepu Rufusa Durfee. Tutaj właśnie co tydzień odprawiał niedzielną mszę, a wierni zjeżdżali się z całej okolicy, by wysłuchać jego kazania i pogodzić się z Bogiem.

Zajechał odkryty powóz i wysiadła z niego Jasny Nefryt w towarzystwie swoich trzech sióstr.

- Ciasta Agnes nie mają sobie równych w Hanging Tree - zachwalała córkę Lavinia.

Nie czyniła tego bez powodu. Mogłaby podziękować Bogu za udane życie i spokojnie położyć się w

trumnie, gdyby jej osiemnastoletniej Agnes udało się zdobyć męża w osobie miejscowego kaznodziei. Nie było bowiem w okolicy lepszego kawalera do wzięcia.

Agnes była ładniutkim stworzonkiem z burzą ciemnych loków, oczami sarny i dołeczkami w policzkach. Stanowiła przedmiot westchnień wszystkich kowbojów z okolicznych rancz. Sęk w tym, że żaden z nich nie wydał się matce odpowiednim kandydatem na męża dla córki.

Jedynie na wielebnego Westona spoglądała innym okiem. Zresztą nie była pod tym względem wyjątkiem. Każda matka, która posiadała córkę na wydaniu, wiedziała, że pastorzy są najlepszymi mężami. Przede wszystkim nie było tajemnicą, że rodzina duchownego wie dzie łatwe życie i nie musi borykać się z biedą i różnymi brakami. Nie to co farmerzy, którzy urabiają sobie ręce po łokcie, a bezlitosna susza niszczy ich zasiewy. Albo kowboje, którzy ścigając stada mustangów, uganiają się za nieosiągalnymi marzeniami. Natomiast wielebny Weston był mężczyzną statecznym, poważnym, rozsądnym, dobrego serca i pełnym bojaźni Bożej, a na dokładkę urodziwym. Nie dziwota więc, że spędzał sen z powiek matkom obarczonym pannami na wydaniu.

- Podejrzewam, droga Lavinio, że umiejętności te odziedziczyła po matce - powiedział Wade, patrząc ponad ramieniem pani Thurlong na zbliżające się cztery siostry Jewel.

Lavinia spiekła raka, jakby znowu miała szesna-

ście lat, po czym wzięła córkę pod ramię i przeszła z nią w głąb kaplicy, gdzie zajęły miejsca.

Wadę powitał siostry Jewel. Zapytał o Adama i Cala.

- Zostali na ranczu - odparła Różowa Perła. - O tej porze roku jest huk pracy przy stadach.

- Rozumiem - powiedział i spojrzał na Gorący Rubin, która, nietypowo dla siebie, opatulona była szalem aż po samą brodę. - Witaj, Rubinie.

- Widząc tak mało, niewiele widzisz z Rubinu, pocziwy kaznodziejo. To moja siostrzyczka - tu wskazała głową na Świetlisty Diament - kazała mi się tak okutać. Aleja nie miałabym nic przeciwko małemu skandalikowi.

Ciałem Wade'a wstrząsnął śmiech. Doprawdy, siostry Jewel to były cztery odrębne i bardzo wyraziste indywidualności.

Trzy z nich weszły już do kaplicy, pozostała tylko Jasny Nefryt. Stanowiła dlań miłe zaskoczenie. Nie była chrześcijanką i nie miała obowiązku zjawiać się na niedzielnym nabożeństwie. A jednak przyjechała razem z siostrami i bez względu na to, jakie motywy leżały u podstaw tej decyzji, musiał poczytać jej to za zasługę.

- Dzień dobry - rzekł, wyciągając rękę. - Bardzo się cieszę, że mogę panią powitać w ten piękny niedzielny dzień. Obawiałem się, że będzie pani stroniła od naszych nabożeństw.

- Zbyt wiele bym straciła. Chcę słyszeć na własne

uszy, jak ostrzega pastor swoją owczarnię przed kobietą-diabłem.

Wadę westchnął jak człowiek niesłusznie oczerniany. Zaiste, jeżeli nawet planowała wyrządzić zło temu miastu, nie wyglądała na córę szatana. Jej błękitna szata kierowała raczej myśli ku niebu, a białe i wysokie czoło stanowiło widomą oznakę rozumnej szlachetności.

- Moja misja nie polega na stwarzaniu lub mnożeniu kłopotów, lecz na zapobieganiu im.

- W takim razie, obawiam się, trochę namęczy się pan, pastorze, w związku z moją osobą.

- Owszem, o ile talent pani w zdobywaniu sobie wrogów nie zostanie zrównoważony umiejętnością zdobywania sobie sojuszników.

Jasny Nefryt uniosła głowę.

- Przyjechałam tu za namową Świetlistego Diamentu. Powiedziała mi, że znajdę tu sposobność zmierzenia się z Lavinia i jej przyjaciółmi, którzy wszczęli kampanię oszczerstw przeciwko mojej osobie.

Patrzył na nią i wiedział, jak bardzo się myli. To już nie była kampania, tylko otwarta wrogość i jawna mobilizacja.

- Ponownie ostrzegam i radzę, panno Jewel. Proszę postępować ostrożnie. Tak jak wystarczy iskra, żeby zajął się od niej stóg słomy, tak jedno nierozważne słowo może przemienić grupę spokojnych obywateli w rozwścieżony motłoch.

Widział z wyrazu jej twarzy, że niezbyt przejęła się jego ostrzeżeniem.

- Jeżeli tu jestem, to również dlatego, żeby podziękować mojemu aniołowi stróżowi.

Poczuł się zaskoczony, ale zdołał to ukryć.

- Chwalebna intencja. Zacznie jest dziękować za wyrządzone nam dobro. Tylko jak zamierza pani odnaleźć tego tajemniczego strzelca?

- Powiedziano mi, że przed końcem nabożeństwa duchowny zwraca się do zgromadzenia wiernych z pytaniem, czy nie mają jakichś życzeń, które chcieliby podać do publicznej wiadomości. Moim życzeniem będzie, żeby ujawnił się mężczyzna, który uratował mi życie.

Wadę nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Obawiam się, że zobaczy pani tuzin ochotników gotowych przyjąć dowody jej wdzięczności.

Zarumieniła się.

- Pastor żartuje sobie ze mnie.

- Bynajmniej. Fakt, że mogą mieć w pani dłużniczkę, z pewnością wyda się wielu mężczyznom fascynującą perspektywą.

- Czy czasami nie myli mnie pan, pastorze, z moją siostrą, Gorącym Rubinem?

- Nie docenia pani siebie, panno Jewel.

Były to bardzo miłe słowa. Stanowiły hołd złożony jej urodzie. Ale Jasny Nefryt nie łudziła się. Każdy kaznodzieja przed niedzielnym nabożeństwem rozdawał takie i inne pochwały na prawo i lewo. Na tym przecież polegała jego praca. Kto miałby ochotę wyruszać co niedzielę w kilkunastokilometrową podróż, gdyby miał w perspektywie spotkanie z ponurym



i opryskliwym duchownym. Tak i wielebny Weston uśmiechał się i nie szczędził komplementów. Ale prędzej czy później obróci się przeciwko niej. Kto wie, może będzie jeszcze najgłośniej krzyczał, żeby wyrzucić ją z miasta i przegonić na cztery wiatry.

- Życzę miłego dnia. Jestem pewna, że kazanie, które usłyszemy, skłoni nas do rozmyślań.

- Zrobię, co w mojej mocy, panno Jewel - odparł, usuwając się i zapraszając Jasny Nefryt do środka.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim Wadę zdołał przywitać się ze wszystkimi farmerami i członkami ich rodzin. Przybyli oni przede wszystkim na niedzielne nabożeństwo, zamierzali również zrobić w mieście niezbędne zakupy oraz spotkać się z sąsiadami. Wadę z każdym przybyłym starał się zamienić kilka zdań, a jeśli trzeba mu było poradzić w jego życiowych problemach, pogratulować sukcesu lub wesprzeć w klęsce, przedłużał rozmowę, pewny cierpliwości osób oczekujących w kaplicy. Tak zresztą przestrzegał swoją rolę i bardzo się starał, by stać się człowiekiem cieszącym się bezwzględny zaufaniem chrześcijańskiej wspólnoty.

Tymczasem wewnątrz narastał szmer. Ludzie szeptali ze sobą i nie było tajemnicą, kto stanowił przedmiot ogólnego zainteresowania. Spojrzenia wszystkich bieżyły ku czterem siostram Jewel, skupiały się jednak na Jasnym Nefrycie. Ona była tą kobietą, która chciała ściągnąć na miasto zło i nieszczęście. I ktoś taki miał czelność pojawić się w

tym miejscu i patrzeć w twarz porządnych niewiastom, które całe swoje życie oddały w ofierze mężom i dzieciom. Zbudowawszy dom rozpusty, niech tam oddaje cześć swojemu bożkowi - Złotemu Smokowi.

Zaczęło się nabożeństwo, a gdy dobiegło końca, nawet Lavinia Thurlong i Gladys Witherspoon musiały przyznać, że ich pastor wzniósł się na szczyty duchowej żarliwości.

Tematem kazania były rozliczne szkody, jakie wynikają z rozpowszechniania bezpodstawnych plotek.

Nikt nie wstał, kiedy z ust duchownego padło pytanie, czy ktoś chciałby ze zgromadzoną tu wspólnotą podzielić się jakimś trapiącym go problemem. Jasny Nefryt siedziała ze spuszczoneymi oczami, patrząc na swoje złożone na podołku dłonie.

Zdażyła już przemyśleć całą sprawę i doszła do wniosku, że Wade Weston miał rację. Jeśliby teraz publicznie zaczęła mówić o tajemniczym zbawcy, to musiałaby opisać ze szczegółami całe zajście. To zaś wydawało się stanowczo ponad jej siły. Miała w pamięci niedawną rozmowę z szeryfem i pamiętała męki, jakie wówczas przeżyła. A poza tym ci ludzie wokół niej darzyli ją niczym nie skrywaną wrogością. Nie zamierzała narażać się na kolejne złośliwe komentarze.

- A zatem, moi drodzy - Wade Weston rozłożył ręce, jakby chciał objąć nimi wszystkich obecnych - wyrażam nadzieję, że jeśli ktoś wszedł tutaj przynie-

ciony brzemieniem cierpienia, smutku czy troski, wyjdzie stąd lekki ufnością w Bożą dobroć.

Podszedł do drzwi i otworzył je. A potem ścisnął wychodzącym dłoń, żegnając się do przyszłej niedzieli. Także dla każdej z siostr Jewel znalazł jakieś miłe słowo.

- Piękne kazanie - powiedziała Jasny Nefryt, podając mu swoją szczupłą i delikatną dłoń, która zniknęła w jego dłoni niczym rybka w paszczy rekina.

- Dziękuję, panno Jewel. Zapewne domyśliła się pani, że wybrałem temat z uwagi na pani osobę. Ostatecznie, odkąd „Złoty Smok” jest już prawie ukończony, przyda się pani każdy dowód życzliwości. - Uśmiechnął się. - Myślałem, że powie pani o tym tajemniczym zbawcy. Co się stało, panno Jewel? Czyżby zabrakło pani odwagi?

- Po prostu doszłam do wniosku, że pastor miał rację. Nie chciałam robić z siebie widowiska. Poza tym od pół godziny uważam, że jeśli mój zbawca nie chciał się ujawnić, to należy uszanować tę jego decyzję.

- Brzmi to dość rozsądnie. Chociaż - znów się uśmiechnął - byłoby zabawną rzeczą liczyć tych wszystkich mężczyzn, z których każdy by utrzymywał, że to on wybawił panią z opresji.

Puścił jej dłoń i cofnął się o krok.

- Życzę panu, pastorze, miłego dnia.

- Miłego dnia, panno Jewel - odparł i zwrócił się ku Rufusowi Durfee i jego rodzinie.

Po zakończonym nabożeństwie rozpoczynał się piknik, który dla farmerów i ich rodzin był chwilą wytchnienia od domowej i gospodarskiej harówki. Dzieci bawiły się w gonionego, kobiety rozkładały na trawie koce, a na nich wiktuały przywiezione z domu w koszykach, mężczyźni zaś ładowali na wozy zakupione towary, by następnie skupiać się w grupy i komentować ceny bydła i produktów rolnych.

- Chodźmy - rzekła Świetlisty Diament, zwracając się do sióstr. - Wstąpmy do Millie Potter, zanim głodomory z okolicy nie zmiotą nam sprzed nosa całego jedzenia.

Niedzielami pensjonat Millie Potter cieszył się dużym wzięciem. Grono stałych bywalców, takich jak szeryf Quent Regan czy doktor Cosmo Prentice, powiększało się tego dnia o całe rodziny ranczerów, dla których koszty związane z tą wizytą nie były równoznaczne z dziurą w domowym budżecie.

Pensjonat Millie Potter stał przy głównej ulicy miasta i jeśli domy wyrażają bądź odzwierciedlają charakter ich właścicieli, to ten właśnie to robił. Lśniący czystością, jakby dopiero wczoraj sprawdzili się doń jego mieszkańcy, zachęcał wręcz białymi frankami w oknach i kwiatami na parapetach do zatrzymania się, wejścia do środka i pobycia tam przez chwilę. Duży pokój, w którym podawano posiłki, mógł pomieścić około dwudziestu stołowników. Talerze mogły być każdy z innej parafii, a nawet wyszczerbione i porysowane, lecz podawane na nich potrawy zadowalały nawet wybrednych smakoszy.

Z kuchni dolatywały aż na ulicę upajające wonie pieczonego chleba, mięsów oraz korzennych przypraw.

Otwierała drzwi i obsługiwała gości w obszernej sieni trzynastoletnia Birdie Bidwell, córka sąsiadów, dumna z tego, że do skromnych dochodów rodziny dokłada swoje uczciwie zarobione grosze.

- Jak się masz, Birdie - powitały ją siostry Jewel.

Dziewczynka uprzejmie odpowiedziała na wszystkie cztery pozdrowienia.

- Birdie - zwróciła się do niej Jasny Nefryt z ciepłym uśmiechem - Różowa Perła powiedziała mi, że jesteś jej najlepszą uczennicą.

- Ale to już długo nie potrwa. Tatuś uważa, że panna w moim wieku powinna zająć się czymś bardziej pożytecznym, a nie tam jakąś nauką. - Wyciągnęła swoje chude ramiona. - Wezmę szale.

Kiedy Gorący Rubin jąta rozplątywać przemyślnie zawiązane końce swojego, Świetlisty Diament zmierzyla ją morderczym spojrzeniem. Dorodna piękność zauważyła to i zaniechała dalszych prób.

- Jest trochę chłodno. Pozwól, Birdie, że wejdem tak, jak jestem.

Dziewczynka poczuła się zaskoczona, ale niczego po sobie nie pokazała. Letnie słońce stało w zenicie i już co najmniej od godziny panował niemożliwy skwar. Skoro jednak jedna z siostr Jewel życzyła sobie pozostać w szalu, to ona, Birdie, nie miała nic do tego.

Szal Jasnego Nefrytu różnił się od pozostałych i wydawał się niezwykle.

- Jak się nazywa ten materiał, panno Jewel?
- Jedwab.
- Jest cudownie miękki i gładki, i chłodny jak woda w stramieniu. - Birdie pieszczotliwie muskała modry jedwab. - Pewnie musiał kosztować majątek.
- Chyba tak. - Jasny Nefryt poklepała dziewczynkę po dłoni. - Kiedy będziesz dorosła, być może będziesz miała taki sam.

Siostry Jewel przeszły do jadalni, a Birdie pozostała sama ze swoimi myślami. Nie marzyła o jedwabiach, były one tylko dla wielkich dam. Marzyła o nowej sukience z samodziału. Nigdy jeszcze nie miała nowej sukienki. Wszystkie jej ubrania były przerobione ze starych i znoszonych sukien mamy.

- Witaj, Millie. - Świetlisty Diament zdolna była swoim donośnym głosem zbudzić umarłego. - Czy znajdziesz dla nas cztery krzesła?

Millie wytarła dłonie w fartuch i odgarnęła ze spoczonego czoła przyklejony doń kosmyk płomienist rudych włosów.

- Ależ ma się rozumieć. Proszę siadać. Dla moich najlepszych gości zawsze znajdzie się miejsce przy stole.

Ujrzała w drzwiach Wadę'a Westona i jej uśmiech nabrał znamion macierzyńskiej czułości.

- Pastor jak zawsze punktualny! - wykrzyknęła i zakręciła się niczym fryga.

Wadę zamknął za sobą drzwi i wolnym krokiem podszedł do stołu. Przywitał się z kilkoma stołownikami, których nie miał okazji gościć dziś w kaplicy,

i usiadł przy Jasnym Nefrycie. Odruchowo odsunęła się od niego wraz z krzesłem.

- W tym mieście nic się nie ukryje - powiedziała ściszym głosem. - I do mnie dotarły już wieści, że córka Lavinii Thurlong, Agnes, obdarowała dziś pastora swoim wypiekiem. Czy nie wypadało w tej sytuacji dać się zaprosić na niedzielny obiad?

- Agnes jest uroczą dziewczyną i pochlebia mi jej życzliwość. Ale nie należę do ludzi, którzy pakują się z zamkniętymi oczyma w zastawione na nich pułapki. U Millie Potter jest stanowczo bezpieczniej.

W tym momencie Millie Potter postawiła przed wielebnym Westonem, i tylko przed nim, talerzyk z ciasteczkami.

- Upiekłam je specjalnie dla pana, pastorze. Z podwójną porcją cukru i cynamonem, tak jak pastor lubi.

Jasny Nefryt o mało co nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Wszyscy w Hanging Tree wiedzieli, że Millie, wdowa z trzema córkami, gorączkowo rozgląda się dla nich za nowym tatusiem, przy czym nie było lepszego kandydata od miejscowego kaznodziei.

- Dobrze pastor to ujął - powiedziała Jasny Nefryt. - Tutaj jest stanowczo bezpieczniej.

Wadę Weston skupił się bez reszty na jedzeniu.

- Ten dom, który pani zbudowała, panno Jewel - odezwał się szeryf Regan, nakładając sobie do mięsa sałatki - jest wielki niczym spichrz zbożowy. Wielkie też jest zmartwienie mieszkańców naszego miasta.

Jasny Nefryt poczuła na sobie liczne spojrzenia.

- Zmartwienie, powiada pan?
- Ludziska martwią się, że ściągnie nam tu pani na karki całe zastępy typków spod ciemnej gwiazdy.

Zdobyła się na chłodny i wyniosły uśmiech.

- Przedwczesne obawy, szeryfie. Myślę, że kiedy otworzę podwoje, wszyscy tu będą mile zaskoczeni. Muzyka z prawdziwego zdarzenia, kulturalna rozrywka oraz jedzenie na najwyższym poziomie - oto, z jakimi propozycjami zetknie się każdy gość w „Złotym Smoku”. Chcę pójść w ślady mojej matki, która podobny lokal prowadziła w San Francisco.

- Jedna słaba kobieta nie uczyni z teksaskiej miejsciny drugiego Paryża - rzucił z przekąsem doktor Prentice.

Jasny Nefryt miała na podorędziu ciętą odpowiedź, jednak zrezygnowała z niej. Sięgnęła po filiżankę i napiła się herbaty. Jeszcze im pokaże. Pokaże im, co zdolna jest osiągnąć jedna słaba kobieta, mając za jedynego wspomożyciela swój upór.

Tymczasem lekarz zdecydował się na zmianę tematu rozmowy.

- Słyszałem o nowym napadzie - rzekł, zwracając się do szeryfa.

Stróż prawa kiwnął głową.

- Tak, w pobliżu Poison Creek. Sześciu bandytów urządziło zasadzkę na Samuela Fishera. Chłop wracał od Farleya Duke'a, któremu pomagał przy budowie tartaku. Samuelowi jakimś cudem udało się uciec. W



rezultacie jego czterej synowie wciąż mają ojca, a jego żona męża. Ale mogło być całkiem inaczej.

- Czy rozpoznał kogoś z bandy? - zapytał medyk.

- Niestety, nie. Mieli zamaskowane twarze. Jednak to bez wątplenia ci sami, co poprzednio.

- Może już nadszedł czas, żeby zebrać ludzi i rozprawić się z tą bandą? - zasugerował lekarz.

- Na pozór nic słusniejszego, ale podjąć taką decyzję jest mi niesłychanie trudno. To bardzo niebezpieczni bandyci. Zabijanie wydaje się sprawiać im przyjemność. Przypominają desperatów. Trzeba więc założyć, że z obławy na nich nie wszyscy wrócą żywi i cali.

- Uważa pan, szeryfie, że znowu zaatakują? - spytała Świetlisty Diament.

Quent Regan wzruszył ramionami. Przypięta do jego koszuli metalowa gwiazda błysnęła przy tym ruchu.

- Nie mam pojęcia. Jedno mogę powiedzieć. Nikomu nie uda się zastraszyć i sterroryzować mieszkańców Hanging Tree. Przynajmniej dokąd ja będę szeryfem. Uczynię wszystko, żeby zapewnić miastu bezpieczeństwo.

Różowa Perła wstrząsnęła się ze zgrozy.

- Tyle tu przemocy, gwałtu i dzikości. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Bez przemocy nie byłoby Teksasu - powiedziała Świetlisty Diament.

- Przemoc jest nieodzownym elementem życia - dorzucił szeryf.

- Pozwolę nie zgodzić się z tym stwierdzeniem - powiedział Wadę Weston. - Można wyobrazić sobie życie, w którym przemoc jest nieobecna.

Jasny Nefryt spojrzała na duchownego. Z profilu nie przypominał tego kaznodziei, który przed godziną wygłosił w kaplicy tak piękne i płomienne kazanie. Z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem, wyglądał raczej niczym łowca nagród, który tropi bandytę z myślą o pieniądzach, jakie dostanie za jego głowę.

- Łatwo tak pastorowi mówić - zauważył szeryf. - Kto nosi Biblię zamiast broni, temu zawsze wydaje się, że świat można urządzić wedle chrześcijańskich zasad. Ale do moich obowiązków należy między innymi również polowanie na opryszków.

- W pewnym sensie czynię to samo. Ja też poluję na nich, z tym że nie po to, aby ich ukarać, tylko żeby wskazać im drogę poprawy i nakłonić do żalu za wyrządzone innym krzywdy.

- Cóż, pastor przebacza, ja karzę, a przynajmniej umożliwiam wymierzenie kary. - Szeryf zaczął bawić się swoim nożem. - I w gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko temu, żeby wysłuchali jakiegoś budującego fragmentu Biblii, nim zadyndają na stryczku.

Doktor Prentice musnął palcami lewej ręki swoje krótko przycięte włosy.

- Nasze miasto nie bez powodu nazywa się Hanging Tree, czyli Szubieniczne Drzewo.

Wszyscy znali pasję doktora. Interesował się histo-

rią miasteczka i wielokrotnie się odgrażał, że upamiętni ją na piśmie.

- Czy w naszym mieście wykonano dużo egzekucji? - spytała Różowa Perła, przestraszona, ale zarazem zafascynowana tematem.

- Dziesiątki, lecz oczywiście trudno podać dokładną liczbę.

- A czy to drzewo wciąż rośnie? - zapytała Jasny Nefryt.

- Nie ma po nim śladu. Mówią, że był to kilkusetletni dąb. Rósł na wzgórzu za miastem od zachodniej strony. Poziome grube konary nadawały się idealnie do wieszania ludzi. Pierwszy zawisnął na nim jakiś nieszczęsny koniokrad. Ludzie zjechali się z całej okolicy. On sobie dyndał, a widzowie urządzili sobie piknik na trawie. Później takie egzekucje były niczym ruchome święta w kalendarzu. Tłum zbierał się, lżył skazańca, napawał się wyrazem jego twarzy i śmiertelnymi drgawkami, a potem, całkiem jak po dzisiejszym nabożeństwie, kobiety rozkładały koce, a mężczyźni wdawali się w gospodarskie pogawędki z sąsiadami.

Jasny Nefryt stwierdziła, że mimo upału jest jej zimno.

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła coś przekonać po obejrzeniu czegoś tak strasznego. To jakies barbarzyńskie obyczaje.

Szeryf skinął głową.

- W pewnym sensie tak, w końcu życie było tu twarde i nie było w nim miejsca na litość. Triumf o-

wało bezprawie i ludzie musieli jakoś się bronić. Każda taka egzekucja wydawała się tym ludziom porządkiem zaprowadzonym w chaosie. Oczywiście, prawda była inna. Na szczęście mój poprzednik na stanowisku szeryfa postanowił, że wyroki w Hanging Tree mogą odąd zapadać jedynie na mocy sędziowskiego werdyktu.

- I co to dało?

- Zmiana była ogromna. Przybyły sędzia kierował się chłodnym rozeznaniem sprawy, a nie emocjami. W rezultacie gwałtownie spadła ilość wyroków śmierci, z czego można wnosić, że poprzednio wieszano również ludzi niewinnych.

Jasny Nefryt spojrzała na Wadę'a Westona w nadziei, że usłyszy z jego ust kilka słów komentarza. Rozczarowała się. Pastor patrzył w talerz, a na jego twarzy malował się gniew.

Nagle wstał od stołu.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam dzisiaj sporo wizyt. Obiecałem Yancy'emu, że przywiozę mu tytoń. Przy okazji wpadnę do Thompsonów, których chłopak spadł z konia i leży w łóżku ze złamaną ręką. Zajrzę też do wdowy Purdy, której, słyszałem, pogorszyło się w ostatnich dniach.

- Tylko proszę zbyt późno nie wracać i uważać na siebie - powiedziała Millie Potter, a na jej twarzy odmalował się niepokój. - Sam pastor słyszał, że ci bandyci za nic sobie mają ludzkie życie.

Wadę kiwnął głową, pożegnał się ogólnie ze wszystkimi i opuścił towarzystwo.

Jasny Nefryt spojrzała na puste krzesło. Przed chwilą siedział na nim człowiek, w którym wyczuła gniew. I ból. Właściwie nic dziwnego. Bronią kaznodziei była Biblia. Wyrok śmierci wydany przez rozwścieczony tłum musiał wydawać się mu czymś obrażającym. Mimo wszystko jednak to przerwanie posiłku w połowie objawiło się jej jako zagadka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Słońce świeciło już mocno z ukosa, a Wadę ciągle był w drodze, objeżdżając chorych i umierających i niosąc im ewangeliczną pociechę.

Wjechał na szczyt pagórka. Wokół jak okiem sięgnąć rozpościerała się jałowa równina, usiana kępkami zrudziałej trawy. A jednak pustka tego krajobrazu nie była zupełna. W odległości około kilometra Wadę zobaczył bryczkę i konie. Kiedy podjechał bliżej, w kobiecie stojącej przy unieruchomionym pojeździe rozpoznał Jasny Nefryt. Patrzyła bezradnie na złamane koło.

- Widzę uszkodzoną bryczkę, lecz mam nadzieję, że pani nic się nie stało, panno Jewel - rzekł, zsiadając z konia.

Była tak uszczęśliwiona jego widokiem, że omal nie rzuciła się mu na szyję.

- Na szczęście jechałam wolno. Skończyło się tylko na niegroźnym stłuczeniu ramienia - powiedziała i jakby przypominając sobie dopiero teraz o swej obolałej ręce, zaczęła ją masować.

Ściagnął brwi.

- Jest pani pewna, że kość jest cała?

Nie czekając na odpowiedź, ujął jej ramię i nacisnął w kilku miejscach.

- Boli? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Zdaje się, że złamane jest tylko koło.

Z jakiegoś powodu słowa te wprawiły go w gniew.

- Co panią napadło, żeby włóczyć się samotnie po tym odludziu? Bawi panią kuszenie losu? Chce pani sprawdzić, czy znowu dopisze jej szczęście przy spotkaniu z bandytami? Oni tu krążą gdzieś w okolicy i naprawdę łatwo na nich się natknąć.

Kiedy się pojawił, samotny jeździec cwałujący ku niej od strony wzgórza, odczuła spontaniczną radość, lecz teraz ustąpiła ona miejsca gniewnej irytacji.

- Nie wiem, czy muszę się tłumaczyć jak mała dziewczynka przed surowym ojcem, lecz skoro już pastor poruszył ten temat, to powiadamiam, że odwiedziłam grób rodziców. Te wizyty są tyleż moim obowiązkiem, co wypływają z potrzeby serca.

Ochłonął, ale tylko na chwilę.

- W takim razie rozsądek nakazywałby zabrać ze sobą kilku uzbrojonych kowbojów.

- Nie muszę chyba wyjaśniać pastorowi, na czym polega ich praca. Na pewno nie na ochronie kobiet.

- Zacisnęła dłoń na rękojęści sztyletu. - A poza tym, jak już raz pastorowi powiedziałam, nigdy nie rozstaję się z tym sztyletem.

Niecierpliwie machnął ręką.

- O ile pamiętam, okazał się bezużyteczny podczas tamtego napadu.

Miała w tej kwestii nieco odmienny pogląd, lecz zanim zdążyła go wyrazić, rzekł żywo:

- A może bawiąc się w kuszenie losu, chce się pani przekonać, czy anioł stróż znów pojawi się we właściwym czasie na właściwym miejscu?

Ściągnęła brwi.

- Na razie widzę tylko duchownego z naszego miasteczka.

- Przykro mi, jeżeli panią rozczarowałem. - Rzucił okiem na koło, a potem przyklęknął i dokładniej je obejrzał. - To poważniejsza sprawa. Potrzebne są narzędzia, których nie mamy. Ale mogę podwieźć panią na ranczo...

Rozpogodziła się.

- O ile, rzecz jasna, zgodzi się pani na kilka przystanków po drodze - dokończył.

Westchnęła. Nie miała wyboru. Jej plany na dzisiejsze popołudnie i wieczór i tak już właściwie wzięły w łeb. Dobrze choć, że znalazł się ktoś, kto podał jej pomocną dłoń i wyratował z opresji. Zdobyla się na uśmiech.

- Bardzo panu dziękuję, pastorze. Będę wdzięczna za podwiezienie. I proszę trzymać się uprzednio powziętego planu. Ja się podporządkuję.

Wadę Weston rozejrzał się po okolicy. W pewnej odległości od miejsca, gdzie stali, zieleniła się kępa drzew, coś w rodzaju oazy na tej spalonej słońcem prairii. Wyprzągł więc oba gniadosze z bryczki, wsiadł na swojego karego i prowadząc tamte konie za lejce, wprowadził je między drzewa.



Czekała go tam miła niespodzianka. Zagajnik faktycznie okazał się oazą. Było tam wszystko, czego potrzebowały zwierzęta - cień, oczko wodne i płacheć soczystej trawy. O konie można więc było na razie się nie martwić. Pamiętał tylko, by mocno przywiązać je do drzewa.

Wrócił do Jasnego Nefrytu i podawszy jej rękę, pomógł wdrapać się na konia i usadowić za sobą. Zanim jednak ruszyli, Jasny Nefryt uświadomiła sobie, że wygląda śmiesznie, by nie rzec, kompromitująco. Obyło się wprawdzie bez rozdarcia szaty, gdyż zapobiegły temu boczne rozcięcia, lecz to, co dotąd skrywała pod tą szatą, czyli nogi, ukazało się w całej swej nie znającej słońca białości od kostek aż po kolana.

Na szczęście pastor tego nie widział, gdyż patrzył wprost przed siebie. Pojawił się też nowy problem. Czy miała objąć go w pasie? Dość długo nie mogła się zdecydować, lecz widząc, że z braku oparcia w strzemionach niebezpiecznie przesuwają się na bok, przyłgnęła do Wadę'a całym ciałem.

Nie mógł tego nie odczuć. Nie mógł też na ten dźwięk kobiecego ciała nie zareagować szybszym biciem serca i grzeszną pokusą, zrodzoną w wyobraźni. Czując bowiem uda, pierś i brzuch tej kobiety, przedstawił ją sobie nagą i tak ponętą, jak ponętny może być tylko pewien rodzaj grzechu. Wizja zaraz zniknęła, gdyż zwalczył ją w sobie, wiedział jednak, że do końca dnia nie odzyska już wewnętrznego spokoju.

- Ze też pastorowi chciało się pamiętać o starej kobiecie. - Wdowa Purdy, drobna i chudziuteńka, gięła wręcz w szerokim łożu, które pół wieku temu zbił z desek jej mąż. - I co za miła niespodzianka znów widzieć pannę Jewel.

Na twarzy Wadę'a odmalowało się zdumienie. Kiedy Jasny Nefryt i ta staruszka zdążyły się poznać? Sądził, że wdowa, której stan zdrowia od dawna już nie pozwalał na wizyty w miasteczku, nic nie wie o nowinkach. Taką nowinką był bez wątpienia przyjazd córki Onyxa Jewela z dalekiego San Francisco. Okazywało się jednak, że pani Purdy nie tylko słyszała o Jasnym Nefrycie, lecz nadto przynajmniej raz musiała się z nią spotkać.

Widząc zdumienie pastora, Jasny Nefryt pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- Moja siostra, Świetlisty Diament, od czasu do czasu przywozi pani Purdy świeżą wołowinę i drób. Raz coś jej wypadło i ja ją wyręczyłam.

- A teraz powiedzcie, kochani, czym tłumaczyć, że zjawiacie się tu razem? - zapytała wdowa.

I znów Jasny Nefryt podjęła się wyjaśniania niejasnych spraw.

- Jechałam bryczką i złamało się koło. Byłabym w wielkim kłopotcie, gdyby nie pastor, który przypadkowo znalazł się w pobliżu i wybawił mnie z opresji.

- Oto cały wielebny Weston - powiedziała staruszka. - Gdziekolwiek się pojawi, tam zawsze musi zrobić coś dobrego. Rozgoście się, proszę.

Skóra na twarzy i dłoniach pani Purdy przypomi-

nała pożółkły pergamin, miejscami pomarszczony, miejscami zaś naciągnięty i gładki. Włosy miała bieleńskie, zupełnie jak te pola bawełny w Luizjanie, gdzie się urodziła i spędziła dzieciństwo. Na jej porysowanej zmarszczkami twarzy znaczyły się jeszcze wyblakłe piegi, których tak bardzo się wstydziła jako dziewczynka, a potem panienska.

Miała na sobie spraną i pocerowaną w kilku miejscach nocną bawełnianą koszulę z długimi rękawami, a na ramionach, wyłącznie przez wzgląd na gości, by nie obrazić ich swoją nieskromnością, dużą wełnianą chustę.

- Napijcie się kawy, moje gołąbeczki?
- Owszem, z przyjemnością - powiedział Wade, zdejmując skórzany płaszcz, który miał na sobie dla ochrony przed kurzem.

Martha, córka pani Purdy, odłożyła robótkę i poszła do kuchni, skąd po chwili wróciła z dzbankiem i dwoma cokolwiek wyszczerbionymi kubkami. Obsłużwszy gości, usiadła na brzegu łóżka i znów w jej palcach zaśmigały druty. Mimo że młodsza od matki o dwadzieścia lat, miała już swój wiek i zaczynała siwieć.

- W czym mógłbym pani pomóc, pani Purdy? - zapytał Wade.

- Moi sąsiedzi nie zapomnieli o mnie, a Martha opiekuje się mną od świtu do nocy. Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak dobrze.

- To skarb mieć przy sobie najbliższych - zauważyła Jasny Nefryt.

Pani Purdy poważnie skinęła głową.

- Została mi już tylko moja córka. Syn i zięć zginęli na wojnie. Męża zmogła wieloletnia harówka. Osiedliliśmy się tutaj, gdy jeszcze było tu dziko, pusto i bardzo niebezpiecznie. Ale byliśmy młodzi i zdrowi. Nie baliśmy się ciężkiej pracy. Zdawało się nam, że podołamy wszystkiemu. - Westchnęła. - W sumie nie mogę narzekać na swoje życie. Było w nim tyle samo cierpienia, co szczęścia. Opuszczam ten ziemski padół w poczuciu, że nie popełniłam żadnego większego grzechu.

- Przestań, mamó - szepnęła córka. - Nie godzi się mówić o śmierci.

- Martha boi się zostać sama. Rozumiem ją. - Stara kobieta pogładziła córkę po ramieniu i zamknęła oczy. - Ale na pewne rzeczy nie mamy najmniejszego wpływu.

- Tak naprawdę to nigdy jeszcze nie byłam sama - powiedziała Martha, podnosząc głowę znad robótki. - Zawsze przy mnie była mama. A potem Jed. A kiedy Jed poległ na wojnie, były dzieci. Dzieci dorosły i rozproszyły się po świecie, a mama... - Wierzchem dłoni otarła łzę, która skapnęła jej na policzek. - A pani, panno Jewel? Czy wie już pani, co to samotność?

Jasny Nefryt zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jakkolwiek ojciec nie mieszkał z nami, odwiedzał nas przy każdej okazji. I zawsze była moja matka. Kiedy rodzice umarli, przekonałam się, że mam trzy wspaniałe siostry. Zapełniły one pustkę, która zaczynała mnie już osaczać.

- To się nazywa mieć szczęście. A pan, pastorze? Doświadczył pan samotności?

- Tak, proszę pani. Wiem, co to samotność, i mógłbym na jej temat coś powiedzieć.

Jasny Nefryt słysząc te słowa, pomyślała, że właściwie bardzo mało wie o pastorze. Po prostu zakładała, że będąc młodym jeszcze mężczyzną, ma tu gdzieś jakąś rodzinę. Ojca, matkę, być może siostry i braci.

- Jak długo pastor był sam? - zapytała Martha.

- Przez większość życia, proszę pani.

Czy ona, Jasny Nefryt, nie przeszłyszła się? Czy faktycznie w jego głosie zabrzmiała nutka bólu? Napiła się kawy.

- I jak pastor poradził sobie z tym osamotnieniem? - Zdając sobie sprawę, że pyta o najbardziej osobiste sprawy, Martha spuściła oczy i lekko się zarumieniła.

- Nigdy się nie zastanawiałem nad moją sytuacją. Po prostu takie było moje życie i musiałem mu jakoś sprostać.

- To się zmieni - odezwała się stara kobieta, dając tym dowód, że przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie. - Pastor jest młody, zdrowy i krzepki. Niebawem też znajdzie wartościową niewiastę, którą poprosi o rękę. - Spojrzenie wodnistych oczu pani Purdy na chwilę skoncentrowało się na Jasnym Nefrycie. - I takim to sposobem skończy się samotność i zacznie życie w rodzinie.

Wadę wyraził pełen rezerwy sceptycyzm i szybko zmienił temat.

- Jako jedna z najstarszych mieszkanek tych okolic, zapewne pamięta pani różne wydarzenia z tamtych lat, gdy napływali tu pierwsi osadnicy i powstawały załążki miasta.

- Tak, mój drogi pastorze. Coś tam zostało w mojej głowie. Oraliśmy kamienistą ziemię, rzucaliśmy w nią ziarno, a wokół srożyli się Indianie, wspomagani przez stokroć gorsze od nich zarazy. Ale jakoś udało się przeżyć.

- A czy była pani kiedyś świadkiem egzekucji i uczestniczką pikników w pobliżu starego dębu, od którego miasto wzięło swoją nazwę? - Wadę podniósł do ust kubek z kawą.

- Kilka, a może nawet kilkanaście razy. Pamiętam dokładnie pierwszą egzekucję. Najpierw widzowie byli głęboko wstrząśnięci zabójstwem, jakie dokonywało się na ich oczach, chociaż każdy uważał, że morderca, koniokrad czy złodziej bydlą zasługuje na karę śmierci. Ale po jakimś czasie napięcie ustąpiło, zaczęły się rozmowy i faktycznie zapanowała atmosfera pikniku czy festynu. Bo widzi pan, pastorze - przez chwilę szukała odpowiednich słów - życie w tej głuszy było bardzo ciężkie. Żyło się, żeby przeżyć. Nie mieliśmy czasu na towarzyskie rozrywki. W rezultacie zaczęliśmy traktować te egzekucje jako pretekst do bycia razem.

Wadę zapatrzył się w swoją kawę, jakby zobaczył pływającą w niej muchę.

- A czy pamięta pani jakąś szczególną egzekucję?

Pani Purdy pogładziła dłonią kołdrę, pod którą leżała.

- Pamiętam wszystkie egzekucje, ale żadna z nich nie była jakąś szczególną. Po prostu za każdym razem wieszano człowieka, który później długo huśtał się na wietrze.

- A czy pamięta pani ranczera Jessiego Simpsona?

Stara kobieta długo patrzyła na swoje powykrecane reumatyzmem dłonie, by w końcu potrzęsnać głową.

- Przykro mi, ale nie pamiętam. Dlaczego pyta pan, pastorze?

- Bez żadnej istotnej przyczyny. Przedtem zadałem to samo pytanie Yancy'emu Winslowowi i też nie mógł przypomnieć sobie człowieka o tym nazwisku. Wydawał się wzburzony, gdy o tym rozmawialiśmy. Nawet zapytał mnie, czy te zabawy pod szubienicą nie zamkną przed nim wrót niebios.

- Yancy był z piekła rodem w czasach swojej młodości. - Stara kobieta złożyła ręce jak do modlitwy. - Być może faktycznie zbyt hasał na tych piknikach i teraz boi się gniewu Pańskiego i kary.

Zapadła cisza, która zaczęła się przedłużać. Wadę podniósł się z krzesła, ale tak jakoś niezgrabnie, że potracił stół, co w rezultacie skończyło się przewróceniem kubka i wylaniem resztek kawy.

- Zmęczyłem panią tymi swoimi pytaniami, pani Purdy. Wpadnę w przyszłym tygodniu zapytać o zdrowie.

- Niech Bóg błogosławi pana, pastorze. - Zamknęła oczy i wydawało się, że zapadła w drzemkę.

Pastor zarzucił płaszcz. Martha wyprowadziła gości przed dom i pomachała im, gdy odjeżdżali.

Wadę milczał. Zdawał się być pogrążony w myślach. Milczała też Jasny Nefryt. Słowa wdowy Purdy obnażyły przed nią surowość tej krainy, którą od niedawna nazywała swoim domem. Surowa i nieczuła, kraina ta była też tajemniczą, jak tajemniczy był strzelec, który ocalił jej cześć i życie.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nagle zerwał się wiatr. Wadę zadarł głowę i spojrział na niebo.

- Nie podobają mi się te chmury - rzekł. - Chyba zanoszą się na burzę. Możemy być w kłopotcie. Do najbliższego domostwa mamy szmat drogi.

Jasny Nefryt odczuła lekki niepokój. Mieszkała tu już od trzech miesięcy i nie widziała, żeby na ziemię spadła w tym czasie choć kropla deszczu. Ale słyszała o nawałnicach, które w mniej lub bardziej regularnych odstępach przetaczały się przez tę krainę. Kłębiące się na północnym nieboskłonie szarogranatowe chmury zapowiadały właśnie coś takiego. Zresztą z minuty na minutę ubywało światła, a masa chmur zagarniała błękitne niebo z zastraszającą szybkością, można by rzec, pożerała błękit. Błysnęło. Świetlisty zygzak połączył niebo z ziemią. Głuchy grzmot wydawał się jeszcze daleki, ale już następny piorun uderzył tak blisko, że wierzchowiec pastora zaczął zdradzać oznaki pewnej nerwowości.

Ujechali kilometr, gdy otwarły się upusty niebios i lunął deszcz. Był tak gęsty i kroplisty, że ograniczył pole widzenia do kilku metrów. Zresztą Jasny Nefryt

nie obserwowwała już świata. Przytuliła się z zamkniętymi oczami do pleców Wade'a i jemu powierzała swój los. Nagle poczuła, że robią gwałtowny skręt w lewo i z kłusa przechodzą w galop.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, przekrzykując wiatr, deszcz, pioruny oraz tętent konia.

- Przypomniałem sobie o pewnej opuszczonej chacie. Może nadal tu stoi. Musimy za wszelką cenę gdzieś się schronić.

Jechali bardzo forsownie. Koń, podwójnie obciążony, od czasu do czasu ślizgał się na rozmiękłym gruncie. A kiedy zatrzymał się, ściągnięty ręką Wade'a, robił bokami ze zmęczenia.

Jasny Nefryt otworzyła oczy. Zobaczyła niewielką chatę z bali, pokrytą jednospadowym dachem.

Przerzuciwszy jedną nogę przez szyję konia, Wade zeskoczył na ziemię i pomógł zsiąść Jasnemu Nefytowi. Zapadła się po kostki w tłustym błocie. Zaproponowała swoją pomoc, lecz pastor nie chciał o niczym słyszeć. Sam rozkubaczy konia, powiedział, a ona niech nie marudzi i wchodzi pod dach.

Pchnęła ciężkie drzwi, które otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem. Ze środka powiało chłodem i lekką stęchlizną. Minęła dobra minuta, zanim jej wzrok przyzwyczał się do zalegającego po kątach mroku. Zobaczyła stół, parę krzeseł i wygasłe palenisko. Wade przyniósł siodło, które rzucił na jedno z krzeseł. Bez słowa wyszedł na dwór. Wrócił po kilku minutach z naręczem opału. Drewno było mokre jedynie po wierzchu i w sumie nie mieli zbyt dużych

kłopotów z rozpaleniem ognia. Gałęzie z początku okopciły się i dymiły, lecz płomień stopniowo wzrastał w siłę, aż wreszcie jął płasać i huczeć.

Jasny Nefryt dokładniej obejrzała wnętrze. Nie było tu podłogi, tylko zwykłe klepisko. W każdej ścianie miał okna znajdował się otwór strzelniczy. Ściany były grube i solidnie łączone. Na klepisku walały się skorupy po rozbitych naczyniach, jakieś szmaty i kawałki drewna, bodaj po roztrzaskanym krześle czy zydlu. Mimo to wnętrze, szczególnie gdy patrzyło się nań w świetle płonącego ognia, sprawiało przytulne wrażenie.

Gruchnął kolejny piorun. Jasny Nefryt wzdrygnęła się. Nagle zrobiło się jej zimno. Zbliżyła się do paleniska.

- Pani drzy - powiedział Wade, podnosząc na nią oczy. - Ja miałem na sobie płaszcz, nie mówiąc o surducie, a pani tylko tę cienką szatę.

- Im cieńsza, tym pręcej wyschnie.

- Wiem, że to krępujące, ale powinna pani zdjąć przemoczone ubranie.

Schyliła głowę, spojrzała na siebie i zawstydyła się swoim wyglądem. Nasiąknięta wodą szata ściśle przylegała do ciała, niczym druga skóra. W obronnym geście skrzyżowała ramiona, pragnąc przynajmniej zakryć piersi.

Na szczęście pastor Weston zajęty był przeszukiwaniem juk, przytroczonych do siodła. Po chwili znalazł to, czego szukał. Na stole pojawiły się robocze bawełniane spodnie oraz flanelowa seledynowa koszula.

- Proszę to włożyć - rzekł, wskazując na wyjęte rzeczy - i rozwiesić swoje ubranie na poręczu krzesła.

- Jak długo tu pobędziemy? - zapytała.

- Trudno powiedzieć. Burze są nieczęstym zjawiskiem w tych stronach, ale jeśli już zacznie padać, to pada niekiedy przez kilka dni. Miejmy nadzieję, że ta burza skończy się nad ranem. Tak czy inaczej, spędzimy tu całą noc.

- Co ludzie sobie pomyślą, kiedy dowiedzą się, że nocowaliśmy pod jednym dachem? Lavinia Thurlong i Gladys Witherspoon uznają to za skandal.

Pokiwał głową z uśmiechem.

- Rozumiem, że troszczy się pani o swoją reputację. Reputacja kobiety to w zasadzie to samo, co honor mężczyzny. Dlatego przyrzekam, że nikomu nie pisnę słowa o naszej przygodzie.

- W tej chwili myślałam akurat o pańskiej reputacji, pastorze. Żadna z tych kobiet nie wybaczy panu nocy spędzonej ze mną. Im wyższe wystawiały panu dotąd oceny, tym niżej spadnie pan w ich oczach. Kto wie, może zaczną nawet rozglądać się za pana następcą.

Nic nie odpowiedział. Diabeł był wszędzie i w każdej chwili mógł dać znać o sobie. Być może to on nawet sprowadził ich do tej chaty. Należało mieć się na baczności. Ufał w swoje siły i pamiętał, że już nieraz zwyciężał w tych śmiertelnych zmaganiach ze złym duchem.

- Więc jak? Posłucha się mnie pani i przebierze?

- Tak, ale proszę się odwrócić.
- Mam się odwrócić? Po co? Myślałem, że woli pani robić te rzeczy jawnie i publicznie. Czy przekraczający próg „Złotego Smoka” mężczyźni nie będą właśnie na to liczyć? - Zobaczmy, że Jasny Nefryt zmienia się na twarzy. - Dobrze już, dobrze. Przepraszam za ten sarkazm. Zgodnie z pani żądaniem odwracam się.

Zrzucił płaszcz, oparł się o brzeg stołu i splótł ramiona na piersiach. Był teraz odwrócony do niej plecami. Wiedziała, że dokąd nie da mu znać, że już po wszystkim, Wadę Weston uszanuje jej wstyd i nie spojrzy w jej stronę. Mimo to była tak zdenerwowana, że walczyła z każdą haftką, tasiemką i pętelką. A potem przy wkładaniu miękkiej flanelowej koszuli odczuła wielką przyjemność, która jeszcze pogłębiła się, gdy wciągnęła spodnie. Wyglądała teraz może jak pajac w tym za dużym na nią ubraniu, ale już nie drżała z zimna i czuła się bezpiecznie.

- Jestem ubrana. Może się pan odwrócić, pastorze.

Spojrzał i uśmiechnął się niemal z ojcowską czułością. W blasku płonącego ognia zobaczył małą, bezbronną dziewczynkę, ubraną w koszulę i spodnie po starszym bracie lub ojcu. Tę dziewczynkę, to dziecko należało teraz nakarmić.

Wyjął z juków zapasy, w które zaopatrzyła go na drogę Millie Potter, jak również koc, dzbanek, kawę w metalowym pudełku i kubek. Koc rozesał na klepisku przed paleniskiem, a dzbanek napełnił de-

szczówką. Zamknął i zarygłował drzwi. Po kwadransie mogli już siadać do posiłku.

Z początku jedli w milczeniu, słuchając trzasku polan, huku piorunów, bębnienia deszczu i zawodzenia wichru. Lecz kiedy skończyło się mięsiwo i przeszli do deseru, to znaczy do kruchych ciasteczek Millie Potter, Jasny Nefryt zdobyła się na komplement:

- Rozpływają się w ustach. Nie wiem, czy kiedykolwiek jadłam coś równie dobrego.

- Czy pani gotuje, panno Jewel? - zapytał, czując w sercu przyjemny niepokój.

Siedziała na kocu ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła w ogień. Jej zazwyczaj blada twarz była teraz ślicznie zarumieniona. Włosy nie kleiły się już do głowy, gdyż wyschły i nabrały lśniącej puszystości.

- Czasami. Na ranczu mamy dwie kucharki. Niekiedy jednak nachodzi mnie jakaś zachciewajka i wówczas sama stoję przy kuchni. Ostatnio upiekłam kurczaka w maśle z korzeniami.

- A skąd wzięła pani te korzenie?

- Przywiozłam spory ich zapas z San Francisco. - Uśmiechnęła się na wspomnienie ukochanego miasta. - Czy wie pan, pastorze, że w tym mieście można kupić dosłownie wszystko?

Za całą jego odpowiedź służyło niewyraźne chrząknięcie. Przepęłniał go teraz zachwyt nad pięknem tej kobiety, która siedziała wraz z nim na kocu i uśmiechała się tajemniczo. Miała delikatną twarz i włosy czarne jak skrzydło kruka, a wargi stworzone do całowania.

- Czy był pan w San Francisco, pastarze? - zapytała.

- Dwa czy trzy razy. Proszę opowiedzieć mi o swoim rodzinnym domu.

Propozycja ta sprawiła jej widoczną przyjemność. Miała naprawdę szczęśliwe dzieciństwo.

- Mój ojciec nazywał „Złotego Smoka” wysepką szczęśliwości na morzu nieszczęść i nędzy. Nie lubił San Francisco. Nie lubił wielkich miast. Był zakochany w Teksasie.

- Więc dlaczego tam jeździł?

Uśmiechnęła się. Jakże prostą mogła tu dać odpowiedź.

- To nie miasto go ciągnęło, tylko moja matka. Kiedy się zjawiał, zaczynał rozmowę od przekonywania jej, żeby wyjechała razem z nim do Teksasu. A jednak, mimo iż był wyłącznym panem jej serca, za każdym razem odmawiała mu. Nie chciała opuścić „Złotego Smoka”. Uważała ten lokal za największe dzieło swego życia.

Wadę ledwie chwycił znaczenia poszczególnych słów. Całą bowiem uwagę skupioną miał na ich melodyce i brzmieniu. Rozkoszował się samym dźwiękiem jej głosu. Mógłby tak słuchać bez końca.

- A jak panu, pastarze, podobało się San Francisco?

- Piękne miasto. W tej plątaninie ulic człowiek może się zgubić, co mi się zresztą raz zdarzyło. Pewnie tęskni pani za tym miejscem?

Skinęła głową na znak potwierdzenia.

- W takim razie co zatrzymuje panią w Teksasie? Dlaczego nie wróci pani do miasta, które kocha?

- Ojciec życzył sobie, bym zamieszkała w jego domu. A jego dom to Teksas, i ranczo, i Hanging Tree, i można by rzec, pani Purdy.

- Ale Onyxa Jewela nie ma już wśród żywych. Może pani o sobie swobodnie decydować.

- Tak się tylko wydaje. Szanuję życzenia mojego ojca, obojętnie, żywego czy też umarłego. A poza tym odnalazłam tu rodzinę. Kocham moje trzy przybrane siostry i one mnie kochają. Myślę, że jego dusza raduje się z mojej decyzji pozostania tutaj na stałe.

- Wygląda na to, że Onyx Jewel kieruje pani życiem nawet po swojej śmierci.

Machinalnie dotknęła złotego łańcuszka, który lśnił na jej szyi w rozchyleniu kołnierzyka koszuli.

- Być może. Całkiem możliwe też, że postępujemy tylko wedle tych zasad, które wpojone nam zostały w dzieciństwie.

Pokiwał głową i popadł w zadumę.

- Pan również kiedyś był dzieckiem, pastorze. Co może mi pan powiedzieć o tamtym okresie swojego życia?

Spojrzał na nią i przez chwilę nie odrywał wzroku od jej twarzy. Zobaczyła w jego oczach ból i gniew.

- Dom mojego dzieciństwa był wszędzie i nigdzie. - Dorzucił drewno do ognia.

- A zatem, o ile dobrze rozumiem, nie ma takiego miejsca, które mógłby pan nazwać swoim domem.

- Zaiste, nie ma. - Mówił teraz twardym głosem,



dobitnie wymawiając każdą sylabę. - Byłem, jestem i będę niczym liść pędzony wiatrem. Gdziekolwiek się zatrzymałem i próbowałem zapuścić korzenie, zaraz jakaś siła rzucała mnie w inne miejsce.

- Wynika stąd, że Hanging Tree jest tylko chwilowym przystankiem w tej nie kończącej się podróży. Lecz co z ludźmi, którzy pokochali pastora i pfyzwyczajili się szukać u niego wsparcia i pociechy?

- To dobrzy ludzie. Szanuję ich i staram się ich nie zawieść. - Wzruszył ramionami. - Ale nie jestem panem swojego losu. Pamiętam, jak to bywało do tej pory. Toteż i teraz przeznaczenie mogło mi już wytyczyć nowe szlaki.

Jasny Nefryt poczuła nagle żal w sercu. Pasterz nie opuszcza swoich owiec, a pastor najwidoczniej nie czuł się związany z ludźmi, którym czytał w każdą niedzielę słowa z Biblii. A może ten żal był tylko wspomnieniem tamtych dni, kiedy trzeba było żegnać się z ojcem, który wracał do Teksasu?

Wstała i jęła chodzić po izbie tam i z powrotem. Wciąż lało, a wicher wciskał się szparami i jękliwie zawodził. Nagle zatrzymała się ze wzrokiem wbitym w ziemię. Coś tam błyszczało, jakby moneta wdeptana w klepisko. Pochyliła się i wygrzebała patykiem srebrny grzebień.

- Grzebień - powiedziała, dziwiąc się temu znalezisku.

Pastor podszedł i zaczął przyglądać się grzebienio-

wi. Niby zwykła rzecz, a patrzył na nią, jakby była warta fortunę.

- Ciekawe, kto tu kiedyś mieszkał - zastanawiała się na głos. - I dlaczego opuścił to miejsce? - Ogarnęła wzrokiem izbę, uważniej tym razem przypatrując się skorupom. - Wygląda na to, że żyła tu rodzina. Ojciec, matka, dzieci. I że opuścili ten dom w pośpiechu.

- Co każe pani tak myśleć?

- Proszę spojrzeć na łóżka. To większe dla rodziców, to mniejsze dla dzieci. Albo ten stół i krzesła. Gładkie kanty mebli nie są takimi ze starości, lecz ponieważ czyjaś ręka, na przykład ręka kochającego ojca rodziny, starannie je wygładziła. Z kolei spójrzmy na naczynia. Są ręcznie malowane. Dla kogoś stanowiły skarb, ale bardziej skarb serca niż skarb materialny. A jednak ten ktoś bodajże wcale się nie przejął, gdy zostały rozbite. Dlaczego? Czyżby opuszczał ten dom w pośpiechu, ratując własne życie? Świadczyłyby o tym ten zgubiony grzebień. Jest srebrny i ma pewną wartość, a jednak nikt nie zadał sobie trudu, żeby pochylić się i podnieść go z ziemi.

- Ma pani oryginalny sposób dochodzenia do prawdy, panno Jewel. Czy przeszłość nie ma dla pani żadnych tajemnic?

Wzruszyła ramionami.

- Czasami ją widzę. Albo też czasami wydaje mi się, że ją widzę. Szczególnie gdy duchy są niespokojne. Wyczuwam je tutaj, wokół nas.

Mogła bawić się w odgadywanie przeszłości, ale

tego nie odgadła. Pastor wziął grzebień, srebrny grzebień nieznaney kobiety, i w milczeniu jął czesać jej włosy. Stała jak zaczarowana. Nie doświadczyła dotąd w życiu niczego delikatniejszego od tego dotyku. Złękła się, że niebaczenie się poruszy i czar pryśnie.

Usłyszała jego słowa:

- A przyszłość? Czy ją również potrafi pani odgadnąć?

- Czasami.

Odłożył grzebień.

- W takim razie proszę powiedzieć mi, czy zamierzam panią pocałować?

- Nie. - Cofnęła się o krok.

- A jeśli pani się myli?

Myliła się przynajmniej w tym sensie, że chciała, żeby ją pocałował. Myliła się więc co do siebie, co do swojej rezerwy i powściągliwości w tych sprawach. Zamknęła oczy i podała mu usta. Czekwała. Na dworze trwała kanonada błysków i grzmotów, ona zaś, Jasny Nefryt, potrzebowała w tej chwili innego ciepła, niż to bijące od płonących szczap i gałęzi.

Czekwała na próżno. Otworzyła oczy. Napotkała jego wzrok. Tak mógł patrzeć tylko człowiek cierpiący, udręczony, podłamany wewnętrznie, który wie, że tuż za progiem czyha śmierć.

Trafnie odgadła jego myśli. Wadę Weston wiedział, bo właśnie to sobie uświadomił, że jeśli pocałuje tę kobietę-dzieweczkę, będzie zgubiony.

Zmobilizował całą swoją wolę i cofnął się o krok.

Stwierdził, że drżą mu ręce. Wepchnął je więc do

kieszeni spodni i odwrócił się twarzą ku palenisku. Ogień strzelał radośnie ku górze, jakby ucieszony jego zwycięstwem nad sobą i nad pokusą, która dopiero co ukazała swą ogromną moc.

- Kończy się nam opał - powiedział. - Idę po nowy zapas. Wygląda na to, że burza będzie trwała przynajmniej do rana.

Narzucił płaszcz, otworzył drzwi i wyszedł w noc.

Jasny Nefryt pozostała sama ze swoimi myślami.

Była wstrząśnięta do głębi swoim zachowaniem. Podała usta mężczyźnie, który ich nie przyjął. Uczyniła tak po raz pierwszy w życiu, tym większa więc była jej rozpacz. Nie do niego miała pretensję, tylko do siebie za swój brak rozwagi i poddanie się nastrojowi chwili.

Wadę Weston był pastorem, duchownym i kaznodzieją, nie zaś obwieszonym koltami Nevadą, który przed laty pocałował ją, nie pytając o zgodę. Dziwne, lecz pamiętała tamten pocałunek i ciepło, które rozlało się wówczas po jej ciele. Czy oczekiwała teraz podobnego doznania?

Spojrzała na leżący na stole srebrny grzebień. On był winien wszystkiemu. To ten grzebień sprawił, że znalazła się w sytuacji pomieszania uczuć i pragnień, których nie potrafiła nawet nazwać. A może sprawiła to burza, która rozszalała się nad teksaską równiną? Przecież podobna burza, choć na mniejszą skalę, przetaczała się teraz w jej sercu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Wadę wrócił z opałem do chaty, Jasny Nefryt już spała. Leżała na łóżku, przykryta kocem, z głową na zgiętym ramieniu. Jej rozrzucone włosy wyglądały niczym płachta kiru. Dostrzegł, że ma bardzo długie, szczupłe i delikatne dłonie. Nie wiadomo dlaczego, dłonie te przykuły na dłużej jego wzrok.

W pewnym momencie poczuł własne ciało. Zbuntowało się ono przeciwko jarzmu woli i wierzało niczym rozwścieczony muł. Rozpaczliwie pragnął tej kobiety i zarazem nienawidził siebie za to pragnienie. Toczyła się w nim walka, której rozstrzygnięcia nie znał, lecz która już teraz angażowała wszystkie jego siły.

Przypomniawszy sobie wszystkie swoje kazania, których tematem była cielesna czystość, i uświadomił sobie nieważkość słów. Za dotyk rąk tej kobiety-dzie-weczki gotów byłby oddać życie.

Więc dlaczego tak się męczył i pasował ze sobą? Nie musiał przecież bać się jej odmowy. Godzinę temu chciała się z nim całować. Ta godzina nie mogła przecież zmienić jej skwapliwej gotowości w pełen niechęci chłód.

Przemógł się i oderwał wzrok od oblicza, które jaśniało w blasku płomieni. Prawie że nienawidził jej. Odebrała mu spokój, czyli wszystko, co miał. Sama zaś, nieświadoma zniszczeń, jakie poczyniła, spała niczym dziecko.

Jasny Nefryt obudziła się. Otworzyła oczy. Ujrzała nad sobą niską powałę. Dopiero po pewnej chwili uświadomiła sobie, gdzie się właściwie znajduje.

Opuszczona chata. Gwałtowna burza z piorunami. Kaznodzieja z Hanging Tree.

Usiadła na łóżku. Ogień wciąż płonął, choć w zasadzie powinna była zobaczyć wygasłe palenisko. Był przecież ranek, o czym zaświadczało światło dnia, które wsączało się do wnętrza przez małe okienka, przypominające otwory strzelnicze.

Rozejrzała się po izbie. Ani śladu Wade'a Westona.

Cisza. Deszcz przestał padać. Burza wyczerpała się i minęła.

Jasny Nefryt szybko zdjęła spodnie i koszulę, które na tę noc pożyczył jej pastor, i nałożyła swoją jedwabną szatę. Jedwab, niezmiennie chłodny w dotyku, teraz był wyjątkowo ciepły, gdyż szata wisiała od wczoraj w pobliżu ognia.

Rozczesała srebrnym grzebieniem włosy i wyszła na dwór. Było chłodno, wilgotno i szaro. Na wschodzie znaczyła się dopiero jaśniejsza wstęga zorzy porannej.

Nieopodal ujrzała Wade'a Westona. Stał przy swoim koniu i wycierał go szmatą. Od czasu do czasu zaprzestawał tej czynności i zastygał w bezruchu. Spra-

wiał wtedy wrażenie człowieka, który pasuje się ze swoimi myślami.

- Dzień dobry - zawołała, podchodząc do ogrodzenia. - Czy w ogóle spał pan tej nocy, pastorze?

Gwałtownie podniósł głowę, jak człowiek, który mimo iż przyłapany na smutnej zadumie, za wszelką cenę chce pokazać światu pogodną twarz.

- Troszeczkę. A pani, panno Jewel?

- Spałam jak zabita. Rezultat wczorajszego zmęczenia.

Poklepał karego i podszedł do ogrodzenia od przeciwnej strony. Powiesił szmatę na dragu. Spojrzał na horyzont.

- Zapowiada się pogodny dzień.

- Nie słyszałam, żeby ktokolwiek tutaj narzekał na brak słońca.

Błado się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że pani oryginalna suknia jest już całkiem sucha.

- Sucha jak pieprz. Przy okazji dziękuję za pożyczanie mi zastępczego ubrania.

- Doprawdy, nie ma o czym mówić.

Jasny Nefryt rozejrzała się po obejściu. Zrujnowane szopy i stajnie, zarośnięte podwórze, nadłamany żuraw studzienny.

- Przygnębia mnie myśl, że ktoś kiedyś tu mieszkał, dbał o każdą rzecz, a teraz wszystko porastają chwasty. Słyszałam, że część osadników nie wytrzymała surowych warunków życia w Teksasie i przeniosła się do innych stanów.

Na czole Wadę'a pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

- I to właśnie pani podejrzewa? Że mieszkająca tu rodzina zamieniła ciężki los farmerów na stosunkowo łatwą egzystencję w mieście.

Jasny Nefryt wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej nie mogę tego wykluczyć. A jakie jest pana zdanie, pastarze?

- Mam dużo ważniejsze rzeczy na głowie niż zastanawianie się nad tą sprawą - rzekł szorstkim głosem i w sumie niezbyt grzecznie.

- Na przykład jakie?

- Na przykład muszę rozstrzygnąć, czy już siodłać konia, czy jeszcze trochę poczekać.

Spojrzała na niebo. Niebawem ukaże się słońce, a za godzinę będzie już grzało. Nie miała nic przeciwko pewnej zwłóce.

- Podejrzewam, że spieszno panu do wygod w pensjonacie Millie Potter.

- Cóż, dokonując wyboru między dobrym a lepszym, człowiek zawsze wybiera to lepsze.

Przesadził ogrodzenie corralu i po chwili zniknął w drzwiach chaty. Chwilę jeszcze postąta, patrząc na parującą i pozieleniałą przez jedną noc ziemię, po czym poszła w jego ślady.

Zastała pastora pochylonego nad jukami, w które wpychał wyjęte wczoraj przedmioty. Czynił to z jakąś niezrozumiałą złością, jakby nie chciał tego wyjazdu, a tylko ulegał przymusowi.

Poczuła pragnienie.



- Czy mogę wypić tę resztkę kawy, jaka pozostała w dzbanku? - spytała.

Kiwnął głową, choć uprzejmiej byłoby dać słowną odpowiedź.

Jego gniew był dla niej zagadką. Czyżby powiedziała lub zrobiła coś takiego, co nie spotkało się w jego oczach z życzliwym przyjęciem?

- Dobrze, że burza minęła - zauważyła, dzieląc się z nim czterema ocalałymi ciasteczkami. - Inaczej krucho byłoby z naszymi zapasami.

Machinalnie przyjął dwa przypadające na niego ciasteczka.

- Ma pani całkowitą rację, panno Jewel. Im szybciej stąd wyruszymy, tym lepiej.

- Trochę żal mi opuszczać to miejsce.

- Dlaczego? - Spojrzał na nią z wyrazem zdumienia na twarzy.

- Jest tu jakoś przytulnie i miło. Pomimo tego opuszczenia. Mam wrażenie, że przemieszkiwała tu kiedyś miłość. - Zarumieniła się. - Zdaniem mojej matki, odziedziczyłam tę słabość po ojcu.

- Jaką słabość?

- Tę skłonność do fantazjowania i ulegania nastrojom. Ojciec wręcz przyznawał się do tego, że stał się bogatym ranczerem bynajmniej nie z przyczyny postanowienia osiągnięcia powodzenia w życiu. Dorobił się majątku całkiem przypadkowo i tylko dlatego, że zawsze odrzucał to, co znane, bezpieczne i oswojone, na rzecz nieznanego, dzikiego, niebezpiecznego. Czynami jego powodowa-

ła fantazja. Aż pewnego razu zateśknił za rodziną i domem i zaczął tego poszukiwać. Nazywał siebie nieuleczalnym romantykiem. Moja matka, przeciwnie, uważała, że romantyzm i interes nie idą w parze.

- A pani która z tych postaw wydaje się bliższa? Rozsądek matki czy romantyzm ojca?

- Zawsze wymagano ode mnie praktycznego stosunku do życia i jasnego myślenia.

- A co z zamażpójściem? Tam gdzie są córki, tam muszą być mężowie.

- Oczywiście.

- A skoro małżeństwo, to romans.

Potrząsnęła głową.

- Bywa inaczej. Niektóre małżeństwa mogą być zawierane na zasadzie handlowego kontraktu pomiędzy stronami. W Chinach zostają małżonkami dzieci w kołysce, bo taka jest wola ich rodziców.

Brzmiało to niczym żart, ale rozumiał, że są różne kultury i cywilizacje.

- A czy pani matka opuściła swój kraj jako zameżna już kobieta?

- Tak. Była żoną mężczyzny, którego wybrał dla niej jej ojciec, a mój dziad. Wysłał ją do Ameryki, żeby zarobiła pieniądze na swój posag. Pobyt ten miał potrwać kilka lat, ale stało się inaczej. Gdy poznała Onyxa Jewela, zakochała się w nim, ale wyjść za niego za mąż nie mogła. Miała przecież już męża i bała się gniewu bogów.

Wadę'a uderzyła nagle pewna myśl.

- A co z panią, panno Jewel? Czy i pani jest mę-  
żatką od kołyski?

Spuściła wzrok.

- Mało brakowało. Takie było pragnienie mojej  
matki. Przyjaźniłyśmy się z pewną rodziną, emigran-  
tami z Chin. Mieli syna, chłopca pełnego rozlicznych  
zalet. Stała się sprawa ślubu, ale mój ojciec zgłosił  
sвій sprzeciw.

Wadę Weston poczuł ulgę. Zrobiło mu się lekko na  
duszy. Mimo swego szacunku dla odmienności in-  
nych kultur, nie mógł przystać na takie obyczaje.

Schylił się po siodło. I wówczas usłyszeli tętent,  
a raczej człapanie końskich kopyt na rozmiękłym  
gruncie. Wyszli przed dom. Zobaczyli gromadę kil-  
kunastu jeźdźców, którym przewodzili Cal McCabe  
i Adam Winter. Pomiedzy nimi jechał na srokatym  
koniu zastępca szeryfa Ario Spitz.

Słońce stało już nad horyzontem i ogrzewało mo-  
krą ziemię.

- A więc tutaj jest nasza zguba! - wykrzyknął Cal,  
zsiadając z konia. - Czy nic ci się nie stało, Jasny Ne-  
frycie?

- Złamało się koło u bryczki. Przejeżdżał pa-  
stor Weston i zaopiekował się mną. Burza zagnała  
nas do tej chaty. Właśnie mieliśmy ruszać w dalszą  
drogę.

- Szukaliśmy cię już wczoraj, Nefrycie. Zna-  
leźliśmy bryczkę i konie, ale ciebie nie było w pobli-  
żu. Musieliśmy przerwać poszukiwania i wrócić na  
ranczo, bo inaczej potopilibyśmy się w tym deszczu.

Bardzo martwiliśmy się o ciebie. Prawie nikt nie spał tej nocy.

Jasny Nefryt poczuła wyrzuty sumienia.

- Tak mi przykro, Cal. Niech moim usprawiedliwieniem będzie fakt, że w żaden sposób nie mogłam was zawiadomić.

- Wiem. Dobrze choć, że natrafiliście na tę chatę.  
- Cal przeniósł wzrok na pastora. - Jesteśmy bardzo panu wdzięczni, pastorze. Zaopiekował się pan Jasnym Nefrytem i tylko dlatego widzimy ją teraz całą, zdrową i... suchą.

Siedzący na koniach mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Cal McCabe wyciągnął rękę, a pastor Weston ją uściskał. Nie był w zgodzie z własnym sumieniem. Pamiętał wszystkie nocne pokusy, którym o mało co nie uległ. Gdyby Cal znał tamte jego myśli, kto wie, czy teraz w jego dłoni, ciepłej serdecznością, nie widniałby rewolwer.

- Wracamy do domu, Nefrycie - powiedział mąż Różowej Perły. - Mamy dla ciebie osiodłanego konia. Radziłbym nie zwlekać z wsiadaniem, gdyż twoje siostry zamartwiają się o ciebie.

To wszystko było takie nagłe i niespodziewane. Jeszcze minutę temu mogła rozmawiać z pastorem na różne tematy, a teraz nie miała nawet czasu, by odpowiednio mu podziękować. Słowa, które sobie uprzednio przygotowała, nie pasowały do tej nowej sytuacji. Odwróciła więc tylko głowę i rzekła:

- Dziękuję, pastorze. Jestem wdzięczna za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wielebny Weston z galanterią uchylił kapelusza.

A potem stał i spoglądał za oddalającymi się ku równinie konnymi. Źródło pokus zniknęło i powinien odczuwać w tej chwili ulgę i radość. W rzeczywistości przepełniał go niepokój. To, co zrodziło się tej nocy pomiędzy nim a panną Jewel, nie mogło zniknąć wraz z chłodem poranka.

Carmelita postawiła przed Jasnym Nefrytem talerz z pieczonym kurczakiem, ryżem na sypko oraz sałatką z zielonej i czerwonej papryki. Było to ulubione danie córki Onyxa Jewela.

- Zrobiłam to specjalnie dla pani, seniorka. Wszyscy tu bardzo martwiliśmy się o panią. Nie ma niczego gorszego, niż być samemu na odludziu podczas burzy.

- Dzięki Bogu, nie byłaś sama - powiedziała z westchnieniem ulgi Różowa Perła, jakby dopiero teraz odsunęła od siebie wszystkie trapiące ją myśli.

- Dobrze, że to akurat wielebny Weston zaopiekował się tobą - zauważyła Świetlisty Diament, dosiadając się do stołu.

Adam i Cal wraz z chłopcami oraz całym zastępem kowbojów pojechali na północne pastwiska, tak iż kobiety same zasiadły dziś do kolacji.

- Jak mam to rozumieć? - zapytała Jasny Nefryt, z apetytem zabierając się do złocistego i soczystego kurczaka.

- Całkiem po prostu. Gdybyś spędziła tę noc z in-

nym mężczyzną, cała okolica już dzisiaj zaczęłaby trząść się od plotek. Już widzę, jak Ario wraca do domu i mówi o wszystkim swojej żonie. A każdy wie, że co wie żona Ario, stanie się wprędce wiadome Lavinii Thurlong i Gladys Witherspoon. Z kolei te dwie zacne niewiasty nie byłyby sobą, gdyby nie rozniosły zasłyszanej wieści po wszystkich kątach miasta. Plotka u nas przypomina spłoszone stado bydła, nie obejrzysz się, a już jest za drugim wzgórzem.

- Na szczęście stało się inaczej - powiedziała Różowa Perła. - Wielebny Weston nie przyniósł uszczerbku twojej reputacji. Nikt w tej sytuacji, nawet zakładając prawdziwie złą wolę, nie zdołałby wmówić innym, że pomiędzy tobą a pastorem wydarzyło się coś... nagannego. Nasz kaznodzieja to uczciwy człowiek i w każdym calu dżentelmen.

Podczas gdy Różowa Perła i Świetlisty Diament rozprawiły o korzyściach płynących z przypadkowego spotkania pastora, Gorący Rubin w milczeniu przypatrywała się Jasnemu Nefrytowi. Przed wszystkim zauważyła rumieńce na policzkach siostry oraz jej cokolwiek spłoszony wzrok, który w końcu utkwiała w talerzu.

- Mówicie o pastorze, jakby nie był on mężczyzną - odezwała się, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie. - A to nie tylko mężczyzna, lecz nadto bardzo przystojny mężczyzna. Nieprawdaż, kochanie?

Jasny Nefryt gwałtownym ruchem uniosła głowę. Ale zareagowała również Różowa Perła.

- Co masz na myśli, Rubinie? Tak po prostu nie godzi się mówić. Czynisz aluzje, które są nie na miejscu.

- Nie czynię żadnych aluzji, tylko stwierdzam fakt, że mówimy tu przez cały czas nie o jakimś suchotniku o twarzy pełnej zmarszczek, lecz o młodym, silnym i przystojnym mężczyźnie. - Gorący Rubin nie spuszczała wzroku z Jasnego Nefrytu, a z jej warg nie schodził tajemniczy i trochę sarkastyczny uśmiech. - To nie mnich ani ksiądz katolicki, którego wiązałby celibat. To duchowny protestancki, który może ożenić się i mieć dzieci. A więc mamy prawo mówić o nim jako o mężczyźnie, który bynajmniej nie musi z jakichś wyższych względów trzymać swoich pragnień w ryzach.

- Wiesz, co ci powiem, kochana siostrzyczko? - Głos Świetlistego Diamentu przypominał w tej chwili głos matki karzącej nieposłuszną córkę. - Niczym nie różnisz się od Lavinii, jej przyjaciółki i wszystkich tych kobiet, które dla sensacji gotowe są poświęcić prawdę.

- Ja nie rozpuszczam plotek, przeciwnie, ściśle trzymam się faktów. - W czarnych oczach Gorącego Rubinu pojawiło się dumne wyzwanie. - Zresztą fakty te potwierdzić może Jasny Nefryt. Powiedz nam, moja droga, czy ten nasz przystojny i barczysty kanzodzieja wystąpił z propozycją roztarcia i rozgrzania twoich zlodowaciałych dłoni?

- Posuwasz się za daleko - ostrzegła siostrę Różowa Perła.

Południowa piękność zwróciła ku niej swoje śmiejące się oczy.

- Oburzasz się jak jakaś świętoszka. Czyżby twój poczciwy Cal czekał aż do oświadczyn z dotknięciem twych dłoni i ust?

Na policzkach Różowej Perły zakwitły jaskrawe rumieńce. Chwyciła leżącą na stole serwetkę i jęła nerwowo wycierać nią usta. Lecz ani jednym słowem nie potwierdziła wstrzemięźliwości swojego małżonka.

- Tak też myślałam - powiedziała Gorący Rubin, przenosząc wzrok na „cudem odnalezioną”. - Mężczyźni, wiadomo, to samcza płęć. Czy zarabiają na życie kazaniami, czy też siejąc kukurydzę, mają słabość do pięknych kobiet. Czekamy, Nefrycie, i umieramy z ciekawości. Opowiedz nam o tej nocy, którą spędziłaś z wielbnym Westonem.

Świetlisty Diament, zauważywszy zmieszanie malujące się na twarzy Jasnego Nefrytu, pośpieszyła z siostrzaną pomocą.

- Kiedy Adam po raz pierwszy mnie pocałował, byłam tak zawstydzona i przerażona, że najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

- Ty przerażona? Przerażona jednym niewinnym pocałunkiem?

Jasny Nefryt była w tej chwili jednym wielkim zdumieniem. O wszystko mogła podejrzewać siostrę, tylko nie o coś takiego. Uważała ją za najsilniejszą i najtwardszą kobietę pod słońcem. Świetlisty Diament urodziła się i wychowała w Teksasie i, można



by rzec, zanim nauczyła się chodzić, już umiała strącać jednym strzałem ptaka w locie.

Świetlisty Diament skinęła głową. Na jej twarzy malowała się powaga.

- Oczywiście. Ale już drugi pocałunek oddałam mu, jakkolwiek ciągle nie mogłam pozbyć się strachu. Wolałabym poskramiać i ujeżdżać dzikie mustangi, niż doświadczać tych wszystkich spraw, które dzieją się pomiędzy kobietą a mężczyzną. Adam Winter, którego pokochałam, odkrył przede mną cały świat uczuć i było to niczym wejście do ciemnej pieczary, gdzie człowiek wszystkiego może się spodziewać, a więc też wszystkiego się boi. - Zamilkła i przez chwilę przyglądała się Jasnemu Nefrytowi. - Czy Rubin ma w gruncie rzeczy rację? To znaczy, czy ostatniej nocy wydarzyło się coś pomiędzy tobą a walebnym Westonem?

Jasny Nefryt zawahała się. Była w rozterce. Siedziała oto przy jednym stole z trzema młodymi kobietami, które stanowiły najbliższą jej rodzinę. Już chociażby z tej racji zasługiwały na szczerłość z jej strony. Faktem jednak było, że od wczesnego dzieciństwa ćwiczone ją w sztuce powściągliwości i wpajano zasadę, że lepiej zasłonić się kłamstwem, aniżeli odkryć prawdę. A poza tym o czym właściwie miała mówić? Przecież nic takiego się nie wydarzyło. To, czego dopuścił się pastor Weston, śmiało można było nazwać jedynie dotknięciem. I do dotknięcia tego nie przywiązywał z pewnością żadnej wagi.

Sięgnęła po filiżankę i napiła się herbaty. Wraz z

aromatycznym, gorzkawym płynem spłynął w nią spokój.

- Pastor jest człowiekiem honoru. Gdyby było inaczej, poczułby ostrze mojego noża.

Świetlisty Diament i Różowa Perła, całkowicie usatysfakcjonowane tą odpowiedzią, wróciły do jedzenia. Lecz purpurowe wargi Gorącego Rubinu wciąż wyrażały pełną ironii niewiarę. Jasny Nefryt poczuła w sercu, że bliższy jej jest ten sceptycyzm niż tamto zaufanie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Z głębi serca dziękuję, pastorze, za pańską troskę i trud. Przebył pastor daleką drogę, żeby spytać o moje nadwątlone zdrowie. Miłą też ucieliśmy sobie pogawędkę. Lubię wspominać dawne czasy w Hanging Tree, a pan, pastorze, okazał się wdzięcznym słuchaczem. Ale cóż, człowiek ma już swoje lata, a starość nadwątła tak samo kości, jak pamięć. - Stary ranczer, podpierając się sękatym kijem, który służył mu za laskę, odprowadził kaznodzieję na próg swojego domu, po czym oparł się o framugę drzwi. Począł na moment, kiedy pastor usadowił się w siodle. - Dziękuję również za mąkę i cukier. Nellie już będzie wiedziała, co upiec, a ona naprawdę nie musi się wstydić swoich wypieków. Niech Bóg błogosławi pana, pastorze.

Wadę machnął na pożegnanie zdjętym z głowy kapeluszem i skierował wierzchowca na drogę ku miastu. Po całym dniu odwiedzin miał wreszcie puste juiki. Dostarczył tytoń Yancy'emu Winslowowi, bochen chleba oraz dwa żywe kurczaki wdowie Purdy, mąkę i cukier Frankowi i Nellie Cooperom. Zajęło mu to cały dzień, gdyż u każdej z tych osób posiedziało,

przekąślił coś i pogawędził. Dla wszystkich tych starych ludzi jego wizyta była równie ważnym przeżyciem, co niedzielne nabożeństwo.

Rzecz jasna, jeśli miał być całkowicie szczerzy wobec siebie, objeżdżał okolicę nie dla samej przyjemności zrobienia dobrego uczynku. Faktyczna przyczyna tych wizyt była daleko mniej szlachetna. Liczył na pamięć swoich gospodarzy oraz ich gotowość snucia wspominków o latach młodości spędzonych w Hanging Tree.

Wjechał na wzgórze, skąd zobaczył w pogłębiającym się zmroku światła miasteczka. Widok był jak z obrazka. Z kominów prosto ku niebu, gdyż było bezwietrznie, unosiły się piuropusze dymów. Żółtawe kwadraty okien tchnęły ciepłem domowych ognisk. Na głównej ulicy jeszcze kręcili się ludzie. Ktoś wchodził do saloonu, ktoś inny do biura szeryfa. Poruszali się niczym sylwetki w teatrze cieni. A jednak pomimo faktu, iż on, Wade Weston, w jakimś tam sensie przynależał do tej małej społeczności, nie czuł się jej częścią. Przeciwnie, czuł się kimś obcym.

Przepełniał go niepokój. Dokąd sięgał pamięcią, nigdy zresztą jego dusza nie zaznała spokoju. Być może przesadzał. Być może kiedyś, gdy jeszcze nie dały o sobie znać te wszystkie dręczące go demony, żył jak inni ludzie i miewał chwile błogiego odprężenia.

To nie było jego miasto. Jego mieszkańcy tak naprawdę byli mu całkowicie obcy. Na dobrą sprawę mógł teraz zawrócić konia i udać się na północ,

wschód czy zachód, nie usprawiedliwiając się ze swojej decyzji przed nikim.

Zamknął oczy i przeciągnął dłonią po twarzy. Czuł się śmiertelnie znużony. Nie ciągnęło go do pensjonatu Millie Potter, ale też nie chciał spędzić tej nocy pod gołym niebem nad brzegiem strumienia.

Skręcił koniem w lewo i zmusił go do ciężkiego galopu. W tej chwili oddalał się od miasta. Miał przed sobą bezkresną przestrzeń dzikiej prerii. Jaśniejszy pas na horyzoncie oznaczał, że tam niedawno zaszło słońce.

- To już ostatni, panno Jewel.

Farley Duke, którego tartak zaopatrywał w deski, słupy i bale wszystkich mieszkańców tego regionu, pracował przy budowie „Złotego Smoka” w charakterze majstra budowlanego. Teraz dołączył on do zbitych w grupę innych pracowników i przypatrywał się wraz z nimi ukończonemu dziełu. Na wszystkich twarzach malowała się ulga i satysfakcja. Okna, drzwi, ściany, schody i dach, słowem, cała zewnętrzna skorupa domu była gotowa i nie wymagała już ani jednego gwoźdźca.

- Jutro wchodzimy do środka i zaczynamy od ścian działowych. Później pójdą sufity, podłogi i reszta.

- Dziękuję, panie Duke. Dobra robota.

Jasny Nefryt również syciła oczy budowlą. Stała oto przed najpotężniejszą, najbardziej okazałą bryłą w mieście, wyeksponowaną ponadto lekkim wybrzu-

szeniem terenu. Na razie, w stanie surowym, budynek wyglądał dość pospolicie. Ale niebawem, pomyślała Jasny Nefryt, kiedy farba pokryje heblowane drewno i pojawią się ornamenty, zaś nad czerwono pomalowanymi frontowymi drzwiami zabłyśnie złoty smok, dom ten stanie się prawdziwą rozkoszą dla oczu. Z przepychem i wygodą wewnątrz nic natomiast nie będzie mogło się równać.

Jasny Nefryt westchnęła. W tej sytuacji wyjazd do San Francisco stawał się wręcz kwestią jutra. Stamtąd tylko bowiem mogła ściągnąć odpowiednie meble i inne element)' wyposażenia. Wiedziała jednak, że nie wyjedzie ani jutro, ani w najbliższym tygodniu. Daleka podróż wymagała odpowiednich przygotowań. W grę wchodziły tylko dalsze terminy.

Robotnicy rozeszli się, gdyż każdy śpieszył się do domu i rodziny. Ona, Jasny Nefryt, też musiała wracać. Zasiadła się w mieście, co z uwagi na grasującą w okolicy bandę było pewną lekkomyślnością. Wsiadła zatem do bryczki i odwiązała lejce. Miała przed sobą długą drogę, a zmrok zaczął już zapadać.

Wkrótce znalazła się za miastem. Po obu stronach wyjeżdżonego przez wozy i konie traktu rozciągała się pozieleniała po ostatnich deszczach preria. Jasny Nefryt pomyślała o pastorze Westonie. Co za dziwny i skomplikowany człowiek. Z jednej strony wydawał się wręcz stworzony do pełnienia duszpasterskiej misji. Nie obciążony rodziną, mógł poświęcić cały swój czas innym ludziom, a szczególnie tym łakącym religijnej i moralnej pociechy. Doprawdy, miał w sobie

coś charyzmatycznego, coś z proroka i nauczyciela tłumów. Jego niski i głęboki głos, przenikliwe spojrzenie, którym zdawał się sięgać dna duszy, imponująca prezencja - wszystko to wyróżniało go z otoczenia i predestynowało do jakichś wyjątkowych zadań. A przy tym wszystkim był naprawdę dobrym człowiekiem. O jego wielkoduszności, szczodrości i otwarciu na innych mówiło całe miasto, a wielu parafian wygłaszało mowy pochwalne na cześć swojego kaznodziei.

Była jednak też druga strona jego osobowości. Pastor z otwarciem na innych potrafił łączyć wyjątkową skrytość własnej natury. Nikt nigdy nie słyszał, żeby mówił o sobie. A kiedy ona raz zapytała go o jego dzieciństwo, zrećźnie wywinał się od odpowiedzi. Był człowiekiem, który wiedząc wiele o innych, sam potrafił ukryć swą przeszłość.

Czyżby jednak właśnie ta aura tajemniczości, w której chodził, pociągała ją ku niemu i wzbudzała namiętną ciekawość? Na pewno tak. Każda zagadka fascynuje, a zagadka łącząca się z drugim człowiekiem fascynuje najbardziej.

Nagle z tej głębokiej zadumy wyrwał ją odgłos strzału, który odbił się echem od pobliskich wzgórz.

Serce skoczyło jej do gardła. Droga biegła właśnie przez las, a za każdym drzewem mógł czaić się w mroku bandyta. Gdzieś z przodu dobiegł jej uszu męski głos. Było to plugawe przekleństwo, po którym z kilku gardeł wydobył się zachrypnięty śmiech.

A więc znów miała nieszczęście natrafić na grasu-

jących w tych stronach od kilku tygodni bandytów! Byli za tamtymi drzewami. Lecz czy już usłyszeli turkot bryczki i tętent koni? Czy to do niej oddali ten strzał? A może celem był królik lub jelen, którego upatrzyli sobie na kolację? Jakże pragnęła w tej chwili, żeby właśnie był to jelen.

Ściągnęła lejce i stanęła. Wstrzymała oddech. Zaczęła nasłuchiwać. Ale słyszała tylko szum krwi w uszach i walenie serca, które trzepotało się trwożliwie w piersi. Najwyraźniej bandyci też zamienili się w słuch. Nagle po dość długiej ciszy jeden z nich się odezwał:

- Co to było?
- O czym mówisz? Niczego nie słyszałem.
- Jakby ktoś jechał drogą. Ukryjmy się i ani pary z gęby.

Jasny Nefryt poczuła, że strach obezwładnia jej członki. Znalazła się w nielichych tarapatach. Nie mogła jechać dalej, gdyż wpadłaby wprost w ręce przyczajonych za drzewami bandytów, nie mogła też zawrócić, gdyż wąską drogę ograniczały w tym miejscu drzewa, a poza tym manewr ten wywołałby wiele hałasu i zdradził jej obecność.

Wybrała trzecie wyjście. Cicho zsunęła się z bryczki i podeszła do koni. Wyprzęgła je, podwiązała postronki, rozdzieliła lejce i wsiadłszy nie bez pewnych trudności na lewego, który wydawał się lepszym biegunem i którego darzyła trochę większą sympatią, mocnym klepieniem w zad wysłała prawego do domu. Konie bowiem to takie przemyślne zwierzęta,



które, znając drogę, potrafią same wrócić do swojego żłobu.

W odróżnieniu od Świetlistego Diamentu, sławnej z woltyżerskich sztuczek, Jasny Nefryt nie mogła się pochwalić, że jazda wierzchem nie ma już dla niej żadnych tajemnic. Ale brak doświadczenia oraz zasadnicza trudność jazdy na oklep zostały zrekompensovane w tym wypadku strachem i determinacją. Postanowiła, że nie da wziąć się żywcem. Kurczowo uczepiwszy się grzywy, poderwała konia do szalonego galopu.

- Tam! Jakiś jeździec! - ryknął ktoś z chaszczy, w których natychmiast wszczął się tumult.

- Nie, to po tamtej stronie. Jest ich dwóch!

Jasny Nefryt, pochylona w galopie, który chwilami przechodził w cwał, spojrzała do tyłu. Za nią, w znacznej jeszcze odległości, pędziło kilku jeźdźców. Ale dzieląca ją od nich przestrzeń szybko się kurczyła. Nie licząc się więc z konsekwencjami tej decyzji, gwałtownie skręciła w las, gdyż tylko leśny gąszcz dawał jej szansę umknięcia pogoni. Natychmiast też stało się to, co musiało się stać. Poczuła, że macki drzew chwytają ją za włosy, rozdzierają ubranie, kalczą skórę na plecach i ramionach. Nie czuła jednak bólu. Zresztą te powierzchowne rany były niczym w porównaniu do stawki, o którą toczyła się gra. Tu bowiem szło o życie. A raczej o życie i kobiecą cześć.

W zwartym leśnym poszyciu goniący ją bandyci siłą rzeczy musieli zwolnić. Dotarli do jej uszu najohydniej sze przekleństwa, które jednak prędko za-

częły cichnąć. Oznaczało to, że zdobywała nad bandytami przewagę. Ponadto, chcąc ich zmylić, co jakiś czas zmieniała kierunek jazdy. Aż wreszcie już nic nie słyszała, tylko trzask łamanych gałęzi i chrapanie swojego zmęczonego konia.

Nagle drzewa zaczęły rzednąć, las się skończył i wyjechała na wolną przestrzeń. Słabe światło księżyca nie pozwalało ocenić, czy była to tylko polana, czy też otwarta preria. Natomiast z dostrzeżeniem swojej podartej szaty oraz rozcięć, zadrapań i ran, z których sączyła się krew, Jasny Nefryt nie miała żadnych trudności. Wciąż jednak nie czuła żadnego bólu.

Pędziła wprost przed siebie. Wolna przestrzeń okazała się prerią. Spojrzała przez ramię. Nikogo. Natężyła słuch. Żadnego tętentu. Chrapanie gniaDOSza raniło uszy. Niebawem będzie musiała zwolnić, gdyż inaczej zajeździ konia.

Uświadomiła też sobie, że właściwie nie zna okolicy. Owszem, poznała miasteczko, ranczo ojca oraz łącząca je drogę. Ale cała pozostała przestrzeń była dla niej ziemią dziką i obcą. Nieznane przeraża, szczególnie jeśli jest noc, a zabłąkana osoba jest kobietą, i to kobietą wychowaną w mieście, gdzie nie sposób się zgubić.

Jasny Nefryt już więc nie bała się bandytów. Bała się ciemności, która ją zewsząd otaczała. Ściągnęła wodze i pozwoliła koniowi iść stępa. Poczwała nocny chłód. Zaczęła drzeć na całym ciele i szczękać zębami. Był to efekt tyleż zimna, co ogromnego napięcia i zdenerwowania. Podążała w niewiadomym kierunku.

ku i właściwie już całkowicie zdała się na swojego konia.

Nagle z ciemności wyłonił się jakiś zwarty i czarny kształt. Przypominało to zarys domu. Podjechała bliżej i rozpoznała chatę, w której przed kilkunastoma dniami ona i pastor schronili się przed nawałnicą. Bezmierna ulga rozlała się po całym jej udreńczonym ciele. Stwierdziła, że z oczu cieką jej łzy. Był to płacz samoistny, poza wszelką kontrolą. Oto bowiem natrafiła na schronienie, dach nad głową, a nawet łóżko. Była uratowana. Jedyna różnica z tamtą przygodą polegała na tym, że dzisiaj nie miała przy sobie swojego anioła stróża.

Zebrawszy resztki sił, zsunęła się z końskiego grzbietu na ziemię. W tym momencie z pobliskiego corralu dobiegło jej uszu ciche rzenie. Cały poprzedni strach powrócił ze zdwojoną mocą. Ktoś tutaj był. Co ona najlepszego zrobiła? Powinna była trzymać się otwartej przestrzeni. Z komina unosił się dym. Tam w środku mógł czekać na nią przyjaciel, lecz równie dobrze wróg.

- Odwróć się. Tylko powoli. Ręce wysoko nad głową. I żadnych sztuczek z bronią.

Natychmiast rozpoznała ów głos, który rozległ się w mroku i był brzemienny groźbą. Już nie musiała niczego się bać. Była uratowana.

- Och, pastarze Weston, to ja, Jasny Nefryt. Pan zawsze zjawia się w momencie, kiedy najbardziej panna potrzebuję... - Wybuchnęła szlochem.

Zza węgła domu wyłoniła się wysoka postać. Po

chwili kaznodzieja był już przy niej. Prawdę mówiąc, nie wyglądał na kaznodzieję. Zamiast zwykłego czarnego surduta i białej koszuli, miał na sobie noszony w tych stronach prawie przez wszystkich mężczyzn kowbojski ubiór.

W rękę zaś trzymał karabin. Jasny Nefryt nie miała żadnych wątpliwości, że broń jest nabita.

Upłynęła dobra chwila, nim odzyskała panowanie nad sobą.

Zaraz jednak zmroziło ją spojrzenie pastora. Nie znalazła w nim ani odrobiny ciepła i serdeczności. Przeciwnie, bursztynowe oczy Wade'a Westona, zazwyczaj pogodne i pełne życzliwości, spoglądały na nią zimno i podejrzliwie, zaś jego wykrzywione usta miały w sobie coś wzgardliwego i odpychającego.

Nie poruszał się. Stał z karabinem w rękę, napięty i jakby gotowy do skoku. Można by rzec, drapieźnik, który, uprzedzając atak, za chwilę rzuci się do walki z zębami i pazurami.

- Co panią tu zagnało? - zapytał chrapliwym głosem.

- Wracałam z miasta do domu, kiedy... - zaschło jej w gardle i przełknęła ślinę - natknęłam się na bandę. Prawdopodobnie tę samą, co poprzednio.

Przełożył karabin do drugiej ręki, jakby nagle zaczął mu on zawadzać.

- Widziała ich pani?

- Tylko słyszałam. Było już ciemno. Oni też mnie usłyszeli i puścili się za mną w pogoń.

Opowiedziała mu urywanymi zdaniami o całym wydarzeniu.

- To było szybko i dobrze pomyślane, panno Jewel - powiedział, kiedy skończyła.

- Wątpię, żebym wtedy myślała o czymkolwiek. - Mimowolnie się uśmiechnęła. - Działałam instynktownie. Doprawdy, niewiele brakowało, bym dostała się w ich ręce. Po prostu dopisało mi szczęście. Ono też doprowadziło mnie tutaj, chociaż jechałam na oślep, prosto przed siebie.

Teraz, kiedy już była bezpieczna, powinna odczuwać radość i tę lekkość duszy, jaka towarzyszy ponoć każdemu cudownemu ocaleniu. Zamiast tego opanowało ją jakieś ogromne znużenie. Nogi ugięły się pod nią i niewątpliwie osunęłyby się na ziemię, gdyby nie Wadę, który odrzucił karabin, doskoczył do niej i chwycił ją w ramiona.

Poczuła na twarzy jego gorący oddech i usłyszała zdławiony głos:

- Dobry Boże, pani krwawi. Czy postrzelili panią, panno Jewel?

- Nie. Jechałam przez las. Tak bardzo się bałam. Nie zważałam na nic. Gałęzie...

Dziwne. Krwawiła, a wciąż nie czuła bólu, tylko ciepło, jakie promieniowało z ciała tego mężczyzny. Teraz dopiero, kiedy trzymał ją w ramionach i przyciskał do swej szerokiej piersi, poczuła się naprawdę bezpieczna. Strach minął, ustępując pola jakiejś rozkosznej omdłałości. Było jej tak dobrze, iż rozpłakała się niczym mała dziewczynka.

I niczym mała dziewczynka zaczęła wycierać wierzchem dłoni łzy z policzków, przy okazji rozmazując krew, która ciekła z niegroźnych zadrapań na twarzy.

Wadę Weston nie zadawał już dalszych pytań, tylko wziął Jasny Nefryt na ręce i zaniósł do izby, gdzie położył ją na łóżku. Od paleniska bił żar płonącego ognia.

Pastor wszedł w rolę lekarza. Przypatrywał się uważnie każdemu skaleczeniu i oceniał, jak bardzo jest poważne. Przy okazji coś zauważył. Oto leżała przed nim istota drobna, krucha i delikatna. Tamci ludzie zrobili jej krzywdę, gdyż to pośrednio przez nich pokaleczyła swoje piękne ciało.

Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę, zamoczył ją w wodzie i przystąpił do przemywania ran. Zachwył nad urodą dziewczyny nie tylko nie ustępował, lecz wzrastał z każdą upływającą chwilą. Jej kosteczki, jej atłasowa skóra, szczupłość ramion, gołębia puszystość piersi - cała ta doskonała cielesna struktura została oszpecona licznymi zadrapaniami. Na szczęście wszystkie one wydawał) się powierzchowne.

- Gdyby ci okropni ludzie doścignęli mnie...

- Sza... - Położył palec na jej wargach.

Ale trzymał go o wiele, o wiele za długo. Kiedy zaś wreszcie cofnął rękę, czuł się jak człowiek, który wyrzekł się czegoś niezmiernie cennego, co mogłoby zapewnić mu szczęście.

Ponownie umoczył chustkę w wodzie, wyjął ją i wrócił do przemywania ran. Narastał w nim gniew. Gniew na bandziorów, lecz przede wszystkim na sa-

mego siebie. Stanowczo przesadzał w trosce o tę młodą kobietę. Obrał zawód kaznodziei, by troszczyć się o zbawienie dusz, a tymczasem już po raz kolejny zabiegał o fizyczne dobro egzotycznej córki Onyxa Jewela. Przejęła go groza na myśl, co by się stało, gdyby znalazła się we władzy bandytów, ale nie podjął żadnych misjonarskich działań, by ją nawrócić na jedyne prawdziwą wiarę chrześcijańską.

Przypominała mu rannego ptaszka. Pomyślał z mieszaniną goryczy i gniewu, że świat rozsypałby mu się na kawałki, gdyby ten ptaszek umarł.

Rana na lewym ramieniu okazała się najgłębsza. Starannie ją przemył i obwiązał paskiem czystego płótna.

Przy tej czynności mimowolnie dotknął jej piersi. Poczuł, że krew burzy mu się w żyłach.

Spojrzał na twarz kobiety-dzieweczki i zobaczył wypieki na jej policzkach. Dwie róże rozkwitłe w zaśnieżonym ogrodzie.

Zdjął kurtkę i okrył to, co odsłaniały rozdarcia szaty.

- Teraz już pani nic nie grozi, panno Jewel. Rany zagoją się i nie będzie nawet blizn. Może za wyjątkiem tej na ramieniu.

Kłamał i wiedział, że kłamie. Rzecz jasna, nie odnośnie tych ran i blizn, tylko zapewniając ją, że jest już całkiem bezpieczna. Nie była wcale bardziej bezpieczna z nim, w tej chacie, niż tam, w lesie, napa-stowana przez bandziorów.

Jasny Nefryt, ciągle zdumiona faktem, że tak duże

dłonie mogą być zarazem tak bardzo delikatne, przeciągnęła się i lekko uśmiechnęła.

- A co pana tu przyniosło, pastorze? Odwracam tylko to pytanie, którym pan mnie powitał.

Stał w tej chwili przy palenisku i mieszał chochlą w garnku. Nie miała pojęcia, jaką to strawę gotuje.

- Zasiałem się u jednego z ranczerów. Noc złapała mnie w pobliżu tej chaty. Pomyślałem, że zanoczę tutaj. Udało mi się jeszcze upolować dwa króliki.

Teraz dopiero zauważyła wiszące na wbitym w ścianę gwoździu dwie królicze skórki. Rozejrzała się i dostrzegła coś jeszcze. Wszystkie okienka w izbie zasłonięte były kocami i szmatami. Ale dlaczego? Właściwie powód wydawał się oczywisty. Pastor chciał mieć pewność, że przypadkowy podróżny lub grasujący w okolicy bandyta nie zauważy w nocy blasku ognia.

Oczywiście, pojawiał się nowy problem. Dlaczego Wadę Weston chciał ukryć swoją tutaj obecność? Pytań przybywało. Pozornie logiczna odpowiedź pastora posiadała przecież pewne luki. Dzisiaj niebo było pogodne, a do miasta od chaty tylko dwie godziny drogi. Wtedy ona i pastor zostali zaskoczeni zniemacka przez burzę, więc siłą rzeczy szukali najbliższego schronienia. Ale dzisiaj Wadę Weston zachował się tak, jakby pragnął ukryć się przed światem lub przed jakąś konkretną osobą. Bo jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że wybrał prymitywne warunki tej cha-



ty, a odrzucił wygodne łóżko i smaczną kolację w pensjonacie Millie Potter?

Wadę postawił na stole dwa dymiące talerze napełnione po brzegi gulaszem z królika. Nie było to być może wykwintne i smakowite danie, lecz Jasny Nefryt umierała z głodu i spałaszowała duszone mięso z wilczym apetytem. Przeszła do porządku nawet nad brakiem soli.

Zaspokoivszy głód, sięgnęła po kubek z kawą. Ale zanim upiła pierwszy łyk, spojrzała na kaznodzieję. Musiała mu to powiedzieć.

- Dziękuję, pastorce Weston. Nigdy panu nie zapomnę, że akurat tej nocy zdecydował się pan tu zajechać. Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

Wadę Weston nie patrzył na nią. Spoglądał gdzie indziej, w kąt izby. Wydawał się bez reszty pogrążony w myślach. I wszystko wskazywało na to, że nie były to wesołe myśli.

Jasny Nefryt wróciła na łóżko. Czuła miłą ociążałość i obezwładniającą senność. Zamknęła oczy. Ale sen, rzecz dziwna, nie nadchodził. W głowie miała gonitwę myśli. Jeżeli Wadę Weston naprawdę pozostawał na służbie swego Boga, to dlaczego był taki tajemniczy? Skąd też u niego ta potrzeba samotności, potrzeba, której miała liczne dowody? I dlaczego nosił broń, mimo iż duchowny, wiedziała to, wyrzeka się broni, przemocy i zabijania? I ostatnia kwestia, może najbardziej frapująca - skąd pomysł zamiany surduta i białej koszuli na ubiór kowboja?

Na wiele z tych pytań nie znała odpowiedzi. Gu-

biła się w domysłach. W końcu zmęczyła ją ta wędrówka po nie kończącym się labiryncie i zasnęła płytkim, niespokojnym snem.

I jak to ona - zasnęła zwinięta w kłębek, z policzkiem na zgiętym ramieniu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Do późna w noc Wadę Weston wyszukiwał sobie różne zajęcia, byleby tylko nie pozostawać sam na sam ze swoimi myślami. Zaczął od wytarcia z piany wierzchowca, na którym przyjechała Jasny Nefryt, po czym napoił oba konie wodą przyniesioną w wiadrze z pobliskiego strumienia i narzucił im siana.

Wziął karabin, starannie oczyścił go, załadował i trzymając broń gotową do strzału, jał przeczesywać okolicę w promieniu kilkuset metrów. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że prawdopodobieństwo pojawienia się tu bandytów było dokładnie takie samo, jak pojawienia się panny Jewel, a nawet znacznie większe, gdyż mogli podążać jej śladem. Chodził więc po okolicznych wzgórzach i nasłuchiwał odgłosu kawalkady. Ale noc była cicha i tylko jakiś pojedynczy kojot skarżył się do księżyca.

Z kolei zajął się gromadzeniem opału. W rezultacie naznosił go tyle, że starczyłoby drewna na tydzień pobytu w chacie podczas mroźnej zimy.

W końcu, chcąc nie chcąc, musiał zaprzestać tej krzątania, gdyż nic już więcej nie było do zrobienia. Wrócił więc pod dach, usiadł na krześle, które za-

skrzypiało pod jego ciężarem, i zapatrzył się na pograżoną we śnie kobietę-dzieweczkę.

Była tak piękna, tak doskonała, że mogła stanowić niedościgły wzór kobiecej urody. Zresztą odkąd pamiętał, zawsze nosił w swym sercu ideał niewieściej piękności, zaś Jasny Nefryt okazała się tego ideału doskonałym spełnieniem. Oznaczało to, że była istotą nie ze snów i marzeń, lecz z tego doczesnego świata. I jako istota jak najbardziej cielesna, stanowiła najzupełniej realną pokusę.

Boże, świat był pełen pokus, on zaś, protestancki duchowny, gotów był w tej chwili ulec im wszystkim. Pragnął skręcić sobie papierosa, napić się whisky, posiadać tę kobietę.

W bezmiernej udręce ukrył twarz w dłoniach. Już po raz drugi walczył z pożądaniem, które zrodziło się w nim i narastało na widok tej śpiącej kobiety, i o ile poprzednio odniósł zwycięstwo nad sobą, o tyle teraz czuł, że słabnie.

A przecież Jasny Nefryt obdarzyła go całkowitym zaufaniem. Zasnęła, gdyż czuła się bezpieczna. On zaś, zamiast stać niezłomnie na straży tego bezpieczeństwa, przemyślał nad tym, kiedy i jak ze strażnika zmienić się w napastnika.

Westchnęła przez sen. Zareagował bolesnym skrzywieniem twarzy. Znów osaczyły go demony. Walka z nimi, wydawało się, była tym razem ponad jego siły. Czuł się jak człowiek posuwający się po wąskiej kładce nad przepaścią.

Zaczęła coś mówić przez sen. Jakieś nie powiązane

ze sobą, ledwo co zrozumiała słowa. Domyślił się, że dręczą ją nocne koszmary, wywołane przeżyciami dnia.

- Nie... ukryć się... prędeej... znajdą mnie...

Poderwał się z krzesła, ukląkł przy łóżku i rzekł zdławionym, lecz donośnym głosem:

- To tylko sen. Obudź się, proszę.

Usiadła z krzykiem. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Kurtka zsunęła się z jej ramion. Poprzez rozdarcia szaty prześwitywała biel stanika. Wadę poczuł taką suchość w gardle, jak gdyby miał je wymoszczone korą.

Spojrzenie przerażonych oczu, prześlicznych oczu łani, spoczęło teraz na jego twarzy.

- Kto tu? Gdzie jestem? - zapytała Jasny Nefryt drżącym głosem, a odzyskawszy jasność myślenia, przez chwilę ciężko oddychała.

A potem stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewał. Przytuliła policzek do jego policzka i pogładziła go czule po włosach.

- Och, Wadę. Myślałam przez moment, że jesteś...

- Wiem. - Smakował w tej chwili równocześnie gorycz i słodycz istnienia i było to prawdziwą męką.

Chciał ją odsunąć na odległość ramion, lecz jedno dotknięcie sprawiło, że padły wszystkie zapory.

Była tak nieprawdopodobnie śliczna. I ciepła. I pełna ufności. I nie mógł jej nie dotykać. Chciałby przez chwilę, którą zdecydował się ukraść wieczności.

Z wielką czułością jął gładzić ją po obnażonych ra-

mionach, ona zaś odpowiedziała na ten dar czułości wdzięcznością dziecka. Westchnęła i pochyliła się ku niemu. Musnął wargami jej skronie, bo gdyby tego nie zrobił, byłoby to bezrozumnym buntem przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy.

- Już dobrze, już dobrze, maleńka - powiedział głosem, który był samą pieszczotą. - Jesteś bezpieczna. Naprawdę nie ma czego się bać.

- Wiem. Ważne, że jesteś przy mnie, i za to jestem ci wdzięczna. - Zamknęła oczy i przez chwilę zdawała się rozkoszować tą jego bliskością. - Gdyby nie było cię tutaj, umarłabym ze zgryzoty, zimna, samotności, głodu i strachu.

- Nawet nie myśl o tym. Wyrzuć z serca strach. Absolutnie nic ci już nie grozi.

Kłamał z bezczelnością węża, który kusił w raju Ewę. Pogardzał sobą z tego powodu, a równocześnie czerpał ze swoich kłamstw jakąś przedziwną satysfakcję.

Ona zaś, wszystko wskazywało na to, przyjmowała te jego kłamstwa za dobrą monetę. Ramiona, które ją obejmowały, były ramionami obrońcy i zbawcy. Pierś, na którą skłoniła głowę, była opoką, siedliskiem męstwa i szlachetności. Słyszała nawet bicie jego serca. Biło w rytmie turkoczącego po wyboistej drodze dylizansu. Zupełnie jak jej serce.

- Cieszę się, że niebawem nastanie dzień. Nie lubię i boję się ciemności. Muszę jak najszybciej wracać do domu. Oni tam znów na pewno niepokoją się ó mnie.

- Dobrze, nie odstąpię cię aż do świtu.

Spojrzał w bezdenną głębię jej oczu. Poczuł zawrót głowy i stracił równowagę.

Opadł ustami na jej usta.

Zesztywniała, lecz zaraz stała się samą miękkością.

Całował delikatnie, lekkimi muśnięciami, tak aby dać jej jeszcze szansę odmowy. Jej jednak zależało na czymś wręcz przeciwnym. Pragnęła ogarnięcia i zniewolenia. Chciała napełnić swoje płuca tajemniczym aromatem tego mężczyzny, smakować jego odmienność, ukoić rozedrgane zmysły.

- Nefrycie - tchnął w jej rozchyłone wargi - spraw, żebym przestał.

- Nie mogę... nie chcę...

Przywarła do niego i oplotła swoimi szczupłymi ramionami.

- Ja również nie chcę - rzekł, drżąc na całym ciele.

Już nie muskał jej warg, tylko miażdżył je w dzikim, niepowstrzymanym pocałunku. Odrzucił wszelkie względy. Sycił się tym, czego tak bardzo chciał uniknąć. Nie liczyły się zasady, pękło jarzmo, które sobie nałożył. Nie był już osobą duchowną. Wyrzekł się swego posłannictwa. Niczym nie różnił się w tej chwili od tych bandytów, którzy kilka godzin wcześniej polowali na kobietę. Był jednym z nich. Rozkoszował się władzą, którą posiadał, i korzyściami, jakie czerpał z tej władzy. Trzymał w ramionach kobietę, niezwykłą kobietę, i tylko to się liczyło.

Dotykał jej jak ślepiec, który stanął przed posągami i przy pomocy rąk pragnie ocenić kunszt artysty rzeźbiarza. Wodził dłońmi po jej ramionach, plecach, karku, szyi...

Ona zaś wyginała się jak kotka, pieszczotliwie głaskana po grzbiecie. Kotki w takich wypadkach zazwyczaj mruczą. I ona mruczała, zapomniawszy o swoim strachu, o zadrapaniach na ciele, ucieczce przez wertepy i porwanej szacie. Grzała się w ogniu jego pieszczot, zaś z jej pysznych czarnych włosów sypały się skry.

- Wadę, obejmij mnie mocno.

Uniesiona pragnieniem, gotowa była ponieść każdą ofiarę. Również ofiarę ze zmiażdżonych kości i pokąsanych ust.

- Całuj mnie, Wadę. Całuj mnie najgoręcej, jak potrafisz.

Z pomrukiem, który przypominał jęk, wdarł się językiem w wilgotną otchłań jej ust. Poczowała mrowie w pewnych częściach ciała. Nie знаła siebie. Była niewinna.

Natomiast on był zgubiony. Już nie miał odwrotu. Rzucił się w przepaść głową na dół i wiedział, że niebawem roztrzaska się o kamienie. A wtedy jego duszą zajmie się szatan.

Pomyślał to i natychmiast o tym zapomniał. Liczyła się tylko chwila obecna. Ta łąka, po której chodził, i te kwiaty, które zrywał.

Jasny Nefryt była kwiatem. Białą różą, lilią brzezienną zapachem, lewkonią spryskaną rosą.



Oderwał usta od jej warg.

- Sądziłem, że zwalczę pokusę. Ufałem w swoją moc. Okazało się, że nie mam woli. Moja wola jest w tej chwili w służbie mojego pragnienia. Pragnę cię, Nefrycie. Pragnę cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

Blask ognia, który różowił jej twarz, nadawał jej zarazem niesłychanej zmysłowości. Jej wargi lśniły i zdawały się napełnione sokami pożądania. Jej oczy rozświetlała namiętność. Jej pierś wznosiła się i opadała. Jej ciepły oddech pachniał najprzedniejszym winem.

Pragnął zasmakować tego wina na trochę inny sposób. Wsunął palec do jej ust, umaczał go w wilgoci, po czym obessał, jakby faktycznie badał jakość trunku.

Jasny Nefryt zastygła w bezruchu. Cofnęła się pamięcią do tamtych lat w San Francisco.

Na pozór wydawało się to niemożliwe.

To nie mógł być on.

Jęknęła. Ogarnęła spłoszonym wzrokiem całą jego sylwetkę, by zaraz skupić się tylko na twarzy. Czoło, nos, linia ust, kolor oczu. Poczwała, że zaczyna się dusić. Potworny ból rozdarł jej serce. Jęknęła po raz wtóry.

- To byłeś ty - wyszeptała.

Zwężił oczy do szparek. Jakby przyczaił się w sobie, jednak z wyrazu jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Mówiłeś wtedy stłumionym głosem i miałeś

brodę jak traper, który spędził zimę w puszczy. Ale nigdy nie zapomnę sposobu, w jaki mnie pocałowałaś. Wtedy również smakowałaś moją ślinę. Byłam dziewczyną i świętowałam tamtego wieczoru szesnaste urodziny.

Milczał. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Mylisz mnie z kim innym.

- Nie. - Odepchnęła go z taką mocą, że omal nie stracił równowagi. Na jej gładkim czole zarysowała się głęboka zmarszczka. - Byłeś cały ubrany na czarno. Grałeś w karty. Wygrywałeś. Ktoś wypowiedział twoje imię. Zapamiętałam je. Nevada. I zabiłeś człowieka. Zastrześliłeś go bez mrugnienia powieką. A potem, kiedy zostałam sama przy stoliku, pocałowałaś mnie.

Znowu milczenie z jego strony. Ani śladu sprzeciwu czy obrony.

Poderwała się z łóżka i jęła długimi krokami chodzić po izbie, załamując w rozpacz ręce. Powoli jednak się uspokajała. Kiedy zaś stanęła i zwróciła ku niemu twarz, zobaczyła na niej płomień nienawiści.

- Jesteś hazardzistą i rewolwerowcem. Lecz nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że patrzę w tej chwili na kłamcę, i to kłamcę najpodlejszego gatunku. Oszukałeś mnie, ale oszukujesz też wszystkich mieszkańców tych stron. Głosisz pokój, a siejesz wojnę. Udajesz duchownego, ty, człowiek wyjęty spod prawa. - Łzy trysnęły jej z oczu. - Jak mogłam dopuścić do czegoś tak strasznego?

Splótł ręce, żeby mieć pewność, że nie poszukają one Jasnego Nefrytu.

- Nie dopuściłem się kłamstwa. Naprawdę jestem kaznodzieją. Przynajmniej próbuję nim być. Z jakim skutkiem, niech orzekają ci, którzy regularnie słuchają mych kazań. A co się tyczy oszukania ciebie, to nie zamierzam przeproszać za ten pocałunek. Szczerze mówiąc, panno Jewel, wina rozkłada się tu po równo. Nie zauważyłem, by miała pani coś przeciwko temu pocałunkowi. - Uśmiechnął się, lecz była w tym uśmiechu sama gorycz. - Pani lubi i lubiła być całowana.

Utrafił w sedno rzeczy, musiała mu to przyznać. Ale o niczym to jeszcze nie świadczyło. Lubiła być całowana, ale nie przez oszustów i tchórzy. Kto bowiem trudni się oszukańczym procederem, ten na pewno jest tchórzem.

- A teraz, kiedy już wiem, na czym polega pana gra, mam w sobie dość woli i przyzwoitości, by położyć temu kres. Co się natomiast tyczy pana, to wszystko na to wskazuje, iż obca jest mu wszelka przyzwoitość. Bo co można powiedzieć o człowieku, który oszukuje całe miasto? Trzeba chyba nie mieć serca i sumienia, żeby wykorzystywać zaufanie innych i ich wiarę w Boga. Ci ludzie nic dla pana nie znaczą. W pana oczach są naiwnymi głupkami. Moim zdaniem, czerpie pan korzyści z najpodlejszego oszustwa, o jakim słyszałam.

Wciąż zachowywał spokój. Przynajmniej na zewnątrz. W środku kąsał go gniew.

- Proszę wybaczyć, ale pani zarzuty i cała ta mowa oskarżycielska nie zasługują na odpowiedź. Niebawem zrobi się jasno. Odprowadzę panią do domu.

- Nie ma potrzeby. Potrafię sama o siebie zdbać.  
Doskoczył do niej i chwycił za ramiona.

- Powiedziałem, że odprowadzę panią do domu.  
Później możemy się już nie spotykać.

Aż syknęła z przepełniającego ją bólu i gniewu.

- Wspaniale. O niczym innym w tej chwili nie  
marzę. Czuję się chora na pana widok. A teraz proszę  
zabrać te swoje łapska.

Posłusznie spełnił jej życzenie.

- Teraz mam łapska. Teraz jestem ohydny, a kilka  
minut temu byłem w pani oczach romantycznym ko-  
chankiem. Jak szybko rzeczy mogą się zmieniać -  
powiedział z pełną goryczy ironią. Nagle błysnął zę-  
bami. - Ale nie jest jeszcze za późno, panno Jewel.  
Mogę znów zmienić się w romantycznego kochanka.  
Wszystko zależy od pani. Od tego, czy nadal pragnie  
pani doznawać przyjemności.

Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym pogardy.  
Przypominała w tej chwili wielką damę odtrącającą  
zaloty kowboja.

- Proszę zejść mi z drogi.

Westchnął i rozłożył ręce. Przez chwilę patrzył jej  
prosto w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Okulbaczę konie - powiedział, kierując się ku  
drzwiom.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mimo że na dalekim horyzoncie pojawił się już błądy pas świtu, reszta nieba usiana była nadal gwiazdami. Masywny łańcuch górski szczyrzył czarne kły szczytów i zdawał się przyzywać tych, którzy kochają przygodę. Ale dwójka jeźdźców nie zwracała najmniejszej uwagi na tę majestatyczną uverturę dnia. Słysząc było tylko skrzywienie siodła i stukot końskich kopyt na twardym gruncie. Jeźdźcy milczeli.

Jasny Nefryt męczyła ta cisza. Wszystko jednak zostało już powiedziane i trudno było jej zwrócić się z jakimś neutralnym słowem do człowieka, do którego czuła głęboką niechęć.

Jechał tuż przy niej, ale rzadko kiedy kierował na nią spojrzenie. Śledził okolicę, a o niej, Nefrycie, przypominał sobie tylko w wyjątkowych chwilach. Na przykład kiedy jej koń się potknął albo z dwóch dróg trzeba było wybrać krótszą lub łatwiejszą.

Jechała z ciężkim sercem. Nigdy jeszcze nie doświadczyła takiego przygnębienia. Wadę Weston okazał się oszustem i kłamcą. Posiadał dwie twarze. Przystojną twarz tajemniczego rewolwerowca z przeszłości, o którym wielokrotnie śniła i marzyła, oraz

czasami dobrotliwą, czasami surową twarz prote-  
stanckiego duchownego, który był otoczony szacun-  
kiem tutejszej społeczności. Ta druga twarz okazała  
się maską.

Musiała jedno mu przyznać. Wybrał dla siebie ma-  
skę najszczelniejszą z możliwych, najskuteczniej  
wprowadzającą w błąd. To dlatego tak późno rozpo-  
znała w pastorze dawnego rewolwerowca. Obie te  
twarze, obie te role społeczne zbyt się różniły od sie-  
bie, by łatwo tu było o jakieś skojarzenia. Pastor to  
ktoś na antypodach rewolwerowca, stanowiący jego  
zaprzeczenie. Nic więc dziwnego, że poznała prawdę  
tylko dzięki zwykłemu zbiegowi okoliczności.

Zdumiewał ją jeden fakt. Ten człowiek, obojętnie,  
rewolwerowiec czy kaznodzieja, był jedynym męż-  
czyzną, jaki kiedykolwiek dotknął ustami jej warg.  
Ona mu nie tylko na to pozwoliła, lecz jeszcze ośmie-  
liła go do tego. A może nawet sprowokowała poca-  
łunek.

W ten sposób postąpiła wbrew mądrym radom  
matki, która wielokrotnie jej powtarzała, że warun-  
kiem sukcesu w interesach jest unikanie mężczyzn.  
Przyniosła też wstyd ojcu, który szczylił się tym, że  
trafnie potrafił oceniać innych ludzi. Jak mogła oddać  
swoje serce kłamcy i oszustowi?

Wjechali na wzgórze, skąd już widać było ranczo  
Onyxa Jewela. Jasny Nefryt zdecydowała się prze-  
rwać ciszę.

- Stąd mogę już pojechać sama.
- Powiedziałem, że odprowadzę panią do domu.

Gniewnie parsknęła.

- Jeżeli tak bardzo troszczy się pan o moje bezpieczeństwo, to z tego wzgórze będzie mnie widać jak na dłoni. Wystarczy odprowadzić mnie wzrokiem. Nie życzę sobie pana obecności w moim domu.

Kiwnął głową. Zdawał się rozumieć jej postawę.

- Jak pani sobie życzy, panno Jewel.

Zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

- Odgrywa pan rolę pastora pod swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem? - zapytała.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Sądziłem, że wie pani o mnie już wszystko. Jestem szarlatanem, a więc wszystko we mnie jest fałszywe i udane.

Dotknął palcami runda kapelusza. Był to znak, że nadeszła chwila rozstania.

Jasny Nefryt uderzyła konia piętami. Gniadosz z parsknięciem puścił się ze wzgórze, wiedząc, że już niebawem stanie przy pełnym żłobie.

Jeszcze nie minęła bramy, gdy z domu na jej powitanie wysypały się siostry.

- Co się stało?! - zawołała Świetlisty Diament.

- Tak bardzo niepokoiłyśmy się o ciebie - powiedziała Różowa Perła. - Kiedy przygalopował jeden z twoich koni, osaczyły nas najczarniejsze myśli.

- Do późna w nocy mężczyźni przeczesywali okolicę, lecz bez żadnego rezultatu - dodała Gorący Rubin.

- Wybaczcie mi. Tak mi przykro. Znowu sprawi-

łam wam kłopot - powiedziała Jasny Nefryt, zeska-  
kując z konia.

Zanim znalazły się na ganku, zdążyła opowiedzieć  
siostronom swoją ostatnią przygodę.

- Kolejna noc z wielebnym Westonem - skomen-  
towała Gorący Rubin, uśmiechem dając do zrozumie-  
nia, jakie to treści podkłada pod te słowa.

Jasny Nefryt wykrzywiła usta.

- I ostatnia.

- Dlaczego? Co się stało? - zapytała Świetlisty  
Diament, zaniepokojona nutką bólu w głosie siostry.

- Nic szczególnego - odparła Jasny Nefryt, świa-  
doma, iż żadnej z sióstr nie zadowalała taka  
odpowiedź. - A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko  
temu, wezmę kąpiel i pójdę do łóżka. Prawie nie spa-  
łam tej nocy.

Znikła we wnętrzu domu, zaś trzy młode kobiety  
spojrzały po sobie z wyrazem zdumienia i niepokoju w  
oczach. Od razu dostrzegły smutek na twarzy Jasnego  
Nefrytu. Siostra odnalazła się, lecz przemieniona nie do  
poznania. Zazwyczaj pogodna i wesoła, przypominała  
dzisiaj kogoś, kogo spotkało wielkie nieszczęście.

- To wszystko przez tych morderców - powie-  
działa Świetlisty Diament, kładąc mimowolnie dłonie  
na kolbie wiszącego u jej bioder rewolweru.

- Oczywiście. Jest taki rodzaj strachu, od którego  
można zwariować. Może upłynąć nawet kilka dni, za-  
nim Jasny Nefryt dojdzie do siebie - powiedziała Ró-  
żowa Perła.

Gorący Rubin klasnęła językiem o podniebienie.



- Mam swoją wersję wydarzeń. Tu w grę nie wchodzi bandyci. Raczej ktoś inny.

Ani Różowa Perła, ani Świetlisty Diament nie spytały siostry, kogo konkretnie ma na myśli. Zresztą nie domysły były ważne, tylko fakty. Wiedziały zaś tylko tyle, ile powiedziała im Jasny Nefryt, choć miały też coraz większą pewność, że nie powiedziała im wszystkiego.

W ogóle tego dnia zachowywała się bardzo dziwnie. Zamknęła się w swoim pokoju i nie opuściła go aż do wieczora. Nawet przysmaki Carmelity nie skusiły jej do otwarcia drzwi. Wieczorem zaś oświadczyła siostrze, że jutro przed południem wyrusza do San Francisco.

Pakowała się przez całą noc.

Na głównej ulicy Hanging Tree stał dylżans pocztowy, załadowany kuframi i walizami Jasnego Nefrytu. Miał niebawem ruszyć w daleką drogę i zbliżała się chwila pożegnań. Trzy siostry Jewel otaczały czwartą, lecz rozmowa z jakiegoś powodu się nie kleiła. Jasny Nefryt nie tylko wyjeżdżała. Również zabierała ze sobą tajemnicę poprzedniej nocy.

Jak zawsze, tak i tym razem pojawienie się w mieście sióstr Jewel wzbudziło powszechne zainteresowanie. Zebrała się spora grupka gapiów, która zresztą rosła z każdą minutą.

Z biura naprzeciwko wyszedł szeryf Regan, a zaraz za nim jego zastępca, Ario Spitz. Kołysząc się w biodrach, szli wolnym krokiem środkiem szerokiej

ulicy, zaś Ario mrużył oczy w jaskrawym świetle południa. Do sióstr Jewel, pchane ciekawością, zbliżyły się Lavinia Thurlong i Gladys Witherspoon, łamiąc tym samym swoją żelazną zasadę nie wchodzenia do domu zadżumionego. „Zadżumionym” w ich najgłębszym przekonaniu była Jasny Nefryt.

- Wygląda mi to na dłuższą wycieczkę - powiedziała Lavinia, zadowolona, że udało się jej użyć bezosobowej formy.

Jasny Nefryt raczyła zaledwie skinąć głową.

- Ciekawe - włączyła się Gladys. - Bo doszły mnie słuchy, że wielebny Weston również wyjechał z miasta. Powiedział Millie Potter, że nie wie, kiedy wróci.

Siostry Jewel, kryjąc zmieszanie, spojrzały na Jasny Nefryt, ale z jej zaciśniętych ust i pobladłej twarzy wypływał oczywisty wniosek, że siostra ani myśli komentować wyjazdu kaznodziei.

- To wszystko stało się tak nagle - powiedziała Świetlisty Diament, gdy Gladys i Lavinia odeszły. - A co nagle, to po diable. Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżała.

- Powiedziałam już wam. - Jasny Nefryt uściśnęła siostrę. - Od czasu do czasu muszę pojawić się w San Francisco, żeby dopilnować spraw. „Złoty Smok” był całym życiem mojej matki, jej wielkim dziełem. Przynosi dość duże dochody i dokąd go nie sprzedam, muszę trzymać rękę na pulsie.

- Nie uprzedziłaś nas o swoim wyjeździe - powiedziała Różowa Perła głosem pełnym skargi. -

Podjęłaś decyzję za pięć dwunasta, a w dodatku twierdzisz, że może cię nie być nawet kilka miesięcy. Dlaczego tak długo? Co właściwie wygania cię stąd? Co się stało?

Coś musiało się stać, wiedziały to już wszystkie siostry, zaś ich niepokój wzmógł się jeszcze po usłyszeniu nowiny o wyjeździe pastora Westona.

- Mój dom w Hanging Tree jest już właściwie na ukończeniu - powiedziała Jasny Nefryt. - Niebawem trzeba będzie przystąpić do urządzania wewnątrz. Część mebli zakupię, część zaś przewiozę ze „Złotego Smoka” mojej matki. Pozostaje też problem pracowników. Nie zamierzam wyrzucać ich na bruk. Tamten „Złoty Smok” tak czy inaczej zostanie sprzedany, muszę więc wyszukać dla ludzi, którzy są ode mnie zależni, jakieś dobrze płatne posady.

- Obiecuj, że będziesz ostrożna, *cherie*. - Gorący Rubin czule uściskała siostrę. - Czeka cię długa podróż stąd do San Francisco.

- Obiecuję.

- Daleka droga stwarza możliwość niebezpieczeństw, ale nie tym się niepokoję. - Gorący Rubin mówiła teraz wprost do ucha Jasnego Nefrytu. - Martwię się tobą i pewnym dżentelmenem. Myślę, że wydarzyło się między wami coś, o czym nie chcesz nam powiedzieć.

- Nie przejmuj się. Będę uważała na siebie. A co do tego dżentelmena - Jasny Nefryt zagryzła wargę - nie zasługuje on na to miano. - Miło było wdychać zapach perfum Gorącego Rubinu, szczególnie gdy

świat rysował się w czarnych kolorach. - Będę za tobą tęskniła, Rubinie. - Objęła spojrzeniem pozostałe siostry. - Was również będzie mi bardzo brakowało.

Woźnica wspiął się na kozioł.

- Możemy ruszać, panno Jewel - zawołał, biorąc do rąk bat i lejce.

Wymieniono ostatnie uściski i Jasny Nefryt zajęła miejsce w dyliżansie. Trzasnęły drzwiczki. Wychyliła się przez okno.

- Nie martwcie się o mnie. Wrócę, zanim zdążyście za mną zatęsknić.

Konie ruszyły, dyliżans zabujał się na resorach, rozległ się świst i trzask bata. Po chwili byli już za miastem. Czwórka koni przeszła w szybki kłus. Jasny Nefryt wysunęła głowę i spojrzała do tyłu. Obłoki kurzu przesłoniły miasto. Pomyślała, że może kiedyś je polubi, gdyż na razie nie wiązała z nim cieplejszych wspomnień. Opadła na oparcie siedzenia. Zamknęła oczy. Zdumiała się łzami, które pociekły jej po policzkach.

Nie powinna płakać. Nie wolno jej było opłakiwać mężczyzny, który ją oszukał. Nie знаła nawet jego prawdziwego imienia i nazwiska. Lecz teraz nie było to już ważne, gdyż wyrzuciła go ze swojego życia. Na zawsze.

- Witaj, Jasny Nefrycie. Wyglądamy cię już od dwóch miesięcy.

- Ładnie wyglądasz, ciociu Lily.

Pomiędzy Jasnym Nefrytem a szczupłą i zgrabną

blondynką w eleganckiej sukni nie istniała faktycznie żadna więź pokrewieństwa. „Ciotką” zaczęła ją nazywać jeszcze jako mała dziewczynka i tak już pozostało. W rzeczywistości Lily Austin była prawą ręką i przyjaciółką Ahn Lin, jej bratnią duszą i najbliższą po Onyksie i córce osobą. To do niej pierwszej Jasny Nefryt się zwróciła, kiedy Ahn Lin umarła. I to Lily obiecała zająć się „Złotym Smokiem” podczas jej nieobecności. A kiedy pobyt w Teksasie dawno już przekroczył ustalone ramy czasowe, Lily zrozumiała, że Jasny Nefryt musi dokładniej poznać swoją nową rodzinę, rozpatrzyć się w środowisku i nawiązać znajomości. Kierowanie „Złotym Smokiem” nie sprawiało jej większego kłopotu. Wiedziała, co zrobić, by każdy miesiąc kończył się wpisem po stronie zysków.

Drzwi pilnował prawdziwy olbrzym o mięśniach jak powrozy. Pracował przez wiele lat przy rozładunku i załadunku towarów w dokach portowych i słyszał z tego, że potrafi rozkruszyć cegłę uderzeniem pięści. Nazywał się Lee Yin i został zatrudniony przez Onyxa Jewela do pilnowania kobiet w „Złotym Smoku”. Dbał o ich bezpieczeństwo, zaś jego lojalność wobec Jasnego Nefrytu nie ulegała kwestii.

Skłonił się swej pracodawczyni oraz pani Austin i zastygł w nieruchomej pozie.

Obie kobiety wstąpiły na schody.

Kiedy Jasny Nefryt przestąpiła próg swojego apartamentu, duszę jej, niczym ptaki drzewo, obsiadły wspomnienia. Służące rozpakowywały bagaże, segregowały i układały rzeczy, ona zaś przechodziła z

pokoju do pokoju i syciła oczy drogimi jej przedmiotami. Gładziła lustra blatów i aksamit kanap, wdychała zapach kotar i firanek, witała swoje lalki, które nic się nie zmieniły wraz z upływem lat.

Otworzyła na oścież okno i napełniła płuca powietrzem San Francisco. Dobiegł jej uszu turkot powozów i dwukółek, tupot końskich kopyt i grzechotanie beczki, którą toczył chłopak o rudej czuprynie. Po drugiej stronie ulicy kłóciły się przekupki. Jak okiem sięgnąć, rozciągało się miasto z jego kamienicami, willami, latarniami, sklepami i labiryntem ulic. Było mglisto i siapił deszcz, co zresztą tutaj nie należało do rzadkości. Od oceanu ciągnęła słona bryza. Widać było dachy spichrzów zbożowych i czubki masztów przycumowanych do nabrzeża żaglowców. Na lśniących od deszczu ulicach tłoczyli się przechodnie. Można było rozpoznać wśród nich przyjezdnych ze wszystkich stron świata. Nie mogła nie kochać miasta, które witało każdego i które jeśli żegnało, to zapraszając do kolejnej wizyty.

- Zapewne chciałybyś odpocząć. Porozmawiamy później.

Jasny Nefryt lekko się wzdrygnęła. Zapomniała na śmierć, że jest z nią ciotka Lily. Cała oddała się wspomnieniom.

- Tak chyba będzie najlepiej. To była długa podróż i faktycznie jestem zmęczona.

Lily Austin klasnęła w dłonie. Służące stanęły w przepisowej postawie ze spuszczonej oczami i pochylonymi głowami. Wysłuchały poleceń. Pół godzi-

ny później Jasny Nefryt, wykąpana, natarta olejkami, odziana w delikatną niczym pajęczyna nocną koszulę, zanurzyła się w pachnące różami prześcieradła. Zasunięto kotary na oknach. Zamknięto drzwi. Została sama w swej sypialni. Ale zanim zasnęła, zwiedziła we wspomnieniach kraj swego dzieciństwa.

Leżała w łóżku i próbowała rozpoznać dźwięki, które przenikały przez ściany. W przeciągu ostatnich kilku miesięcy jej przebudzeniom towarzyszyły odgłosy rancza. Ryk bydła, rżenie koni, kwik świń, gdakanie kur, męskie rechoty i przekleństwa. Teraz słyszała muzykę miasta. Znała ją na pamięć, potrafiłaby wyśpiewać każdą nutę. Od strony zatoki słychać było skargę syreny ostrzegającej statki podczas mgły. Ktoś grał na skrzypcach rzewną, sentymentalną melodię. W barze na parterze dzwoniło szkło, męskie głosy wznosiły się i opadały, jakaś dziewczyna wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Drzwi otworzyły się, wpuściły snop światła, potem cicho zamknęły. Ktoś zbliżał się do łóżka, trzymając w ręku lampę naftową. Jasny Nefryt poznała ciotkę Lily.

- Nie śpisz, kochanie? - spytała elegancka blondynka.

- Przespałam cały dzień. Teraz czuję się wypoczęta i... głodna jak wilk.

- Więc ubierz się, zrób z siebie bóstwo, a potem zejdziemy na kolację. Przy posiłku opowiesz mi o wszystkim. Nic nie wiem o Teksasie, a jeszcze mniej o ranczu twojego ojca.

Jasny Neryt przemyła twarz, ramiona i szyję wodą różaną, wyszczotkowała włosy, aż lśniły niczym smoła, po czym oblekła swoją najwspanialszą szatę w kolorze turkus. Kiedy wraz z ciotką schodziła po schodach, czuła się lekka, radosna i jakby odrodzona. Ranczo było dla takich kobiet jak Świetlisty Diament. Natomiast jej naturalnym środowiskiem był dom, obojętnie, w San Francisco, w Waszyngtonie czy w Teksasie, do którego przychodzą mężczyźni, by mile spędzić wieczór.

Na parterze szumiało niczym w ulu. Mieszały się tutaj wszystkie języki i dialekty, jak również wszystkie kolory skóry. Jasny Nefryt witała gości w ich ojczystych językach. Rozmawiała z nimi po angielsku, francusku, hiszpańsku, włosku, niemiecku. Przechodziła od grupy do grupy, mężczyźni zaś albo rozstępowali się przed nią, albo też witali ją i zapraszali do pogawędki. Była tu królową, a oni tworzyli jej dwór. Dotarła w końcu do gabinetu przylegającego do salonu i usiadła wraz z ciotką przy zastawionym chińską porcelaną i kryształami stoliku.

Pojawił się czarnoskóry kelner. Nalał wina do misternych pucharków.

Jasny Nefryt uniosła brwi.

- Alkohol?

Lily uśmiechnęła się.

- Potraktuj, proszę, ten wieczór jako niezwyčajny. Już tak dawno nie siedziałam z tobą przy wspólnym posiłku. Zresztą tego rodzaju powroty jak twój koniecznie trzeba uczcić.



Jasny Nefryt sięgnęła pamięcią do tamtego wieczoru, kiedy świętowała szesnaste urodziny. Wówczas również siedziała w tym gabinecie. Tylko że zamiast ciotki Lily miała przy sobie rodziców. Był jeszcze ktoś. Mimowolnie rozejrzała się po sali.

- Czy kogoś oczekujesz? - spytała Lily.

Jasny Nefryt poczuła ogień na policzkach. Chcąc zatuszować zmieszanie, sięgnęła po wino.

- Nie - odparła. - Rozglądam się, gdyż wszystko jest tu takie nowe, a zarazem znajome. Będzie mi brakowało tego domu i tych wnętrz. A najbardziej niepowtarzalnej atmosfery tego miejsca.

- Mówisz, jakbyś właśnie miała zamiar wyjechać.

Jasny Nefryt poczekała z odpowiedzią do odejścia kelnera.

- Zgadłaś, ciociu Lily. Nie wyjeżdżam ani dzisiaj, ani jutro, ale niebawem na dobre opuszczę San Francisco. Mój dom jest teraz w Teksasie. Wróciłam tu, by sprzedać „Złotego Smoka”.

Lily Austin zmieniła się na twarzy. W jej szeroko otwartych oczach pojawił się lęk. Wargi drżały. W jednej chwili postarzała się o kilka lat.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Sięgnęła po kryształowy puchar i opróżniła go niemal do dna. - Co się stanie z nami?

- Mam nadzieję, że nie odstąpisz mnie i razem pojedziemy do Teksasu. Odnajdziesz tam dokładnie to, co utracisz tutaj. Kończę budowę nowego „Złotego Smoka”.

Lily wybuchnęła śmiechem, w którym nie było za grosz wesołości, a za to mnóstwo smutku.

- Chcesz, żebym zmieniła San Francisco na Teksas? Zagrzebała się do końca życia w jakimś zapyziałym miasteczku? Jak ono w ogóle się nazywa? Hanging Tree? Już sama ta nazwa wystarczy, by człowiekowi ciarki przechodziły po krzyżu.

Jasny Nefryt nie spodziewała się takiej reakcji. Aż do tego momentu głęboko wierzyła, że ciotka przyjmie z entuzjazmem jej propozycję. Chciała ziścić swoje marzenie nie wbrew ciotce, lecz za jej zgodą i poparciem.

Napiła się wina. Ważyła każde słowo.

- Odnalazłam w Teksasie rodzinę. Siostry. Diament i Perła są zamężne i mają własne domy. Ich ranca przylegają do naszego, chociaż zazwyczaj mieszkamy razem w domu ojca, gdyż tak jest milej, serdeczniej i cieplej. W okolicy płyną rzeczki i strumienie, w których krystalicznie czystej wodzie widać ryby jak na dłoni. Słońce świeci prawie przez cały rok i czasem wydaje się, że jest tego słońca aż za dużo. Pastwiska rozciągają się aż po horyzont zamknięty łańcuchem gór. Teren jest lekko pofałdowany, a na zboczach niewielkich wzniesień i pagórków pasą się wielotysięczne stada bydła. Mało tam lasów, ale tu i ówdzie zielenią się cieniste zagajniki. Gorący Rubin nie wyszła jeszcze za męż, a ponieważ i ja jestem panną, więc jesteśmy ze sobą najbliżej. To bardzo oryginalna osoba, inteligentna i przenikliwa. Ja i siostry stanowimy rodzinę. Prawdziwą

rodzinę. Pokochałam je i nie chciałabym się z nimi rozstawać. Ale muszę nadać swojemu życiu w Teksasie jakiś cel i kierunek. A jedyną rzeczą, jaką potrafię robić, jest prowadzenie takiego domu, jak ten.

Lily odłożyła sztucce. Jedzenie stawało jej w gardle. Coś przygniatało jej piersi.

- Rozumiem, Nefrycie, twoją potrzebę bycia w rodzinie. Pamiętam rozpacz i ból, który widziałam w twoich oczach, gdy żegnałaś ojca, co zdarzało się dokładnie tyle razy, ile razy go witałaś. Ale myślałam dotąd, że to my jesteśmy twoją rodziną. Ja i oni, my wszyscy, którzy pracujemy tu i związani jesteśmy z tym domem.

- Wiesz, że cię kocham, ciociu. - Na twarzy Jasnego Nefrytu malowało się głębokie zmartwienie. - Zawsze byłaś bardzo ważną częścią mojego świata. Ale Diament, Perła i Rubin są córkami mojego ojca. W ich żyłach płynie jego krew. Dopiero co odnalazłyśmy się i każda zaakceptowała pozostałe. Nie chcę żyć z dala od nich. Mieszkając z nimi i mając je pod bokiem, mam wrażenie, że kontaktuję się na co dzień z moim ukochanym ojcem. Jest on ze mną bardziej tam niż tutaj.

Lily w milczeniu przypatrywała się córce swojej zmarłej przyjaciółki. W końcu odsunęła talerz i wstała.

- Daj mi trochę czasu, bym mogła to przemyśleć. A teraz muszę wracać do swoich obowiązków. - Wyciągnęła rękę. - Dołączysz do mnie?

Jasny Nefryt skinęła głową i przyjęła wyciągniętą dłoń.

Wkrótce obie kobiety wtopiły się w towarzystwo. Pełniły honory domu. Dbały, żeby każdy gość miał kieliszek i nie siedział sam w kącie. Co jakiś czas zatrzymywały się, żeby z kimś porozmawiać, wysłuchać opowiadania o morskich przygodach, wezwać kelnera lub załagodzić sprzeczkę.

Pozostawiwszy ciotkę Lily w głównym salonie, Jasny Nefryt przeszła do pokoju, gdzie, jak poinformowano ją, grano w pokera o wielkie pieniądze.

Przy stoliku pod nisko wiszącym żyrandolem siedziało kilku mężczyzn. W powietrzu unosił się dym cygar. Od czasu do czasu padało jakieś lakoniczne słowo, nierzadko też przekleństwo, gdy przy sprawdzaniu partner wykładał silniejszą kartę. Karty rozdawała młoda kobieta o ciemnej cerze i długich rękach. Na jej twarzy malowało się skupienie, a szczupłe dłonie wydawały się dłońmi wirtuoza. Za niektórymi z graczy stały kobiety, pensjonariuszki „Złotego Smoka”, które zapalały im cygara, nalewały alkohol do kieliszków albo po prostu szeptały im coś do ucha.

Nagle Jasny Nefryt stanęła w pół kroku. Zalała ją fala gorąca. Tytoniowy dym zaczął szczypać w oczy.

Jeden z graczy, czarno ubrany mężczyzna o szerokich ramionach, podniósł głowę. Policzki okrywał mu tygodniowy zarost, a na skórzanej kurtce znaczył się kurz podróży. Ale ona, Jasny Nefryt, nie miała żadnych wątpliwości. Te same oczy i to samo skrzy-

wienie warg. Ta sama linia nosa i te same łuki ciemnych i gęstych brwi.

Przy karcianym stoliku siedział Wadę Weston. Ale jakże zmieniony.

Stanowił zwierciadlane odbicie tamtego tajemniczego rewolwerowca z jej wspomnień.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jasny Nefryt wzięła się w garść dopiero po dłuższej chwili. Na szczęście mężczyźni, wpatrzeni w karty, nie zauważyli jej zmieszania. Podnieśli na nią oczy dopiero w momencie, gdy stanęła przy stoliku.

- Moje uszanowanie, panno Jewel - powiedział, wstając, jeden z dżentelmenów. - Tęskniliśmy tu wszyscy za panią. Słyszałem, że ostatnie kilka miesięcy spędziła pani w Teksasie. Moje kondolecje z powodu śmierci ojca.

- Dziękuję, senatorze Hammond. Dobrze jest być znowu w naszym pięknym mieście.

- Panowie - senator powiódł wzrokiem po twarzach swoich partnerów - pozwólcie, że przedstawię wam pannę Jewel. Ta urocza dama jest właścicielką „Złotego Smoka”.

Rozległo się szuranie odsuwanych krzeseł, lecz Jasny Nefryt gestem dłoni zwolniła panów z obowiązku wynikającego z uprzejmości i dobrego wychowania.

- Proszę sobie nie przerywać. Zechcą panowie zachowywać się tak, jakby mnie tu nie było.

- Ależ w ten sposób wyrzekniemy się najwspa-

nialszego przeżycia - zaproponował senator, a pozostali panowie żywiłowo go poparli.

Nastąpiła seria prezentacji, o tyle przyjemnych, że Jasny Nefryt ścisnęła dłonie najświetniejszym obywatelom San Francisco, każdego z nich obdarzając czarującym uśmiechem i jakimś miłym słowem.

Jednak w jej duszy szalała burza.

- A to jeden z najlepszych graczy karcianych, z jatami miałem okazję się zmierzyć - powiedział senator ze śladem patetycznej podniosłości w głosie. - Przedstawiam pani Nevadę, pokerowego mistrza.

- Panno Jewel. - Wadę Weston nieznacznie skinął głową, nie spuszczać wzroku z twarzy Jasnego Nefrytu.

Trudno było cokolwiek wyczytać z jego oczu. Ich chłód miał w sobie coś bezosobowego.

Wadę Weston potrafił ukryć wzburzenie. Albowiem był wzburzony. Ostatni raz widział Jasny Nefryt tydzień temu, kiedy zjeżdżała wyciągniętym kłusem ze wzgórza. Ani się wówczas domyślał, że zamierza wyjechać z Teksasu. Nagle poczuł irracjonalny napad gniewu. Co ona tu właściwie robiła? I dlaczego musiało to stać się akurat teraz?

- Czy mógłbym za jakąś godzinkę zaprosić panią na kieliszek sherry? - zapytał senator, unosząc do ust dłoń Jasnego Nefrytu.

Zdobyła się na uprzejmy uśmiech.

- Z miłą chęcią przyjmuję zaproszenie. Pani Austin powiadomi mnie, kiedy panowie skończycie. -

Spojrzała na ustawionych w półkolu mężczyzn. - Życzę powodzenia, panowie. Niech karta wam sprzyja.

Odwróciła się i skierowała ku drzwiom. Usiłowała iść zwyczajnym krokiem, walcząc z pokusą płochliwej ucieczki. Czuła na plecach pałacy wzrok Wade'a Westona. Z niewysłowioną ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy znalazła się w swoim gabinecie, bezwładnie opadła na fotel. Utkwiła nieruchomy wzrok w kącie pokoju.

Wade Weston. Tutaj w San Francisco. A zatem dla tych kart i dla pieniędzy wyjechał tak szybko z Hanging Tree. Doszły w nim do głosu dawne namiętności. Natura ciągnie wilka do lasu. Już nie był małomiasteczkowym kaznodzieją. Widocznie ta rola znudziła mu się. Zrzucił maskę. Stał się na powrót sławnym hazardzistą i bezwzględnym rewolwerowcem. Nevada.

Nie pozostało w nim ani śladu z człowieka, który cieszył się szacunkiem prowincjonalnej społeczności i którego kazania komentowano z wypiekami na policzkach. Zmienił się w swoje przeciwieństwo. Stał się jednym z tych, którym jako pastor wytykał bunt przeciwko Bożym przykazaniom. Zabijaką o zagadkowym imieniu Nevada.

I co miała zrobić w tej sytuacji? Jak przetrwa te wszystkie kolejne dni, mając pełną świadomość, że kochanek z jej dziewczęcych snów jest tak blisko i tak dojmująco namacalnie? Załamała ręce. Wiedzia-



la przynajmniej jedno. Dawne marzenia stały się zmorą.

Fortepian milczał. Skrzypiec też nie było słychać. Przez szpary w kotarach sączyła się poranna szarość. Na parterze i na piętrach zalegała cisza, tylko od czasu do czasu dobiegał z jakiegoś pokoju kobiecy śmiech. Goście się rozproszyli. Niektórzy wrócili do swych domów i żon, inni marudzili w barze, pozostali udali się z dziewczętami na górę. Te pensjonariuszki, które nie znalazły klientów, poszły spać.

Próbując uspokoić wzburzone nerwy i zająć umysł czym innym, Jasny Nefryt wertowała księgę przychodów i rozchodów. W pewnym momencie usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Uniosła głowę. Zobaczyła mężczyznę, o którym od kilku godzin myślała. Przeszedł po dywanie i stanął przed jej biurkiem.

Wszystko mu można było zarzucić, ale nie to, że nie był przystojny. Wyglądał na bohatera romansów, legendarnego i tajemniczego jeźdźca znikąd. Opanował ją lęk i gniew. Lęk, ponieważ była świadoma, jak bardzo pociąga ją ten mężczyzna. Gniew, gdyż obiektem jej tęsknot był kłamca i oszust.

- Dżentelmen zawsze puka, zanim wejdzie - powiedziała z przekąsem.

- Zgadzam się z tą definicją dżentelmena.

Wyjął i zapalił cygaro, po czym, nie pytając o pozwolenie, usiadł, a raczej rozparł się na stojącym przed biurkiem krześle. Na serdecznym palcu jego prawej dłoni lśnił złoty sygnet z bursztynem.

- Nikt nigdy nie nazwał Nevady dżentelmenem - dodał.

- Co robi pan w San Francisco? - zapytała.

- Mógłbym zadać pani to samo pytanie.

- W moim przypadku wszystko jest jasne. Jestem właścicielką tego domu.

- Domu pełnego cnoty i pobożności - dodał z nie skrywanym sarkazmem, krzyżując wyciągnięte nogi.

Żachnęła się. Czyżby ten hazardzista i zabójca przywłaszczył sobie prawo do ferowania ocen moralnych?

- Jako bywalec „Złotego Smoka” przyczyniam się w mniejszym lub większym stopniu do wzrostu dochodów jego właścicielki - powiedział, zanim zdążyła udzielić mu stosownej odpowiedzi.

- To bynajmniej nie usprawiedliwia pana wtargnięcia do mego gabinetu.

Wykrzywił w uśmiechu wargi.

- Jeśli chcę coś zrobić, nigdy nie proszę o pozwolenie. Taką już mam naturę.

Poderwała się z krzesła. Nie mogła opanować wzburzenia. Jej pierś falowała. Oczy ciskały błyskawice.

- W moim domu mimo wszystko obowiązują pewne zasady. Nie chce się pan im podporządkować, to proszę znaleźć sobie inne miejsce. Drzwi „Złotego Smoka” są dla pana zamknięte.

- Doprawdy? - Zduślił cygaro w kryształowej popielniczce. Następnie podszedł do stolika przy oknie i nalał sobie pełną szklanekę whisky. - Napije się pani ze mną?

Potrząsnęła głową. Tylko tego brakowało!

- Pozwalam sobie powiadomić panią, panno Jewel - rzekł, siadając na krześle - że dzisiejszej nocy „Złoty Smok” zarobił dzięki mnie blisko dziesięć tysięcy dolarów. Taką bowiem sumę potrącono jako procent z ogólnej puli.

Nie musiał jej tego uświadamiać. Dobrze wiedziała, czym zakończyła się ta noc. Ciotka Lily, podekscytowana wysokimi stawkami, powiedziała jej o wszystkim. Wiele tu należało zapisać na konto Nevada, który pojawiwszy się na scenie po długiej nieobecności, znów zaczął przyciągać swoją osobą ambitnych i poważnych graczy.

- Czy w związku z tym oczekuje pan ode mnie jakiegoś podziękowania?

- Nie przeczę. Podziękowanie byłoby tu na miejscu. Ale są różne rodzaje podziękowań. Wolę te bezsłowne. Chętnie przyjmę takie bezsłowne podziękowanie.

Znów się zarumieniła. Kiedy wreszcie przestanie się czerwienić, pomyślała ze złością.

A swoją drogą, Wadę Weston świetnie grał rolę Nevada, hazardzisty i rewolwerowca. Już sama zresztą nie wiedziała, co tu było prawdą. Czy to kaznodzieja udawał opryszka, czy też opryszek kaznodzieję?

- Nawet nie wiem, czy pan wygrał, czy stracił - powiedziała, chcąc zmienić temat.

- To żadna tajemnica. Moja wygrana jest wielokrotnie większa od zysków „Złotego Smoka”. Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. W grze w karty prawie zawsze dopisuje mi szczęście.

- No cóż, życzę dalszych sukcesów. - Ruszyła ku drzwiom z zamiarem wyproszenia intruza.

Lecz nie ustrzegła się błędu. Powinna była ominąć go z daleka. Nie zrobiła tego. Kiedy go mijała, chwycił ją w pasie.

- Gdzieś się wybieramy? - Poderwał się z krzesła, tak iż poczuła na twarzy jego gorący oddech.

- Jest już ranek. Czuję się zmęczona. Idę do łóżka. Proponowałabym, żeby zrobił pan to samo.

- Pozostaje więc kwestia wyboru pokoju. Mój czy pani?

- Śpię sama.

- Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się sprawić, że odstąpi pani od tej zasady.

Spojrzała z pogardą na rękę, która wciąż opasywała ją w talii.

- Proszę mnie puścić.

- A jeśli nie posłucham?

- Jeśli nie puścisz mnie, szulerze, to będę zmuszona wezwać Lee Yin.

Znał człowieka, który nosił to nazwisko. Ten osiłek mógł powalić uderzeniem pięści szarżującego byka. Żadna ludzka siła nie była zdolna mu się przeciwstawić. Można go było pokonać, ale tylko kulą.

- Nie radziłbym tego robić.

- Dlaczego?

- Miałbym na sumieniu krew niewinnego człowieka.

- Nie sądziłam, że rewolwerowcy mają sumienie.

- Niektórzy z nich faktycznie nie mają.

Przyjęła wyzywającą postawę i próbowała w niej wytrwać jak najdłużej.

- Co się stało z wielebnym Westonem, kaznodzieją z pewnego miasteczka w Teksasie?

Na zachmurzonym czole Nevady ukazała się pionowa zmarszczka.

- Był, ale już go nie ma. Wypalił się od środka.

- Bardzo mi przykro. Lubiłam go. A już na pewno lubiłam go bardziej niż hazardzistę Nevadę.

- Doprawdy? A ja myślałem, że raczej powinna pani odczuwać teraz ulgę. Przypomnę choćby, że w Hanging Tree wielebny Weston stał po stronie mieszkańców przeciwko „Złotemu Smokowi”, a więc pośrednio i pani.

- Ale przynajmniej wyznawał jakieś wartości, trzymał się jakichś zasad. Natomiast pokerzysta Nevada gra tylko o pieniądze. Idzie mu wyłącznie o własne korzyści i przyjemności.

- Skoro mówimy o przyjemnościach... - Uśmiechnął się, odsłaniając dwa rzędy równych zębów, a w jej piersi serce przyspieszyło rytm.

Ściągnęła brwi. Zdobyła się na surowy ton.

- Zechce pan opuścić ten pokój. Natychmiast.

Ani myślał słuchać. Przyciągnął ją do siebie.

- Ta mina i te słowa zaprzeczają pani prawdziwym pragnieniom. Oboje chcemy tego samego. Zależy nam na dokończeniu tego, co narodziło się między nami w Teksasie.

Powinna bezzwłocznie temu zaprzeczyć, ale wiedziała, że Nevada mówi prawdę. Rozszyfrował ją,

widział ją na przestrzał, a ona bardzo się wstydziła tej swojej nagości.

- Żeby był jakiś koniec, musi być jakiś początek. Początek czego? Otóż co najwyżej niechęci, jaką pan we mnie budzi.

- Ale ze względu na pamięć o tamtych spotkaniach, nie odmówi mi pani, mam nadzieję, ostatniego pocałunku.

I zanim zdążyła zareagować, poczuła na ustach jego gorące wargi. Smakował tytoniem i whisky. Całował czule, namiętnie, znów czule i znów namiętnie. Myślała, że pęknie jej serce. Oto ucieleśniło się jej marzenie. Tajemniczy i romantyczny kochanek powrócił z dalekiej podróży i znowu trzymał ją w ramionach. Opór był ponad jej siły. Skazana była na przyzwolenie. Oddawała więc mu czułość i namiętność według porządku, który sam narzucał. Przyłgnęła do niego całym ciałem, udreńczonym pragnieniem spełnienia. Była młodą kobietą, której wiedza o sprawach miłości daleko wyprzedziła doświadczenie. W rzeczywistości nie miała żadnego doświadczenia, toteż grał na niej niczym na muzycznym instrumencie. Mógł w tej chwili zrobić z nią wszystko. Aż dziw, że wciąż zwlekał i jeszcze nie rzucił jej na sofę.

Serce Jasnego Nefrytu biło tak mocno, że zdawało się niemalże rozbrzmiewać w pokoju.

Nagle uświadomiła sobie, że uległa złudzeniu. To nie waliło jej serce, tylko ktoś pukał do drzwi.

- Pomyślałam, kochanie, że... - W otwartych drzwiach ukazała się ciotka Lily.

Nevada odskoczył jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

Starsza pani długo przypatrywała się im obojgu. Dostrzegła zarówno rumieńce na policzkach Jasnego Nefrytu, jak i namiętność wypisaną na twarzy pokrzysty.

- Przepraszam. Nie wiedziałam. - Położyła dłoń na klamce. - Sądziłam, że jesteś sama.

Jasny Nefryt kilka razy głęboko odetchnęła. Obciągnęła rękawy szaty i przygładziła włosy. Powoli wracała jej świadomość. Zrozumiała, że musi skorzystać z szansy, którą nastreczył jej przypadek.

- Nie odchodź, ciociu Lily - powiedziała, widząc, że ciotka chce wycofać się na korytarz. - Nevada właśnie się żegnał.

Rzuciła ku mężczyźnie wyzywające spojrzenie, na które odpowiedział spojrzeniem zamyślnym i ponurym. Zwlekał. W końcu jednak chyba uznał, że nic tu po nim, gdyż lekko się skłoniwszy, wyszedł z pokoju.

- O co chodzi, ciociu Lily? - zapytała, gdy zamknęły się za nim drzwi.

- Nic ważnego. Zamierzałam porozmawiać z tobą o interesach, ale teraz muszę zająć się czymś ważniejszym.

Lily Austin wprost z gabinetu Jasnego Nefrytu udała się do holu. Podeszła do Lee Yin i coś do niego przez chwilę mówiła, a Chińczyk tylko kiwał głową. Następnie razem zagłębili się w korytarz i stanęli przed drzwiami pokoju, który wynajmował pokrzysta.

Lily Austin zapukała.

Nevada otworzył niemal w tej samej chwili. Obojętnym spojrzeniem obrzucił Chińczyka, który stał na rozkraczonych nogach z ramionami splecionymi na potężnym torsie.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę, Lily? - zapytał.

- Zaskoczyłeś mnie, Nevada. Twoi partnerzy od kart utrzymują, że jesteś człowiekiem honoru.

- Ku czemu zmierzasz, Lily? - Przystąpił z nogi na nogę, jakby ogarniała go niecierpliwość.

Ściszyła głos.

- Czy to tak trudno zauważyć, że Nefryt jest niewinna?

Szczepili się spojrzeniami. Lily dotknęła pewnej struny w jego duszy, która już drżała. Był dzisiaj o krok od popełnienia ciężkiego błędu. Musiał być szalony. O mało co nie zrobił czegoś, czego później, wiedział to, nie mógłby odżałować.

- Będę o tym pamiętał - mruknął.

- Ale ja wolę mieć pewność - powiedziała, odchodząc.

Lee Yin pozostał. Nevada zrozumiał, że na tę noc został uwięziony w swoim pokoju. Gdyby teraz chciał odwiedzić Jasny Nefryt w jej sypialni, musiałby najpierw pokonać tego olbrzyma. A nie byłoby to łatwe.

Tej nocy Jasny Nefryt była więc bezpieczna.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lily zbliżyła wargi do ucha Jasnego Nefrytu.

- Nevada znów się pojawił.

Jasny Nefryt spojrzała przez szparę w wianuszkach otaczających ją mężczyzn. Zdażyła dostrzec jeszcze znikającą we drzwiach pokoju gry wysoką i barczywą męską postać.

- To już siódma noc z rzędu. - Zrobiła nieokreślony ruch ręką. - Zresztą mało mnie to obchodzi.

Sceptyczny uśmiech na twarzy Lily Austin poddawał w wątpliwość szczerość tych ostatnich słów. Jasny Nefryt obruszyła się. Wierzyła, że wytrwa w postanowieniu ignorowania pokerzysty.

Nevada stał się w ostatnim tygodniu niemal najważniejszą osobą w „Złotym Smoku”. Każdego dnia opuszczał swój pokój o tej samej wieczornej godzinie, siadał przy zielonym stoliku i zaczynał od propozycji podwyższenia stawek, którą zresztą zazwyczaj przyjmowano. Wstawał z krzesła dopiero o bladym świetle.

Pensjonariuszki „Złotego Smoka” były całkowicie pod jego urokiem, bywalcy zaś wzięli sobie za punkt honoru, żeby przynajmniej raz w ciągu nocy zmie-

rzyć się w kartach z tym eleganckim i uprzejmym graczem, z którym gra stanowiła samą przyjemność, bez względu na wynik.

Tylko Jasny Nefryt ograniczała się do formalnych powitań i pożegnań, pozornie obojętna, chłodna i wyniosła. W rzeczywistości Nevada zamieszkał tyleż w jej domu, co w świadomości. Zawsze musiała wiedzieć, gdzie w danej chwili się znajduje, i dotąd się nie uspokajała, dokąd nie odnalazła go wzrokiem. Przeobraził swój wygląd zewnętrzny. Już nie był rewolwerowcem i jeźdźcem znikąd. Upodobił się pod względem ubioru do innych mężczyzn odwiedzających lokal. Nosił teraz eleganckie surduty, prążkowane spodnie i białe koszule. Nie zapominał o jedwabnej chusteczce do butonierki i szpilce do krawata. Miał gładko wygoloną twarz, starannie uczesane włosy i zadbane dłonie. Towarzyszył mu zapach wody kolońskiej. Słowem, pastor zmienił się w rewolwerowca, ten zaś jeszcze w kogoś innego.

Jasny Nefryt nie mogła nie przyznać w duchu, że z dnia na dzień Nevada zapada jej coraz głębiej w duszę.

Pchnięta ciekawością, weszła do pokoju gry. Siedział w towarzystwie pięciu mężczyzn, dżentelmenów w każdym calu i, jak on, namiętnych pokerzystów. Od razu zauważyła ów charakterystyczny błysk w jego oczach. Był w transie, licytował, dotykał kart samymi opuszkami palców, jakby to były delikatne skrzydła motyli. Pił w czasie gry niewiele, ale za to

wypalał cygaro za cygarem. Rzadko kiedy pozwalał sobie na jakąś dłuższą przerwę.

Jasny Nefryt powitała panów skinieniem głowy. Wyjątek uczyniła dla senatora Hammonda, dla którego miała cieplejszy uśmiech.

- Panno Jewel, przedstawiam pani Virgila Trenta - powiedział senator, wskazując na mężczyznę, który siedział po prawej ręce Nevady.

- Panie Trent, miło mi powitać pana w „Złotym Smoku”.

Ubrany w ciemny tużurek i atłasową kamizelkę, szczerzył mężczyzna lekko skinał głową. Piętrzący się przed nim stos złotych monet i banknotów dawał wyobrażenie o stawkach, o jakie tu grano.

Po kilku minutach zauważyła, że stos ten topnieje.

Podczas kolejnego tasowania kart pan Trent sięgnął po stojącą przed nim szklanekę whisky i przepłukał gardło. Wyglądał bardzo młodo, mógł mieć około dwudziestu lat, ale jego zimne i puste oczy oraz zacisnięte usta nadawały mu cech wytrawnego i cynicznego gracza.

- W Deadwood lepiej mi się wiodło - mruknął w pewnym momencie z tłumioną wściekłością.

- Więc może popróbuje pan szczęścia w innych grach - zaproponowała Jasny Nefryt.

- Ale gra musi się toczyć o panią. - Ześlizgnął się wzrokiem po jej ciele. - Proszę wymienić swoją cenę.

Lee Yin, który przechadzał się pomiędzy gośćmi, usłyszał te słowa. Zbliżył się, gotowy bronić honoru swej pani.

Jasny Nefryt pamiętała rady swojej matki. Uśmiechnęła się i rzekła z niewinną minką:

- Miałam na myśli faraona, panie Trent, albo grę w kości.

Trent nie mógł nie zauważyć olbrzymia, który zdawał się obserwować czubek jego nosa.

- Moją grą jest poker. Nie ma lepszej gry, o ile, oczywiście, partnerzy grają czysto.

- Sugeruje pan, że możemy oszukiwać? - Z siwych oczu senatora Hammonda wyparowała gdzieś dobroduszość.

Virgil Trent wzruszył ramionami.

- Uderz w stół, a...

- Może brandy, senatorze? - spytała szybko Jasny Nefryt.

Tęgi pan głęboko odetchnął. Odwrócił głowę i zobaczył w oczach Jasnego Nefrytu nieme błaganie.

- Z miłą chęcią. Brandy rozjaśnia w głowie.

Mężczyźni wrócili do przerwanej gry. Lee Yin oddalił się wolnym krokiem. Awantura została zażegnana.

Senator z błyskiem w oku spojrział na Nevadę.

- Tym razem mam cię, przyjacielu. Co przeciwstawisz moim trzem asom?

Nevada niedbałym ruchem rzucił karty na stół.

- Gratuluję, senatorze. Gra, widzę, nabiera rumieńców.

Podczas gdy senator zagarniał pieniądze, dwóch graczy podziękowało i wstało od stolika. Nie wiadomo, zgrali się do końca czy też zareagowali z pewnym opóźnieniem na niegrzeczną uwagę Trenta.

- Albo też błędnie - poprawił się Nevada, inni zaś się roześmieli.

Za wyjątkiem Trenta, który wciąż siedział w milczeniu i na którego twarzy malowało się nie słabnące napięcie.

Karty zostały przetasowane i

działa na ten temat, usłyszała zapewne z ust swojej matki.

A zatem pożądał dziewicy. Stawiało go to w bardzo trudnej sytuacji, gdyż obarczało odpowiedzialnością. Czuł, że nie wypłacie się tak łatwo z tej matni.

- Gdzie przebywasz myślami, przyjacielu? - zapytał senator. - Wystraszył pan większość graczy. Pozostałem tylko ja i pan Trent. Jeśli o mnie chodzi, to wciąż mam nadzieję na złagodzenie klęski. Zobaczmy, czy pobije pan moją parę królów. - Wyłożył karty.

- Przykro mi. - Nevada pokazał trzy asy. - Tej nocy idzie mi jak po maśle.

- A mnie jak po grudzie. - Virgil Trent z odrazą odrzucił karty i poderwał się z krzesła.

Szybkim krokiem przeszedł do baru, gdzie zamówił całą butelkę whisky. Skutek był do przewidzenia, toteż Lily Austin błyskawicznie przydzieliła mu opiekunkę.

- To samo mógłbym powiedzieć o sobie - westchnął senator. - Ma pan pełne kieszenie moich pieniędzy i chyba na tym skończymy. Nie zamierzam zastawiać koszuli i butów.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym przenieśli się na fotele przy kominku. Jasny Nefryt podeszła do nich z dwiema szklankami whisky.

- Zdaje się, że szła panu dzisiaj karta - powiedziała do Nevady.

- Człowiek trochę zyskuje, trochę traci, ale w sumie wychodzi na swoje - odparł sentencjonalnie.

- A pan, panie senatorze? Przykro mi słyszeć, że jest pan dzisiaj, jak to się mówi, splukany do ostatniej nitki.

- Nie po raz pierwszy, moja droga, i chyba nie po raz ostatni. Szczęście to zmienna i kapryśna pani. Dzisiaj uśmiechnęła się do mojego partnera. - Zażywny pan przyjacielsko poklepał Nevadę po ramieniu, po czym zwrócił się do Jasnego Nefrytu: - A może zrobi pani drobne ustępstwo i napije się z nami, panno Jewel?

Potrząsnęła głową.

- Obowiązki wzywają. Może innym razem. Tak czy inaczej, dziękuję za zaproszenie.

Odeszła, a Nevada odprowadził ją wzrokiem.

Senator Hammond roześmiał się głębokim basem.

- Lepiej uważaj, synu. Gdyby Lee Yin zobaczył to twoje spojrzenie, pogruchotałby ci kości.

Nevada oderwał wzrok od szafirowej plamy i przeniósł go na partnera rozmowy.

- Znam się cokolwiek na tych męskich spojrzeniach - ciągnął z uśmiechem senator. - Twoje odślania najgłębsze zakamarki duszy. Och, nie winię cię. Jasny Nefryt to rzadka piękność. Tym trudniej ją zdobyć. Podejrzewam nawet, że jest nie do zdobycia.

- Spotkałem się już z taką opinią. - Nevada wyciągnął rękę. - W każdym razie dziękuję za dobrą radę, senatorze. Mam nadzieję, że jutro znów się spotkamy.

- Nie omieszkam się stawić. A teraz chodzą mi po

głowie inne miłe rzeczy - mruknął senator, wstając i obciągając poły surduta.

Po chwili ujrzano go w towarzystwie Lily Austin.

Na twarzy Nevady osiadł smutek. Sączył whisky niczym wino i wpatrywał się w ruchliwy ogień na kominku. Zrobiło się późno i czuł się zmęczony, a mimo to coś go tu trzymało.

- Gnębi cię coś, Nevada?

Podniósł wzrok i zobaczył stojącą nad nim Lily Austin.

- Każdemu zdarza się popaść w zadumę.

- Poleciłam kilku dziewczętom, by zatroszczyły się o twój dobry nastrój, ale ty podziękowałeś im za usługi - powiedziała z nutką wymówki w głosie.

- Wybacz. Nic mi po tych dziewczynach.

Z głębi salonu dobiegł go melodyjny głos Jasnego Nefrytu, mówiącej płynną francuszczyzną. Podróżując po kraju jako kaznodzieja, liznął kilka języków, między innymi francuski. Niewielki zasób słów pozwalał mu teraz zorientować się, że opowiadała jakąś zabawną historię. Dżentelmeni byli zachwyceni i powitali koniec opowiadania głośnymi oklaskami.

- Bo, zdaje się, chodzi ci po głowie tylko jedna - zauważyła Lily.

Znów spojrzął na tańczące płomienie.

- Jestem hazardzistą, Lily. Nęca mnie tylko karty. To jest mój cały świat.

- A ja myślę, że tylko próbujesz przekonać siebie, że poza kartami nie ma dla ciebie życia.



Nevada usłyszał perlisty śmiech Jasnego Nefrytu. Przeszły go ciarki. Czuł się jak głodny nędzarz, który zaglądając z ulicy przez okno, widzi suto zastawiony stół.

Lily położyła dłoń na jego ramieniu.

- Z pewnymi rzeczami trzeba się pogodzić - szepnęła.

Słowa te zwiększyły jeszcze jego przygnębienie. Tak dłużej już być nie mogło. Musiał wreszcie podjąć jakąś decyzję. Rzecz wymagała jak najszybszego rozstrzygnięcia, jeżeli nie chciał popaść w chorobliwą obsesję.

- Jest późno. Mam coś do zrobienia.

Wstał i skierował się ku drzwiom. Kluczył między kilkosobowymi grupkami. Tu rozmawiano o cenach wołowiny, tam o problemie Indian, gdzie indziej znów padały słowa dotyczące się zmysłowych przyjemności. Kątem oka zauważył, że Virgil Trent zbliża się do Jasnego Nefrytu, obejmuje ją i szepce jej coś do ucha. W jednej chwili Jasny Nefryt spoważniała i zbladła. Próbowwała odepchnąć natręta, lecz ten przyciągnął ją do siebie niczym branke. Krzyknęła.

Szybkość, z jaką zareagował Lee Yin, mogła naprawdę wprawić w zdumienie. Skoczył od drzwi niczym tygrys rzucający się na swoją ofiarę i już, już Virgil Trent miał być rozszarpany, kiedy huknął strzał. Olbrzym zachwiał się i osunął na kolana. Lecz jeszcze teraz, mimo iż ugodzony kulą, próbował dosięgnąć gardła łajdaka. Daremnie. Siły opuszczały go wraz z krwią, która tryskała z rany. Yirgil kopnął

go jeszcze z rozmachem w pachwinę i Lee Yin rozciągnął się na podłodze.

Z szeroko otwartych ust Jasnego Nefrytu wydobył się przeraźliwy krzyk.

Obecni w salonie mężczyźni sięgnęli po broń. Zanim zdążyli ją wydobyć, Trent przyłożył rewolwer do skroni dziewczyny i huknął na cały głos:

- Żeby nikt nie ośmielił się wyciągać żadnej pułkawy. Najlżejsza próba, a mózg tej ślicznotki opryska tę ścianę. Jej życie jest w waszych rękach, panowie.

Na wielu twarzach odmalowało się niezdecydowanie. Chcąc więc wyjaśnić sprawę do końca i okazać swoją determinację, Trent wymierzył, wystrzelił i spuścił na podłogę wielki kryształowy żyrandol. Posypała się kaskada szkła. Ubyło światła. Kobiety histerycznie piszczały, a mężczyźni już mniej opieszale podnosili ręce ku górze.

- A teraz wszyscy kładą się twarzą do podłogi! - rozkazał Virgil.

Posypały się przekleństwa. Tu i ówdzie rozległ się szloch. Wkrótce jednak wszystko umilkło. Zapadła śmiertelna cisza.

- Tak lepiej. Widzę, że mam do czynienia z rozsądnymi ludźmi. A teraz poleżycie sobie do momentu, gdy za mną i za panną Jewel zamkną się tamte drzwi.

- Gdzie ją zabierasz? - zapytała Lily Austin.

- To moja słodka tajemnica. W każdym razie do miejsca, gdzie nikt nam nie przeszkodzi w uprą-

wianiu miłości. - Roześmiał się jak szaleniec. Prześlizgnął się triumfalnym wzrokiem po sterro-  
ryzowanych ludziach. - Widzę tylko smutne miny. Rozpogódźcie się, panie i panowie. Ostatecznie je-  
steśmy w domu rozkoszy. Robię coś, co zrobiłby  
każdy krzepki i gorącokrwisty Kalifornijczyk. Ty-  
le że nie mam ochoty na tanie i przechodzone  
dziwki. Wybrałem sobie damę. I będę ją miał za  
darmo.

- Nie powiedziałbym. - Spokojny głos Nevady  
rozległ się niczym grzmot w pustym kościele. Wszy-  
scy spojrzeli w stronę drzwi. Nevada stał na lekko  
rozkraczonych nogach i mierzył z rewolweru w pierś  
Trenta. - Drogo będzie cię to kosztowało, Trent.

Virgil zdrętwiał. Zaczął się pocić. Z zimnych oczu  
Nevady wyłaniała się obietnica śmierci.

- Chyba nie słyszałeś. Powiedziałem, że prze-  
strzele jej głowę, jeśli ktokolwiek ośmieli się wyciąg-  
nąć broń.

- Owszem, słyszałem i postanowiłem sprawdzić,  
czy czasami nie blefujesz.

Nevada ruszył do przodu. Stawiał kroki wolno  
i ostrożnie. Zmuszał się, żeby nie patrzeć na Jasny  
Nefryt. Wolał nie uświadamiać sobie, jakie ryzyko  
podjął tym razem. Widok tej kobiety-dzieweczki mó-  
głby osłabić jego wolę. Zląkłby się, że jeden nie-  
ostrożny ruch, a zniszczy coś, co wydawało mu się  
cudem tego świata. Toteż wpił się oczyma w twarz  
Trenta i hipnotyzował go wzrokiem.

- Tracę cierpliwość, Trent. Albo natychmiast rzu-

cisz broń i zwrócisz wolność tej damie, albo nigdy już nie zobaczysz wschodu słońca. Wybieraj.

- To ty blefujesz. - Na czole Trenta perliły się krople potu.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Virgil rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Ale jedyna droga wiodła przez drzwi, przez które przed chwilą wszedł Nevada.

- Jeżeli ja nie mogę jej mieć, to nikt nie będzie jej miał. - To już nie był męski głos, raczej żalosne pianie.

To co nastąpiło po tym, rozegrało się w jednej sekundzie. Virgil naprężył palec na spuście rewolweru, nie wiadomo, chcąc zabić czy też pokazać, że gotów jest spełnić swoją groźbę. Ale jeśli nawet zamierzał dokonać zabójstwa, nie zdążył tego zrobić. Nevada skoczył niczym wyrzucony z katapulty kamień, brutalnie pchnął Jasny Nefryt, która upadła na podłogę, i, wciąż w skoku, wymierzył do Virgila. Dwa strzały zlały się w jeden.

Dwaj mężczyźni zastygli w jakichś dziwnych pozach. Na ich twarzach malowała się stężąca wściekłość. Mierzyli się wzrokiem. Nagle ciało Virgila zaczęło wiotczeć i osuwać się. Wściekłość ustąpiła miejsca bezmiernemu zdumieniu. Opadł na kolana, po czym zachwiał się i runął twarzą w dół.

Zapanował ogólny hałas i gwar. Każdy miał coś do powiedzenia. Już wyciągano ręce, by pogratulować i podziękować obrońcy, gdy nagle spojrzenia kobiet

i mężczyźni zbiegły się w jednym punkcie. Koszula na piersiach Nevady zbroczona była krwią. Czerwona plama powiększała się w błyskawicznym tempie, a wykrzywiona bólem twarz miała barwę popiołu.

- Jak już powiedziałem - rzekł głucho przez zacisnięte zęby - dzisiejszej nocy idzie mi jak po maśle.

Dla wszystkich w jednej chwili stało się jasne, że Nevada jest ciężko ranny. Nie upadł tylko dzięki żelaznej woli i sile ducha.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Pomóżcie mi! - krzyk Jasnego Nefrytu przebił grobową ciszę, podczas gdy ona sama chwyciła Nevadę w ramiona, nie dając osunąć mu się na podłogę.

Kilku mężczyzn natychmiast skoczyło jej na pomoc i po chwili ranny już leżał na kozetce.

Miał zamknięte oczy i popielatą twarz. Zaciskał zęby z bólu. Wraz z krwią ubywało mu sił i życia.

- Proszę mnie przepuścić. Jestem lekarzem - rozległ się nagle czyjś męski głos.

Nevada poczuł, że ktoś odpina mu kamizelkę i koszulę i dotyka obrzeża rany. Chwilami tracił świadomość. Kiedy ją odzyskiwał, nie mógł nawet zebrać dość siły, by unieść powieki.

- Co z Lee Yin? - zapytał zdrętwiałymi wargami.

- Chińczyk przeżyje - usłyszał nad sobą głęboki baryton. - Jego rana okazała się powierzchowna. Człowiek, który strzelił do pana, rozstał się z tym światem. Dołączy pan do niego, przyjacielu, jeśli nie znajdzie w sobie dość woli, by walczyć o życie.

Nevadę zaniecono do apartamentu Jasnego Nefrytu. Towarzystwo zaczęło się rozchodzić, aż w końcu

poszedł sobie ostatni gość. Na górze zostali tylko Jasny Nefryt, Lily oraz lekarz.

Ciszę w pokoju zakłócał jedynie nieregularny i świszczący oddech rannego, lekkie stapania kobiet, szelest ich sukien i brzęk narzędzi chirurgicznych.

Na dole w salonie zgromadziły się pensjonariuszki „Złotego Smoka”. Skupiły się w gromadkę i szeptem komentowały dramat, jaki dopiero co się tu rozegrał. Od czasu do czasu rzucały przestraszone spojrzenia ku drzwiom, jakby obawiały się zobaczyć w nich zwiastuna śmierci.

Tymczasem na piętrze trwała walka o życie. Zakawsawszy rękawy koszuli i starannie umywszy ręce, lekarz przystąpił do usuwania kuli. Zegar tykał na kominku, odmierzając sekundy, minuty i kwadranse. Jasny Nefryt straciła rachubę czasu. Całą uwagę koncentrowała w tej chwili na mężczyźnie, który bez wahania rzucił na szalę swoje życie, żeby ocalić jej honor.

Już jako małej dziewczynce wpajano jej, że należy ze stoicyzmem przyjmować wszystkie ciosy losu. Nauka nie poszła na marne i teraz z dość dużym opanowaniem asystowała lekarzowi, podając mu instrumenty, drąc prześcieradło na paski i zmieniając wodę w miednicy. Ale w jej duszy szalała rozpacz. Musiała pogodzić się ze śmiercią swych ukochanych rodziców. Czy teraz miała na zawsze utracić jedyne go mężczyznę, którego kochała?

Kochała... Pomyślała to słowo i zdumiała się nim. Jak mogła pokochać rewolwerowca i hazardzistę?

Pna dokładkę człowieka, który ją oszukał? Którego życie było jednym wielkim kłamstwem?

Jakkolwiek jednak próbowała sama siebie przekonać o niemożności zrodzenia się tego uczucia, wiedziała, że jest ono faktem. Kochała na przekór wszelkiej logice, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Ten mężczyzna, który balansował teraz na granicy życia i śmierci, zburzył mur jej rezerwy, powściągliwości i chłodu, dotarł do jej serca i wziął je w posiadanie. Długo broniła się i próbowała ignorować intruza i napastnika, a nawet uciekła od niego na kraniec Ameryki, on jednak odnalazł ją i zwyciężył.

- Nefrycie?

Usłyszawszy swoje imię, zmieszała się i uniosła głowę.

- Pan doktor potrzebuje więcej płótna - powiedziała ciotka Lily.

- Ależ oczywiście, przepraszam - rzekła ze skruszoną miną, po czym oddarła z prześcieradła szeroki pasek, który posłużył lekarzowi do przewiązania już zaszytej rany.

- Czy on będzie żył, doktorze? - zapytała ciotka Lily, spoglądając kątem oka na swoją młodą przyjaciółkę i, wydawało się, czytając w jej sercu.

- Wszystko w rękach Boga - odparł szpakowaty mężczyzna. - Co było w ludzkiej mocy, zrobiłem. Radziłbym posadzić kogoś na noc przy rannym, żeby w gorączce nie zerwał opatrunków. Działanie chloroformu niebawem się skończy i ból powróci z nową siłą. Należy wówczas zrobić wszystko, by do mini-



mum ograniczyć jego ruchy. Dla jego własnego dobra. - Lekarz zamknął torbę, do której uprzednio włożył narzędzia chirurgiczne i inne przybory.

- A czy można mu coś dać na osłabienie bólu? - zapytała Jasny Nefryt.

Otworzył zamkniętą już torbę i wręczył jej zakorkowany flakonik z ciemnego szkła.

- Szczypta tego proszku na szklanekę wody działa znieczulająco. Ale obawiam się, że ranny tak czy inaczej będzie cierpiał. Zakładając, oczywiście, że przeżyje tę noc. - Jakby pragnąc złagodzić wymowę tych słów, położył dłoń na jej ramieniu i dodał: - Jest młody i silny, moja droga, a na tym już można budować pewne nadzieje. Jeżeli ma równie silną wolę, jak ciało, to... - odchrząknął i potarł dłonią czoło - najbliższa doba rozstrzygnie o wszystkim.

Ruszył ku drzwiom, zaś Lily uznała za swój obowiązek odprowadzić go aż do holu. Kiedy wróciła, zobaczyła, że Jasny Nefryt siedzi na krześle przy łóżku i trzyma dłoń Nevady.

- Musisz odpocząć - rzekła półgłosem starsza z kobiet. - Powiem jednej z dziewcząt, żeby czuwała przy nim.

- Nie. - Jasny Nefryt potrząsnęła głową. - Nie mogłabym zasnąć. - Patrzyła oczami pełnymi wewnętrznej udręki. - Czy nie rozumiesz? Uratowałam moją cześć i to ja jestem za niego odpowiedzialna. Bo gdyby nie ja, nie leżałby tu i nie walczył ze śmiercią.

- Nefrycie, jeszcze nabawisz się choroby. Przy-

najmniej zrzucić tę poplamioną krwią sukienkę i położyć się na godzinkę.

- Zostaw mnie, Lily. Zawołałam cię, kiedy będziesz mi potrzebna.

Młoda kobieta znów wbiła oczy w twarz leżącego na łożku mężczyzny, zaś Lily musiała przyznać w duchu, że nic nie poradzi na upór przyjaciółki. Jasny Nefryt podjęła już decyzję i nic nie mogło jej zmienić. Dyskusja z nią na argumenty przypominałaby rzucanie grochem o ścianę.

A teraz zaczniesz się to najgorsze, pomyślała Jasny Nefryt. Czekanie. A także kurczowe czepianie się nadziei. Również błaganie o zmiłowanie. Nocne godziny zdawały się ciągnąć bez końca, a każda przynosiła tylko nowy lęk i niepokój.

Za każdym razem, gdy pierś Nevady unosiła się i opadała w oddechu, Jasny Nefryt błagała o kolejny sygnał życia. Niekiedy jego oddech był tak płytki i słaby, że za gardło chwycił ją strach. Zdarzało się też, że oddychał szybko i gwałtownie, jak gdyby wspinał się na jakąś wysoką górę.

Jego twarz w zasadzie niczego nie wyrażała. Nie było na niej ani oznak bólu, ani uspokojenia. Chorobliwa bladość skóry miała odcień popiołu. Dłoń, którą ścisnęła, przypominała swym chłodem i nieruchomością martwy przedmiot. Co jakiś czas podnosiła ją do ust albo też przyciskała do piersi, ale nie miała podstaw sądzić, że był tego świadomy. Przebywał w jakimś innym świecie, a może raczej w ciemnym kory-

tarzu pomiędzy dwoma światami. Nie miała tam wstępu, więc też nie mogła nawiązać z nim kontaktu.

A przecież próbowała.

- Och, Nevada, Nevada - szeptała. - Wszyscy mieli okazję podziwiać twoją dzielność. Okaż ją raz jeszcze i nie poddawaj się. Nie opuszczaj mnie. Zostań ze mną, proszę. - Łzy stanęły jej w oczach, a następnie spłynęły po policzkach. - Nie odchodź, Nevada. Nie zniósłabym kolejnej utraty. Potrzebuję cię. Bądź przy mnie.

Jego zimna dłoń, ów martwy przedmiot, nagle jakby ożyła. Ale nie, musiała się pomylić i własne pobożne życzenia wziąć za rzeczywistość, ponieważ twarz Nevady nie zmieniła się ani na jotę. Jednak serce biło, zaś oddech wszedł w fazę zadyszki. Widocznie Nevada znowu zdobywał tę swoją górę. Gdy stanie na szczycie, będzie ocalony.

- Nie pozwolę ci odejść - powiedziała niemal pełnym głosem, całując jego dłoń. - Chcę, żebyś walczył i wygrał.

Jasny Nefryt kiwnęła się do przodu i ten bezwładny ruch ciała wyrwał ją ze snu. Wyprostowała się i zaczęła rozcierać sobie bolący kark.

Stwierdziła, że ktoś podczas jej drzemki opatulił ją pledem. Czyjeś ręce rozpały też ogień na kominku.

Spojrzała na leżącego na łóżku mężczyznę. Wstrząsnął nią zimny dreszcz. Leżał nieruchomo, sztywny i wyciągnięty niczym nieboszczyk. Zwalczając strach przed najgorszym, dotknęła opuszkami

palców jego szyi. Wyczuła tętno. Słabe. Powolne. A jednak było ono bezspornym dowodem życia.

Chwyliła jego dłoń i w porywie wdzięczności obysypała gorącymi pocałunkami.

- Lekarz pomylił się. Powiedział, że ból wyrwie cię z bezprzytomności. Ale ty zapadasz w jakąś czeluść bez dna. Wołam, lecz mój głos nie dochodzi do ciebie.

Zagryzła wargi. Przepętniająca ją rozpacz szukała drogi ujścia. Jeszcze chwila, a wybuchnie spazmatycznym, niepowstrzymanym płaczem.

Właśnie wówczas poczuła drgnienie jego palców. Było tak słabe, że przypominało drgnienie motyli skrzydeł. Spojrzała na twarz Nevady. Błogie ciepło oblało jej serce.

Twarcz ta żyła zielonozłotymi tęczęwkami oczu. Patrzył na nią!

- Dlaczego... płaczesz?

Trudno było mu uwierzyć, że mówienie może wymagać aż tyle wysiłku. Każde słowo, ba, każda sylaba posiadała jakby ostrza i kolce, które szarpały gardło.

- Nevada. Więc ty żyjesz. Żyjesz!

W odruchu bezmiernej wdzięczności za ten dar nachyliła się i przywarła wargami do jego zimnego i wilgotnego czoła.

Przeszył go ból. Poczł zawrót głowy. Ale nie to było ważne. Ważny był ów gorący oddech, który w tej chwili owiewał mu twarz, i ważna była słodycz tego pocałunku.

- Płaczę, bo jesteś ciężko ranny. Myślałam...

Myślałam, że cię utracę na zawsze. Ale żyjesz, a nawet odzyskałeś przytomność. Patrzysz na mnie, słyszysz mnie i rozumiesz. To prawdziwy cud. Zwyciężyłeś śmierć. - Obsypała pocałunkami jego policzki, brodę, nos i usta. Wydawało się, jakby chciała scałować do reszty to tchnienie śmierci, które jeszcze przed chwilą tak ją przerażało.

- Żyję - wyszeptał, wsłuchany w swój ból.

Mógłby teraz znieść bardzo dużo, nawet piekielne katusze, byleby tylko ta kobieta-dziewieczka owiewała go swoim wonnym oddechem i dotykała gorącymi wargami.

- Wiem, że wróciłeś do mnie. Wiem to.

Nie mogła już dłużej powstrzymywać łez. Spłynęły po policzkach dwiema słonymi strugami.

Próbował uśmiechnąć się, ale tylko skrzywił się z bólu.

- Co się stało? Boli? - Studiowała grymas na jego twarzy i widziała samą udramę.

Sięgnęła po stojący na nocnym stoliku flakonik, usypała zeń trochę proszku do szklanki i zalała wodą. Uniosła głowę Nevady i przytknęła brzeg szklanki do jego zbiegających warg.

- Musisz to wypić. Do dna. Ta mieszanina ma ponoć właściwość osłabiania bólu.

Skrzywił się, ale spełnił jej prośbę. Niby prosta czynność, a kosztowała go tyle wysiłku, że pot sperlił mu czoło.

- Chciałbym, żebyś jeszcze coś dla mnie zrobiła  
- wyszeptał.

- Proś o cokolwiek. Zrobię wszystko - odparła  
•łkając.

- Czy mogłabyś mnie... pocałować?

Prosił o coś, co było również jej gorącym pragnieniem. Pocałowała go jak boginka - słodko, namiętnie i czule.

- Czy ja śnię?

- To nie jest sen, Nevada. Jestem istotą z krwi i kości. Ten pocałunek to rzeczywistość.

Wytarła wierzchem dłoni mokre od łez policzki. Kiedy znowu spojrzała na Nevadę, dostrzegła, że zapadł w błogosławiony sen.

Obudził go atak szarpiącego bólu, który promieniował na całe ciało. Aż zacisnął pięści i zęby, żeby powstrzymać się od krzyku. Dusił go też wściekłość na to, co się wydarzyło. Zaryzykował, gdyż leżało to w jego naturze hazardzisty, lecz w gruncie rzeczy nie do końca był pewien, czy wygrał.

Dawniej nie znał strachu. Zmieniło się to z chwilą poznania Jasnego Nefrytu. Do tego dnia prowadził życie pozbawione trosk i celu. O nikogo się nie bał, gdyż nikt nie był mu bliski i drogi. Jasny Nefryt stała się jak gdyby kamieniem milowym. Spowodowała wewnętrzny przełom. W rezultacie odmienił się nie do poznania.

Kto mógł przypuszczać, że znów pojawi się w jego życiu i jeszcze bardziej umocni go w tej przemianie?

Gdy więc zobaczył ją w łapach tamtego szaleńca i usłyszał jego groźby, poczuł, że opuszcza go ca-

ła odwaga. Zląkł się nie o siebie, ale o nią, o tę kobietę-dzieweczkę, którą tak umiłował. Myśl, że zostanie zbrukana, paliła niczym ogień. Dlatego ruszył do ataku bez żadnego planu, on, którego karty nauczyły zimnego wyrachowania i kalkulacji. Chciał przede wszystkim odwrócić od niej bezpośrednio niebezpieczeństwo. Ale czy udało mu się to osiągnąć?

Pamięć mimo wszystko coś przechowała. Zdawało mu się, że widział Jasny Nefryt w półmroku sypialni. I że smakował jej usta. Szłochała i pochylała się nad nim niczym matka nad obłożnie chorym dzieckiem.

Ale to musiał być sen. Jasny Nefryt nie należała do kobiet, które płaczą na zawołanie lub też całują z byle powodu.

Zmobilizował wszystkie swoje siły i otworzył oczy. Piekł go powieki, jak gdyby przemierzył podczas burzy piaskowej pustynię. Język wyschnięty miał na wiór, zaś w gardle tkwiła płonąca zagiew.

Powoli jego wzrok przyzwyczajał się do szarawego półmroku. Uświadomił sobie, że znajduje się w łóżku. Wyczuwał skórą gładki atłas pościeli. Ponad wezgłowiem rozpościerał się baldachim, z którego zwisała koronka, delikatniejsza od pajęczej sieci. Oddychał powietrzem przesyconym zapachami kadzideł i perfum.

Udało mu się odwrócić na bok głowę i spojrzeć w

kierunku kominka. Zobaczył tańczący ogień, usłyszał jego wesoły szum. Płomienie odbijały się ruchomymi cieniami na ścianach. Na marmurowym gzymsie stał zegar, a ponad nim wisiała szabla o rękojeści zdobionej drogimi kamieniami.

Nagle przykuł jego uwagę jakiś szmer, dochodzący z przeciwnej strony łóżka. Odwrócił głowę. To co zobaczył, wynagradzało z naddatkiem całe jego cierpienie.

Jasny Nefryt wpółleżała na obitym aksamitem szelongu i wtulała ramiona w ciepły wełniany pled. Jej czarne włosy, zwisając pasmami, całowały jej policzki. Miała podwinięte nogi i bose stopy. Oddychała wolno i rytmicznie.

Zabiło mu serce w wezbranej radością piersi, tłocząc krew do odrętwiałych członków. Jasny Nefryt żyła i była bezpieczna. A tylko to w tej chwili posiadało dla niego znaczenie.

Musiała wyczuć przez sen jego spojrzenie, gdyż obudziła się. Spuściła nogi i usiadła. Pled zsunął się z jej ramion. Nevada zobaczył pokrwawioną szatę.

- Jesteś... ranna? - wychrypiął bardziej, niż powiedział.

Pochyliła się i ujęła jego twarz w swoje szczupłe, ciepłe i delikatne dłonie.

- Nie. Może byłabym, gdyby nie twoja szalona odwaga. Uratowałeś mnie.

- A ta krew?

- To twoja krew. Krwawiłeś, traciłeś siły, a ja nie



chciałam, żebyś upadł. Zostałeś ciężko ranny. - Potrząsnęła głową. Przez chwilę szukała odpowiednich słów. - To co uczyniłeś dla mnie, było śmiałe aż do szaleństwa. Zaryzykowałeś swoje życie, żeby ocalić moje.

- Moje trudno nazwać... prawdziwym życiem.

Położyła palec na jego spierzchniętych wargach.

- Jak w ogóle możesz tak mówić? Kiedy wszyscy inni dali sterroryzować się Trentowi, ty stawiałeś mu czoło.

Zwilżył wargi językiem. Każde słowo rozrywało mu gardło.

- Czy on uciekł?

- Trent nie żyje. Zginął od twojej kuli.

- A Lee Yin?

- Wydobrzeje. Lekarz powiedział, że za tydzień będzie już mógł wrócić do pracy.

- A ty? - Chwytał jej dłoń, ale z siłą porównywalną co najwyżej do siły siedmioletniego chłopca.

- Powiedziałam ci. Nic mi się nie stało. A teraz cicho-sza. Musisz oszczędzać siły. Kiedy wyzdrowiejesz, znajdę sposób, żeby wyrazić ci moją wdzięczność.

- Czyje to łóżko?

- Moje. Będziesz tu leżał do dnia całkowitego powrotu do zdrowia.

Chciał zadać jej jeszcze tyle pytań. I o tylu rzeczach chciał się od niej dowiedzieć. Ale Jasny Nefryt miała rację. Musiał zadbać o siebie. Miał wyraźny cel w życiu. Kobieta-dzieweczka żyła i miał się kim opiekować.

Zamknął oczy. Zapadając w sen, pomyślał, że wygrał największą partię swojego życia. Zaryzykował, postawił na jedną kartę i zebrał całą pulę. Był prawdziwym szczęściarzem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Wiem już od Lily, że pacjent przetrzymał noc. Czy jest przytomny? - zapytał lekarz, przechodząc za Jasnym Nefrytem z salonu do sypialni.

- Co pewien czas się budzi i nawet rozmawia ze mną - odparła, nerwowo splatając i rozplatając dłonie. - Zaraz jednak zapada w tę swoją ciemność, a ja nawet nie wiem, jak ją nazwać - snem czy utratą przytomności?

Lekarz dotknął rozpalonego czoła rannego.

- Tego można było się spodziewać. Teraz musimy przede wszystkim walczyć z gorączką. - Odwinął opatrunek, obmył ranę i założył nowy. - Na szczęście rana nie ropyje. Proszę zadbać o to, żeby w ciągu najbliższych dni miał spokój. Może jeszcze bardzo cierpieć. - Spojrzał na młodą kobietę i zauważył ciemne kręgi pod jej oczami. - Lily powiedziała mi także, że poczuła się pani w obowiązku czuwać przy rannym.

Jasny Nefryt zarumieniła się.

- Uratował mi życie.

- Rozumiem. - Na twarzy lekarza malowała się

wyraźna sympatia. - Ale cóż warto jest życie bez zdrowia. Proszę z większą troską podchodzić do samej siebie.

- Zapamiętam sobie pańską radę.

Delikatnie poklepał ją po ramieniu.

- To dobrze. Cóż, panno Jewel, pędzę do innych pacjentów. Mnóstwo cierpienia na tym świecie.

- Dziękuję, doktorze - zawołała, kiedy był już za drzwiami.

- I jak się czuje twój obrońca? - Lily weszła z pokojówką, która niosła tacę przykrytą haftowaną serwetką.

Dom tętnił zwyczajnym codziennym rytmem, każdy wypełniał swoje obowiązki, tylko Jasny Nefryt zamknęła się we własnym apartamencie, nie opuszczając Nevady ani na chwilę.

Był już wieczór i z dołu dolatywały śmiechy i rozmowy towarzystwa. Od czasu do czasu rozlegało się głośne przekleństwo bardziej nieokrzesanego gościa. Słodki śpiew skrzypiec mieszał się z brzękiem szkła. Po prostu zwykła wieczorna muzyka w tym domu.

- Cierpi, bardzo ten ból jest dotkliwy. Ale żyje. I to jest najważniejsze. - Jasny Nefryt patrzyła na tacę, którą pokojówka zdążyła położyć już na stoliku. - Co to takiego?

- Pomyślałam - odparła Lily Austin - że pewnie byś coś zjadła.

- Nie jestem głodna.

- Więc zrób to dla mnie, dla swojej przyszywanej

ciotki, która martwi się o ciebie. - Lily gestem ręki odprawiła pokojówkę. - Dzisiaj jeszcze nie miałaś nic w ustach. Postanowiłaś opiekować się Nevadą, a co to za opiekunka, która nagle może zasłabnąć z głodu i przemęczenia. Z braku snu i jedzenia staniesz się cieniem samej siebie. A w ogóle to czy próbowałaś zdrzemnąć się cokolwiek w przeciągu ostatniej doby?

- Spałam godzinę. Odpochnę później. Obiecuję.

Lily uniosła i odłożyła na bok serwetkę i rzekła władcym tonem:

- Pij i jedz.

Jasny Nefryt czuła się zbyt znużona, żeby protestować i w konsekwencji sprzeczać się z Lily. Posłusznie usiadła do posiłku. Tak jednak ustawiła sobie krzesło, żeby nie tracić z oczu Nevady. Nie czuła smaku potraw. Nie bardzo nawet wiedziała, co w danej chwili niesie do ust.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Otworzyła Lily. Pojawiły się twarze dziewcząt służebnych. Lily ustąpiła im z drogi. Dziewczęta wniosły ozdobną balię oraz kilka wiader gorącej i parującej wody.

- Nie zamawiałam kąpieli - zauważyła z przekąsem Jasny Nefryt.

- A jednak my, kobiety, musimy dbać o czystość.

- Lily dała znak ręką i służące wylały wodę z wiader do balii. - Kochanie, ty się opiekujesz Nevadą, a ja się opiekuję tobą. Powinnaś się odświeżyć.

Jasny Nefryt pomyślała, że widocznie dzisiaj musi być już do końca posłuszna i powolna. Zresztą widok parującej wody i zapach mydeł podkopały jej sta-

nowczość. Bez słowa rozebrała się i weszła do balii. Po chwili niemal zniknęła pod warstwą piany, a błogie ciepło przeniknęło ją aż do kości. Spłukano z niej pianę błękitnym dzbanuszkim i owinięto rozgrzany-  
mi ręcznikami. Mała czarnulka o filuternych oczkach podała pyszny orientalny szlafrok. Jasny Nefryt nałóżyła go z westchnieniem prawdziwej rozkoszy.

- Dziękuję, ciociu Lily. Jak zwykle, wiesz wszystko najlepiej. Tego właśnie potrzebowałam.

- Ale to jeszcze nie wszystko. - Lily poprawiła węzeł szarfy, którą przepasała się jej młoda przyjaciółka. - Teraz musisz się przespać.

Jasny Nefryt potrząsnęła głową.

- Wątpię, żeby udało mi się zasnąć. Pozwól, że spędzę noc na tym szezlongu.

Lily nie bardzo spodobał się ów wybór, lecz po dłuższym namyśle rozłożyła ręce. Powiedziała z westchnieniem:

- Chcesz się umartwiać, proszę bardzo. Na upór nie ma lekarstwa.

Pocałowała przyjaciółkę w policzek i opuściła pokój razem ze służącymi.

Kiedy Jasny Nefryt została sama, podeszła do łóżka i dotknęła dłonią czoła Nevady. Poczowała ulgę. Czoło było chłodniejsze niż przed godziną. Gorączka spadała. W zasadzie można już było nie obawiać się niebezpieczeństwa infekcji.

A potem usiadła na brzegu łóżka i popadła w pełne zadumy odrętwienie, słuchając szmeru oddechu Nevady i trzasku ognia na kominku.

- Czy umarłem?

Aż się wzdrygnęła na dźwięk jego głosu.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że śpisz.

- A ja myślałem, że to, co widzę, można zobaczyć tylko w niebie.

Nie zrozumiała i powiadomiła go o tym podniesieniem brwi.

- Ujrzałem precudne zjawisko. Oto z piany wynurzyła się najpiękniejsza kobieta, jaką w ogóle można sobie wyobrazić: skóra gładka jak atłas, włosy czarne i połyskliwe niczym skrzydło kruka, piersi niczym...

Zarumieniła się po białka oczu.

- Widziałeś mnie?

Wykrzywił usta i był to najprawdziwszy uśmiech. Pierwszy jego uśmiech, odkąd został ugodzony kulą.

- A więc to byłaś ty. Już sądziłem, że widzę anioła.

Poderwała się na równe nogi.

- A ja w swojej naiwności sądziłam, że odstąpiłam łóżko ciężko rannemu, który walczy o życie.

- Nie unoś się, moja śliczna. Być może faktycznie walczyłem o życie, ale ten anioł podał mi rękę i zawrócił z drogi wiodącej na cmentarz.

Czyż mogła się na niego gniewać? Mogła się tylko cieszyć, że już nie odpoczywa po każdym wypowiedzianym słowie i że jego twarz straciła ów straszny szarawy odcień.

- Och, Nevada, czy naprawdę czujesz się lepiej?

Tym razem nie udało mu się uśmiechnąć. Ból okazał się silniejszy.

- Czuję się jak ktoś, kto brał udział w strzelaninie i przegrał z kretešem.

- Nie przegrałeś. Wręcz przeciwnie, pokonałeś Trenta. To on leży teraz w ziemi.

Dziwne, ale nie miał poczucia zwycięstwa. Zwycięzcy nie skręcają się z bólu, a jego ból praktycznie nie odstępował. Jediną nagrodą był widok nagiej kobiety, wychodzącej z balii. Wizja ta jednak trwała tak krótko, że wydawała się tworem wyobraźni, iluzją i ułudą.

Przez chwilę miał trudności z oddychaniem.

- Dokąd będziesz przy mnie, dotąd będę czuł się zwycięzcą.

- Nie obawiaj się, Nevada. Będę czuwać przy tobie do dnia twojego ozdrowienia - szepnęła.

- To łóżko jest dostatecznie szerokie, żeby swobodnie mogły w nim spać dwie osoby. Możesz przytulić się do mnie.

- Przytulić?

- Och, nie obawiaj się, nic ci nie grozi ze strony mężczyzny, który nie może ruszyć ani ręką, ani nogą. Po prostu skorzystamy na tym oboje. Ja będę miał cię jeszcze bliżej przy sobie, tobie zaś będzie wygodniej niż na tej kanapce.

Propozycja była kusząca, ale kryło się za nią mnóstwo niebezpieczeństw. Jasny Nefryt gwałtownie cofnęła się, jak ktoś, kto stojąc nad przepaścią, nagle od czuje siłę i powab jej przyciągania. Opadła na szelzong. W gruncie rzeczy czuła radość i ulgę, że oparła się pokusie.



Nevada zapadł w sen. Słuchając jego ozdrowieńczego oddechu, zastanawiała się, skąd u Nevady to pragnienie, by przytuliła się do niego. Tak chore dziecko pragnie dotyku i bliskiej obecności matki. Był dzieckiem, bo był bezbronny i cierpiący. Ale był również mężczyzną i tu zaczynały się owe niebezpieczeństwa, o których pomyślała przed kilku minutami.

Poczuła, że ogarniają sen. Szczelnie otuliła się pledem i zasnęła w półleżącej pozycji.

Popłynęły kolejne dni. Jasny Nefryt sypiała jedynie trzy, cztery godziny na dobę, resztę czasu wypełniając ożywioną aktywnością. Prawie że nie schodziła na dół. Wszystkie bez wyjątku sprawy załatwiała w swoim apartamencie, najczęściej w salonie. Toteż przepływał przezeń potok interesantów, doradców, dostawców oraz osób zainteresowanych kupnem „Złotego Smoka”. Ci ewentualni nabywcy dzielili się z nią swoimi planami. Jeden chciał zmienić budynek w hotel z restauracją. Inny widział tu klub dżentelmenów. A jeszcze inny (dawny przyjaciel matki i też emigrant z Chin) zamierzał jedynie unowocześnić fasadę domu, nic nie zmieniając w jego funkcji i przeznaczeniu. Ten oferował największą sumę.

- Jest jednak pewien warunek - powiedział, rzucając okiem na prawnika, który mu towarzyszył.

Pokojówka skończyła rozlewać herbatę i dyskretnie wycofała się z salonu.

Jasny Nefryt milczała.

- Chciałbym wraz z domem nabyć całe jego wy-

posażenie. Pozostawię je w obecnym stanie. Myślę tu tyleż o obrazach i różnych bibelotach, co o meblach, dywanach i zastawie. Po prostu o wszystkim.

Jasny Nefryt zmarszczyła brwi.

- Moje meble mają ogromną wartość. Niektóre sprowadzone zostały z Chin, inne z Europy. Są unikalne. Nie zastąpię ich żadnymi innymi.

- Wszystko to sobie bardzo dobrze uświadamiam. I dlatego oferuję odpowiednią cenę. Zależy mi na kontynuowaniu tradycji, którą zapoczątkowała pani czcigodna matka, Ahn Lin. Wyposażenie tego domu tworzy jego niepowtarzalną atmosferę. Bez tych mebli i obrazów to dom jak wszystkie inne. Nie utrzymam dotychczasowych klientów.

Jasny Nefryt zamyśliła się. Od dawna już planowała większość wyposażenia zabrać ze sobą do Teksasu, aby umilić wnętrza tamtego surowego budynku. Ale oto nadarzała się szansa uproszczenia wszystkiego. Sprzedając dom razem z meblami, mogłaby uniknąć wszystkich kłopotliwych zabiegów związanych z transportem. Poza tym nikt jej nie mógł zagwarantować, że w drodze z San Francisco do Hanging Tree meble i obrazy nie ulegną uszkodzeniu bądź rozgrabieniu.

- Jestem otwarta na przedyskutowanie tej sprawy.

- Wskazała na wiszący na ścianie portret matki. - Ale są pewne rzeczy, z którymi w żadnym wypadku nie mogłabym się rozstać.

Na twarzy straszego pana pojawił się szeroki uśmiech.

- Rozumiem. Proszę sporządzić spis tych przedmiotów, a ja podciągnę je pod rubrykę osobistych pamiętek.

Pomyślała o sumie, którą gotów był zapłacić. Nie spodziewała się aż takich pieniędzy. Tym trudniejsza stawała się odmowa. Wciąż jednak dręczyły ją pewne wątpliwości.

- Rozważę pańską ofertę, Chang Lu. Uprzedzam jednak już teraz, że dziewczęta, które tu pracują, nie są częścią tego domu.

Zmarszczył czoło. Najwidoczniej nieprzyjemnie zaskoczyło go to zastrzeżenie.

- Nie ma lepszych dziewcząt w San Francisco, a mnie zależy na najlepszych. Liczę na wybrednych klientów. Dlaczego nie mogę kupić domu wraz z pensjonariuszkami?

- Bo decyzja należy do nich - odparła zdecydowanym głosem. - Muszą mieć możliwość wyboru.

W głębi duszy miała nadzieję, że dziewczęta nie odstąpią jej i wybiorą nowe życie w Teksasie.

Nevada powoli wracał do zdrowia. Rana goiła się, sił przybywało. Widział teraz Jasny Nefryt w zupełnie innym świetle. Dotąd myślał o niej jako o rozpierzczonej *lady*, otoczonej służbą i luksusem. W ostatnich dniach odstąpiła przed nim kulisy swojego życia. Zanurzona po uszy w sprawach finansowych i organizacyjnych, ciężko pracowała, by utrzymać wysoki poziom egzystencji. Nie było w tym nic samolubnego i egoistycznego, gdyż swą troską obejmo-

wała wszystkich stałych pracowników i domowników „Złotego Smoka”. Pomimo widocznej tu hierarchii, w domu tym panowała atmosfera rodzinnej wspólnoty.

Drzwi sypialni rzadko kiedy stały otworem, ale i tak przebijały przez nie odgłosy życia za ścianą: szmer rozmów dotyczących spraw finansowych; reprimenda udzielona pokojówce, która niebacznie złamała jakiś zakaz; opanowany głos Lily, w każdej sytuacji zachowującej niczym nie zmacony spokój i powagę matrony; chichoty i plotkarskie rozmowy służących.

Zdarzało się, że śledził spod oka Jasny Nefryt pochyloną godzinami nad różnymi papierami i dokumentami. Inni spali sobie smacznie, ona zaś podliczała sumy należne dostawcom, pisała listy i robiła wpisy w księdze przychodów i rozchodów.

Posiadała bez wątpienia ogromny talent do interesów i zmysł organizacyjny. Zakrawało na paradoks, że kierując armią kobiet lekkich obyczajów, nie miała nic wspólnego z tą profesją, mało tego, w ogóle nie poznała dotąd, co to miłość kobiety i mężczyzny.

Uśmiechnął się, słysząc dochodzący z sąsiedniego pokoju melodyjny głos Jasnego Nefrytu. Kiedy wrócić mu siły, postara się, by pogłębiła swą wiedzę o tych sprawach.

Zjawiały się też młode kobiety szukające zatrudnienia. Niektóre z nich dopiero co przybyły do Ame-

ryki i rozglądały się za sposobem na przeżycie. Czasami trafiała się uliczna prostytutka pragnąca polepszyć swój los. Oferta była tak bogata, że Jasny Nefryt wybierała tylko najlepsze kandydatki. Nie znosiła tych rozmów. Ocierała się w nich o ludzką nędzę i poniżenie. Opowiadane przez te dziewczyny historie wyciskały łzy z jej oczu. I niezmiennie czarnymi charakterami byli tu brutalni i bezduszni mężczyźni - kochankowie, sutenerzy, przestępcy, a nawet ojcowie.

Po jednej z takich wyjątkowo zasmucających rozmów Jasny Nefryt weszła do sypialni i osunęła się na fotel. Zwiesiła głowę.

- Czy coś się stało?

Drgnęła. Spojrzała na Nevadę. Zauważyła, że wyrosła mu już całkiem spora broda.

- A więc nie śpisz. Czy masz jakieś życzenia?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeżeli w tej chwili czegoś potrzebuję, to tylko twojej obecności. Przeszłaś już dzisiaj dostatecznie dużo.

Spojrzała uważnie. Troszczył się o nią, mimo że przede wszystkim sam wymagał opieki.

- Co masz na myśli?

- Mimowolnie podsłuchałem twoją rozmowę z tą młodą Francuzką. Dziewczyna uraczyła cię piękną historyjką. Ponurą jak zamek gotycki.

Jasny Nefryt nerwowo splotła dłonie.

- Do tej pory powinnam była już się właściwie przyzwyczaić. Zawsze to samo. Ofiary okrucieństwa

ojców, kochanków lub mężów. Ani dachu nad głową, ani grosza w kieszeni. Samotność, strach, rozpacz. Opowiadania podobne do siebie niczym monety bite z jednej sztancy. A przecież za każdym razem rodzi się we mnie gniew. Tak nie powinno być. Każdy powinien mieć kochających rodziców, którzy otoczą opiekuńczym ramieniem i uchronią od najgorszego.

Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał.

- Nikt jeszcze nie ustalił, jakie powinno być życie. Dlaczego ma być szczęśliwe i bezpieczne? Kto to może zagwarantować? Ludzie, rzecz jasna, pragną szczęścia, ale me każdy może je zdobyć. Ty akurat miałaś kochających rodziców.

Spojrzała na płonący na kominku ogień.

- A co z twoimi rodzicami, Nevada? Czy również byłeś kochanym i rozpieszczanym dzieckiem?

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i weszła służąca z tacą. Położyła ją na nocnym stoliku.

Następnie obie kobiety posadziły Nevadę i wsparły go na poduszkach.

Służąca odeszła, zaś Jasny Nefryt przystąpiła do karmienia chorego.

- Lepiej uważaj - mruknął z pełnymi ustami. - Jeszcze zasmakuję w takim trybie życia.

Spuściła oczy, skupiając się na swojej roli pielęgniarki. Ale w końcu ich spojrzenia się spotkały. Olśnił ją czysty blask bursztynu i popadła w wielkie zmieszanie.

- Otwórz usta - powiedziała drżącym głosem.

Wykonał polecenie, błysnął zębami. Zmieszanie nie ustępowało. Uświadomiła sobie, że karmienie go sprawia jej zmysłową przyjemność. Czynność ta zawierała w sobie może nawet większą porcję intymności aniżeli pocałunek.

Rozgniewała się na siebie za swoje zdradliwe rumieńce. Nie potrafiła ukryć narastającej namiętności. Nie mogło to ujść jego spojrzeniu. I nie uszło. Jego oczy coraz to bardziej paliły i oślepiały. Przenikał spojrzeniem do jej wnętrza, wypełniając je słodką omdlałością. Była o krok od odrzucenia łyżki i ucieczki z pokoju.

- Już wkrótce - powiedział niskim, głębokim, nieco chrapliwym głosem - odzyskam pełnię sił. Kiedy się to stanie, ujmę ciężaru, który dźwigasz. Wtedy będziesz mogła odpocząć.

Wyciągnął rękę i powiodł opuszką wskazującego palca po jej wargach. Aż musiała się wesprzeć obu dłońmi o jego pierś, by nie dać się wciągnąć w ten wir jego uroku.

- Wdzięczna jestem za chęć niesienia mi pomocy, lecz jej nie potrzebuję. Nauczyłam się polegać wyłącznie na sobie, Nevada.

Poderwał się, żeby ją pocałować, lecz zaraz z bolesnym westchnieniem opadł na poduszki.

- Sam widzisz. Wciąż jeszcze jesteś słaby i chory - powiedziała z niejaką satysfakcją w głosie. - Znasz reguły. Musisz jeść i spać, spać i jeść. A wówczas może za kilkanaście dni podniesiesz się z tego łóżka.

- Podniosę się szybciej niż się spodziewasz, Jasny Nefrycie. Wtedy odrzucimy dotychczasowe reguły i wymyślimy całkiem nowe.

Mimo wszystko odczuwał radość. Wiedział już, że niedostępna i chłodna właścicielka „Złotego Smoka” traci w zbliżeniu z nim całą swoją wolę oporu. Pozostawało mu więc tylko rozbudzić w niej pragnienie otwarcia się na jego przyjęcie.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nevada jadł i spał, spał i jadł i faktycznie dość szybko powracał do zdrowia. Jednak z Jasnym Nefrytem działa się coś wręcz przeciwnego. Coraz trudniej było jej zasnąć, coraz częściej też wymawiała się od posiłków. Straszliwie męczyła się po nocach, czekając na sen, który nie nadchodził. Myślała wówczas o mężczyźnie, który zajmował jej łóżko. Kusiło ją, żeby wyciągnąć się przy nim. Wiedziała, co znaczą te pokusy i ku czemu uleganie nim może przywieść.

Wtedy przypominała sobie słowa swojej nauczycielki.

- Pamiętaj, dziecko - mówiła stara kobieta - że żądza jest jak opium. Osłabia, wysysa siły, dając równocześnie iluzję mocy. Kobieta, która pragnie zachować niezależność, musi wykształcić w sobie zdolność wyrzekania się tego, co proponują jej mężczyźni. To ona powinna kształtować w mężczyznach ich pragnienia. Niechaj biorą to, co ona im daje. Wtedy jej pozycja będzie niezachwiana. Lepiej pociągać za sznurki, niż samemu być marionetką w rękach innych.

W słowach tych przebijała filozofia mocy i wła-

dzy. Dlaczego życie miało się sprowadzać tylko do tych dwóch pojęć? Jasny Nefryt gnębiła ta kwestia i pewnego razu podzieliła się z nauczycielką swoimi wątpliwościami.

Odpowiedź brzmiała:

- Gdybyś kiedykolwiek doświadczyła zależności i poddaństwa, nie zadałabyś mi tego pytania. Wiedziałaś, że silny góruje nad słabszym i dyktuje mu warunki. W rozgrywce ze światem zawsze trzeba być tym silniejszym. Wróg czyha na naszą słabość.

- Czy mężczyźni są wrogami kobiet? - zapytała.

- Traktujemy ich jako zło konieczne - odparła z uśmiechem stara kobieta.

Jasny Nefryt nigdy nie zapomniała tych słów i teraz dźwięczały one w jej głowie. Patrzyła na Nevadę i nie sposób było jej zaprzeczyć, iż ten mężczyzna próbował ją zranić. Ale było również prawdą, iż podjął śmiertelne ryzyko, żeby ocalić jej honor. Kto więc miał tu dominować, a kto chodzić w jarzmie poddaństwa?

Och, gdyby żył jej czcigodny ojciec! Onyx Jewel odpowiedziałaby na wszystkie pytania, wyprostowałaby jej ścieżki, wyznaczyłby kierunek, wyrwałby ją z tego labiryntu.

Ukryła twarz w dłoniach.

Podpisała wszystkie dokumenty i skończyło się tym, że dostała zawrotu głowy. Wchodziła po schodach, trzymając się poręczy. Otworzyła drzwi sypialni. Zdumienie zatrzymało ją na progu.

Na środku pokoju stał Nevada. Pochylał się nad miednicą. Był nagi i tylko w biodrach przepasany ręcznikiem.

- Kto ci pozwolił wstać z łóżka?

Wyprostował się i pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Najwyższy czas wrócić do normalnego życia. Nie jestem cieplarnianą roślinką. Puchowe poduszki, atłasowa pościel, posiłki przynoszone do łóżka - wprędce zniewieściałbym od tego wszystkiego.

- Ale lekarz powiedział, że nie możesz wstawać przed upływem co najmniej dwóch tygodni. - Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Jeszcze dziś rano Nevada wydawał się wycieńczony i biedny. Minęło kilka godzin i prezentował jej swoje muskularne ciało. Kontrast był tak ogromny, że już sama nie wiedziała, co myśleć.

Znowu się uśmiechnął, lecz tym razem był to jeden z tych uśmiechów, które budzą w kobiecie poczucie zagrożenia.

- Może faktycznie zachowałem się trochę nierozsądnie. Czy mogłabyś mi pomóc wrócić do łóżka?

Zbliżyła się do niego, on zaś wsparł się na niej. Miał wilgotną skórę i pachniał lawendowym mydłem. Zapach ten do tego stopnia kłócił się z jego wizerunkiem hazardzisty i rewolwerowca, że nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dotykała jego nagiego ciała i skłamałaby mówiąc, że czuje się z tego powodu niešťczęśliwa.

Nevada powłóczył nogami niczym jakiś starzec.

Czasami sykał z bólu. Wreszcie przemierzyli odległość dzielącą ich od łóżka.

- A teraz połów się - powiedziała.

Zbliżył usta do jej ucha.

- Jeszcze nie uciekaj. Czuję, że tracę równowagę. Obejmij mnie i podtrzymaj.

Chwyliła go w pasie. Zachwiał się do tyłu. Runął na materac. Oszołomiona, stwierdziła, że leży na nim.

Jęknęła.

- Boże, pewnie cię uraziłam!

Nie puszczał jej. Czuła na twarzy jego oddech, a pod sobą jego żywe, ciepłe, obnażone ciało.

- Nie mam nic przeciwko takim urazom.

- Co ty wygadujesz? - Spoglądała nań z wyrazem czujności na twarzy.

Przyciągnął jej głowę i przywarł ustami do jej warg.

- Są urazy, które można zaleczyć pocałunkami - tchnął gorącym szeptem.

W jego oczach pojawiło się coś, co odebrało jej oddech i zatrzymało serce.

- Nie. Nie możemy...

- Nie chcesz mnie pocałować?

Ale jej serce zmartwiało tylko na chwilę. Zaraz bowiem zaczęło bić jak oszalałe.

- Nie.

- Kłamczuszka.

- Nie jestem...

Więcej już nie zdążyła powiedzieć, gdyż zaniknął pocałunkiem jej usta.

Kiedy po raz ostatni ją całował, sądził, że to sen. Ale tym razem nie miał żadnych wątpliwości. Te usta były rzeczywiste. Rzeczywista była cała ta kobieta, która leżała na nim. Czuł jej słodki ciężar i pragnął, żeby ta chwila ciągnęła się bez końca.

Wręcz pożerał jej usta, wyznając tym swój nienasycony głód. Ale i tego było mu mało. Żgnięty dojmującą żądzą, odwrócił się na bok. Miał teraz Jasny Nefryt pod sobą. Zamienili się miejscami.

Nie broniła się, a tylko westchnęła, kiedy pogłębił pocałunek. Odkrywała nowe światy, nowe doznania. Wiedziała, że to dopiero początek. Niemniej dawał on niemal pełne wyobrażenie o tym, co miało nastąpić.

Brutalnie rozchylił, prawie rozdierając, brzegi jej jedwabnej szaty. Całował teraz jej szyję, kark i ramiona. Nic jednak nie mogło nasycić jego głodu. Spalał się w ogniu namiętności. Spalali się oboje.

Zdumiewała się własnym stanem. To co odczuwała, pozostawało w sprzeczności z tym, co słyszała od swojej nauczycielki. Przeżywała coś, co miało niewiele wspólnego ze starannie zaplanowanym uwodzeniem albo nocą poświęconą erotycznym rozkoszom. To był wybuch erotycznego szału. Żeglowanie łódką po wzburzonym i huczącym oceanie. Narkotyczna ekstaza. Trans wywołany środkami odurzającymi. Czuła się zagubiona, omroczone i szczęśliwa.

Sycił się jej ustami. Im więcej żądał, tym więcej mu dawała. Ale żadne z nich nie miało dość. Ich żyłami płynęła gorąca krew, a ciepło buchało z ich ciał.

Nevada zdawał sobie sprawę, iż zaczął z nią tę

podróż zbyt spieszenie i gwałtownie. Prawie po wariacku.

Walcząc o oddech, podniósł głowę. Dotknął dłonią jej piersi. Zobaczył oczy wielkie i ciemne jak górskie jeziora, rozchylone i nabrzmiące wargi, twarz wykrzywioną namiętnością. Oddychała szybko, jak po biegu.

- Chyba źle obliczyłem swe siły. - Pocałował ją w koniec nosa i opadł na poduszki.

Chciała coś powiedzieć, ale musiała najpierw uspokoić oddech. W końcu szepnęła:

- Dlaczego tak mówisz?

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak jesteś piękna, Nefrycie. I jakie katusze człowiek cierpi, patrząc na ciebie. Gdybym był całkiem zdrowy, nie rozmawialibyśmy ze sobą w tej chwili. - Otarł dłonią pot z czoła. - Doszlibyśmy do końca tej drogi.

Powoli wstała z łóżka. Uporządkowała na sobie ubranie. Jednak szata w jednym miejscu okazała się rozdarta. Stwierdziła to z zupełną obojętnością. Cała zaprzątnięta była tą burzą, która szalała w jej duszy.

Powiedział, że jest piękna. I pożądał jej. W jego oczach była kusicielką. Ale w swoim obecnym odczuciu była motylem, bo czuła się wesoła i lekka jak motyl.

Spojrzała na niego. Miał zamknięte oczy. Czyżby zdążył już zasnąć? W każdym razie wydawał się umarły dla świata.

Ale ją przepełniała radość życia. Chciało się jej śpiewać i tańczyć. Po raz pierwszy w życiu przekro-

czyła bramę ogrodu, który dotąd wydawał się jej niedostępny.

- Wyglądasz dzisiaj na wypoczętą - zauważyła Lily, wchodząc do pokoju.

- Spałam jak dziecko.

- ANevada?

Jasny Nefryt położyła palec na wargach, po czym zawiodła ciotkę do pokoju obok.

- Ani śladu gorączki. Rana się goi. Jest tylko mocno osłabiony. Ale to można zrozumieć. Więc gdyby nie ból, który czasami powraca, powiedziałabym, że już odzyskał zdrowie. Zresztą te napady bólu wycy-tuję z jego twarzy, bo Nevada należy do mężczyzn, którzy nie lubią przyznawać się do ludzkich słabości.

Służąca rozsunała kotary, wpuszczając do wnętrza światło dnia. Inna postawiła na stole śniadanie.

- Kiedy się obudzi - dorzuciła Jasny Nefryt - zmienię mu opatrunek.

- A nie uważasz, że czas przekazać opiekę nad nim komu innemu? Rozumiem, że chciałaś okazać mu swoją wdzięczność, ale teraz, gdy wraca do zdrowia, możesz z czystym sumieniem się wycofać i nakazać doglądać go służącym - powiedziała Lily tonem osoby pewnej swych racji, w głębi duszy obawiając się jednak, że jej rada może zostać odrzucona.

Nie uszło bowiem jej uwagi, że pomiędzy jej młodą przyjaciółką a hazardzistą zrodziło się coś szczególnego. Była tym poważnie zaniepokojona, lecz jeszcze zwlekała z biciem na alarm.

- To nie jest kwestia wdzięczności - powiedziała Jasny Nefryt, smarując grzanekę miodem. - On i ja złączeni jesteśmy węzłem nie do rozplatania. To dzięki niemu żyję. Bo niemal jestem pewna, że Virgil Trent zabiłby mnie po nasyceniu się moim ciałem. A więc rozumiesz, ciociu Lily, że chodzi tu o coś więcej niż o wdzięczność. Myślę, że moje życie jest teraz nierozzerwalnie związane z jego osobą, i to dokładnie w tym sensie, w jakim rozumie się słowa „związek”, „lojalność” i „przynależność” w ojczyźnie mojej zmarłej matki.

Lily zacisnęła usta. Twarz jej w tej chwili wyrażała absolutny brak zgody na to, co właśnie zostało powiedziane.

- Podchodzisz do spraw zbyt emocjonalnie. A poza tym jesteś osłabiona fizycznie i psychicznie. Było do przewidzenia, że całe to wydarzenie dokona w tobie pewnych przeobrażeń. Długo przebywałaś w dalekim Teksasie, wracasz do domu i oto atakuje cię jakiś zboczony szaleniec, który grozi ci rewolwerem i gwałtem. Potem przez wiele dni, nie dosypiając i żywiąc się niczym ptaszek, opiekujesz się ciężko rannym człowiekiem. Równocześnie prowadzisz interesy, co tylko pozornie wydaje się lekką pracą. Nic dziwnego, że jesteś podenerwowana, rozkojarzona i pełna najsprzecznějších uczuć.

Jasny Nefryt patrzyła na Lily z pobłażliwym uśmiechem.

- Nie sądzę, by moje zachowanie można było tłumaczyć emocjami. Od wielu dni intensywnie myślę



o pewnej rzeczy i, zdaje się, zdobyłam jasne o niej wyobrażenie.

- O jakiej rzeczy?

- Że już najwyższy czas, żebym się dowiedziała praktycznie, by tak rzec, z pierwszej ręki, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami w domu rozkoszy.

Starsza z dwóch kobiet gwałtownie poruszyła się na krześle. Nawet nie próbowała ukryć swojego wzburzenia.

- I to Nevada ma być twoim nauczycielem?

Jasny Nefryt zrobiła ironiczną minkę.

- Znasz może lepszego nauczyciela?

Lily podejrzewała, że jej młoda przyjaciółka przybrała ów lekki ton jedynie po to, by ukryć wewnętrzne napięcie i zdenerwowanie.

- W „Złotym Smoku” oferujemy określone usługi. To o czym mówisz, wydaje się zupełnie czym innym.

- Co masz na myśli?

- Po prostu odnoszę wrażenie, że mówisz z głębi serca. A serce to coś bardzo delikatnego. Łatwo je złać. Ponadto jako właściciele „Złotego Smoka” nie wypada ci zniżać się do poziomu zwykłej pensjonariuszki.

- Czegoś tu nie rozumiesz, ciociu Lily. Pragnę dowiedzieć się wszystkiego o miłości. Kto może mnie lepiej tego nauczyć, jak nie mężczyzna, który zaryzykował dla mnie swoje życie?

- Miłość to nie przedmiot lekcyjny. Nie ma takiej szkoły, w której uczono by, jak kochać i co zrobić,

żeby być kochaną. Nie ma szkoły, więc nie ma też nauczycieli.

- A jednak ludzie coś wiedzą o miłości. Kochają się, pobierają, płodzą dzieci.

- Tak, niektórzy radzą sobie nawet całkiem dobrze. Inni przepychają się z biedą. Są i tacy, którym zupełnie się nie udaje. Przypomnij sobie swoich rodziców. Nigdy nie widziałam dwojga ludzi bardziej w sobie zakochanych. Mimo głębi i intensywności tego uczucia do końca nie udało się im być razem. Kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt radosnych nocy, a cała reszta to życie w rozłące. Nawet ich miłość do ciebie nie uczyniła z nich stadła małżeńskiego. - Lily nalała sobie do szklanki czystej wody i wychyliła ją jednym haustem. - Czy chcesz wybrać los swojej matki?

Jasny Nefryt poczuła chłód i zadrzała. Oczywiście, że bała się miłości, która byłaby ustawiczną tęsknotą. Ów strach jednak, który próbowała w niej zaszcześcić Lily, mógł być całkiem bezprzedmiotowy.

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Wiem natomiast, co czuję do Nevady. Tego rodzaju uczucie nie wzbudził we mnie jeszcze żaden mężczyzna. Chcę, żeby on czuł dokładnie to samo.

- Pragnąć czegoś od życia to jedna sprawa, a otrzymać coś od życia to całkiem odrębna. Sama musisz rozstrzygnąć, czy powinnaś ofiarować swoje serce lub ciało temu mężczyźnie.

- Chciałabym ofiarować mu zarówno jedno, jak i drugie.

W uśmiechu Lily przebijał smutek.

- Coś takiego nazywa się małżeństwem. Ale dla takich kobiet, jak my jest to rzecz nieosiągalna.

„Takich kobiet, jak my...”

Słowa te parzyły niczym liść pokrzywy.

- W „Złotym Smoku”, owszem, uprawia się miłość, ale nie ma ona nic wspólnego z miłością, o której mówimy - ciągnęła Lily Austin. - Ba, są to dwa odrębne światy, których nie sposób połączyć ze sobą. Patrząc na ciebie i widząc upadłą młodą kobietę.

- Upadłą?!

Jasny Nefryt wymówiła to słowo ze zgrozą i zdumieniem. Zawsze myślała o sobie jako o kimś szlachetnym i godnym. Była dumna z tego, co robi. Szczyciła się swoimi planami na przyszłość i swoim pochodzeniem.

- Tak, Jasny Nefrycie. To nie jest oczywiście moja ocena, ale ocena zbiorowości, której częścią stanowimy. Spójrzj zresztą w swoje serce. Oceń, czy pobudki, którymi się kierujesz, są uczciwe. Przemyśl również inne sprawy. Staraj się spojrzeć na siebie oczyma innych. Teraz pozostawię cię samą. Będę modliła się, żebyś podjęła właściwą decyzję. Bo od niej będzie zależało całe twoje dalsze życie.

Lily odeszła, zaś Jasny Nefryt jęła niespokojnie chodzić po pokoju. Czy mogła oddać się Nevadzie i równocześnie zachować władzę nad swoim sercem? A może niebacznie dała wciągnąć się w grę, która ją unicestwi?

Stała przy oknie i wsparła czoło o chłodną szybę. Czym ona się właściwie martwi? Prawda była ta-

ka, że liczył się tylko Nevada. Pragnęła go. Gotowa była mu się oddać, i to bynajmniej nie z wdzięczności. Również nie dlatego, że honorowe długi trzeba spłacać. Po prostu pożałowała tego mężczyzny. Chciała iść z nim do łóżka i pozwolić się pieścić. Chciała nauczyć się od niego tych wszystkich rzeczy, które robią ze sobą kobieta i mężczyzna. I nie chodziło tu o żadną wiedzę typu podręcznikowego ani też o wprowadzenie w arкана sztuki erotycznej. Chodziło o magię namiętności, o żar uczuć, o zespolenie dwojga w jedno, o powtórzenie tamtych nocy, które Ahn Lin i Onyx Jewel spędzali ze sobą.

Tak, podjęła już decyzję i była to w jej poczuciu najlepsza decyzja. A teraz poszuka Lily. Pomimo obaw i wątpliwości, z którymi się zresztą nie kryła, Lily była w tym wypadku najważniejszą osobą. Ona najlepiej przygotowuje ją na tę najważniejszą noc w jej życiu.

Nevada leżał bez ruchu. Gdyby nie słyszał tego na własne uszy, nigdy by nie uwierzył.

Jasny Nefryt gotowa była spędzić z nim noc.

Odkąd po raz pierwszy ją ujrzał, myśl o uwiedzeniu jej nie dawała mu spokoju. Z czasem zaczęła uosabiać sobą wszystko, czego pragnął i spodziewał się od życia. Wystarczał podsuwany mu przez wyobraźnię obraz jej osoby, ciepłej, gotowej i posłusznej niczym panna młoda, żeby czuł w sobie żądę i musiał chłodzić rozpaloną głowę zimną wodą.

A teraz roztrząsał po raz kolejny słowa, które do-

biegły go przez ścianę, i dochodził do wniosku, że nie może lekceważyć ostrzeżenia Lily. Bo czym właściwie powodowała się Jasny Nefryt - miłością czy wdzięcznością? Zaciśnął dłonie z taką mocą, że aż zaboląły go mięśnie przedramion. Każdy mężczyzna jako tako władający bronią i obdarzony refleksem potrafiłby dokonać tego, czego on dokonał. Więc może jest tak, że on, Nevada, ma odegrać małą, lecz istotną rolę w procesie jej wtajemniczenia seksualnego? Gdyby nie znalazł się akurat pod ręką, wybór padłby na jakiegoś kowboja lub członka rady miejskiej.

Więc czy była to miłość?

Znał swoje serce. Od dawna już pożądał tej kobiety-dzieweczki o włosach jak skrzydło kruka, dumnym czole, kruchych członkach i namiętnych ustach - i w pewnym momencie pożądanie to, całkiem niezależnie od jego woli, przeobraziło się w autentyczną miłość. Myśląc o Nefrycie, myślał o ustatkowaniu się i dozgonnym z nią związku.

Dozgonnym! Marzenia ściętej głowy. A poza tym idiotyczne. Był najmniej odpowiednim kandydatem na męża dla takiej kobiety, jak Jasny Nefryt. Nosił przecież pewną tajemnicę w sercu i gdyby ją poznała, nie chciałaby mieć z nim do czynienia. A przecież jakkolwiek było to trudne, prawda musiała być ukazana. Zanim on, Nevada, zrobi coś, czego oboje będą żałować.

Zerwał się z łóżka i podszedł do okna. Spojrzał w dół na ulicę. Mieniła się w słońcu i tętniła życiem. Niebawem on pójdzie tą ulicą. Powróci do świata,

z którego na tyle dni wyrwała go kula Trenta. Stanie twarzą w twarz z twardą rzeczywistością.

Wrócił do San Francisco, by się przekonać na własnej skórze, czy nadal odpowiada mu jego dawne życie. Przekonał się, że nie. Przejadło mu się to miasto i był znużony rolą hazardzisty i włóczęgi.

Pozycja, jaką wyrobił sobie w Hanging Tree, miała u swych podstaw kłamstwo, ale niewątpliwie bardziej odpowiadała jego duszy. Kiedy jednak mieszkańcy miasteczka dowiedzą się prawdy, a prędzej czy później to się stanie, odwrócą się do niego plecami. Ale bez względu na wszystkie konsekwencje tego kroku, musiał tam pojechać i stanąć przed nimi.

I publicznie się wyowiadać.

Podszedł do krzesła, na którym leżało jego ubranie. Zaczął od włożenia spodni i butów. Kiedy na koniec opasał biodra pasem z rewolwerami, był zlany potem z wysiłku.

Nienawidził tej swojej słabości. Ale wiedział, że kiedy owieje go wiatr prerii i ogrzeje słońce Teksasu, siły szybko powrócą. Najważniejsze, że oparł się pokusie. Przewycięzył zmysłowe żądze i duchową słabość. A może nadejdzie kiedyś taki wieczór, jeśli będzie żył dostatecznie długo, gdy będzie mógł zasnąć bez obrazu ślicznej twarzy Jasnego Nefrytu pod powiekami.

Zaczął się dla niego okres wyrzeczenia i pokuty.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Och, Lily, życz mi szczęścia.

Jasny Nefryt uściskała ciotkę i wybiegła. Gruby chodnik zaścielający podłogę korytarza tłumiał jej szybkie kroki. Zdawało się, że płynie w powietrzu. Kiedy dotarła do drzwi sypialni, stanęła, żeby uspokoić łomot serca. Zauważyła, iż z emocji zwilgotniały jej dłonie.

Wróciła myślami do niedawnej rozmowy. Ciotka z początku wyraziła swój sprzeciw, lecz potem w milczeniu wysłuchiwała jej argumentów. Kiedy zaś uświadomiła sobie, że nikt i nic nie zmieni jej decyzji, zachowała się dokładnie tak, jak Jasny Nefryt to przewidziała. Pouczyła młodą przyjaciółkę w kwestii toalety, zachowania, a nawet nastroju duchowego, jaki ma w sobie wytworzyć. Poza tym uspokajała ją, pocieszała, udzielała jej szczegółowych wskazówek.

Najpierw więc przy asyście całego zastępu służących odbył się rytuał kąpieli. Wynurzywszy się z piany, Jasny Nefryt została osuszona miękkimi ręcznikami, natarta wonnymi olejkami, spryskana perfumami, których zmysłowy zapach działał niczym afrodyzjak. Podano jej wytworną szatę z najcieńszego zielonego

jedwabiu z wyhaftowanymi na rękawach kwiatami głogu. Włosy, zebrane w połowie długości jedwabną wstążką, spływały przez ramię połyskliwą kaskadą na prawą pierś. Ukończywszy toaletę, Jasny Nefryt wyglądała niczym dziewica przeznaczona bogom na ofiarę.

- Co mam mu powiedzieć? - zapytała, patrząc na Lily oczyma spłoszonej łani.

- Słowa nie są niezbędne. Przemówisz do Nevady bez słów.

- Nie rozumiem.

- Och, Nefrycie. - Lily przywiodła młodą kobietę przed lustro. - Spójrz na siebie. Twoje ciało emanuje miłością. Jesteś jak otwarta księga. Wystarczy spojrzeć na ciebie, żeby znaleźć się w sytuacji kogoś, kto czyta poemat. Połóż rękę na sercu, a poczujesz jego bicie. Masz zaróżowione policzki i oczy pełne blasku. Nie potrzebujesz się odzywać. Nevada i tak natychmiast wszystkiego się domyśli.

Jasny Nefryt jakiś czas studiowała swoje odbicie w lustrze. Widziała się dokładnie taką, jaką opisała ją ciotka Lily. Zresztą mniejsza z tym. Oglądanie samej siebie ani ziębiło ją, ani grzało. Wolała patrzeć na Nevadę.

Teraz, kiedy stała przed drzwiami swojego apartamentu, ciesząc się na myśl o wszystkich tych przyjemnościach i rozkoszach, które czekały ją po drugiej stronie, dotknęła dłonią naszyjnika i zwróciła się myślami ku zmarłemu ojcu.

Czcigodny ojcze, wiem, że rozumiesz mój strach



i moje zawstydyzenie. I miłość, którą niosę w sercu, aby ją ofiarować drogiemu mężczyźnie. Błagam, pobłogosław to, co za chwilę się stanie. Spójrz z wysokości łaskawym okiem na mnie i mojego kochanka.

Weszła do środka i zdrętwiała z przerażenia.

Pograżone w ciemności wnętrze oświetlał jedynie ogień płonący na kominku. Nie paliła się ani jedna lampa. Ani jedna świeca. Z kątów wyzierał ponury mrok.

Łóżko było puste. Gorzej. Było okryte kapą.

- Czekałem na ciebie.

Drgnęła i spojrzała w kierunku, skąd dochodził głos. Nevada siedział na krześle w pobliżu komody. Palił cygaro, którego rozżarzony koniuszek czerwienił się w ciemności.

Po chwili odzyskała zdolność mówienia.

- Kiedy zobaczyłam, że nie ma cię w łóżku, złączyłam się, że odszedłeś.

- Miałem taki zamiar, ale nie mogłem opuścić tego domu bez pożegnania się z tobą.

Uśmiechnęła się. Wracał poprzedni nastrój. Skoro Nevada nie odszedł, to już nie odejdzie.

- To dobrze.

Przypomniała sobie jedną z rad Lily.

„Podejdz do niego wolno, miękkim, ponętnym krokiem tygryscy. Niech twoje ciało mówi o tych rzeczach, które zaprzatają twój umysł”.

Więc ruszyła i szła ku niemu jak kobieta w pełni świadoma własnej urody i swego uwodzicielskiego

wdzięku. Ręka z cygarem znieruchomiła w powietrzu. Dobry znak. Jeszcze bardziej zwolniła krok.

Wpadł w jakieś dziwne odrętwienie. Gardło zakleszczyło się i nie przepuszczało powietrza. Zbliżała się ku niemu zjawa w zielonej szacie. Jedwab opinał jej ciało niczym druga skóra. A ciało miała niczym nimfa z baśni. Smukłe, gibkie, doskonałe.

- Cieszę się, że wstałeś z łóżka. Oznacza to, że czujesz się już całkiem dobrze.

Cisnął cygaro do ognia i podniósł się z krzesła.

- Powiedzmy „prawie dobrze”.

Kłamał. Czuł się teraz bardziej chory i słaby niż tydzień temu.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Nevada.

Podeszła i znalazł się w wonnym obłoku, który ją spowijał. Mógł iść o zakład, że kwiatów i ziół, które tak pachniały, trzeba było szukać w samym sercu Chin.

- Zanim jednak zdradzisz, co to za niespodzianka - powiedział cokolwiek drewnianym głosem - pozwól, że o czymś cię powiadomię.

Zatrzepotała rękami. To nie mieściło się w planach. Zgodnie ze scenariuszem to ona miała w początkowej fazie wykazywać całą inicjatywę.

- Słucham.

Przemyślał swoją decyzję bardzo dokładnie, ale widok zmieszania na jej twarzy sprawił mu ból. Gdyby nie był tak dogłębnie przekonany, że to co czyni, czyni dla jej dobra, wycofałby się teraz i wypiłby tę słodycz, którą mu przyniosła.

- Wyjeżdżam z San Francisco.
- Wyjeżdżasz! Kiedy?
- Teraz, dziś w nocy. - Zachwiała się jak od uderzenia pięścią. - Czekałem, żeby się pożegnać.

Chwyliła się poręczy krzesła.

- A więc żegnaj. Gdzie jedziesz?
- Tam, gdzie czeka na mnie praca. Do Nevady.
- Do Nevady - powtórzyła jak papuga. Na nic więcej nie było zresztą jej stać. Upokorzenie i żal niemal odjęły jej zdolność jasnego myślenia. - To od nazwy stanu wzięłeś swoje imię?

Patrzył na nią i widział, że gaśnie niczym zlewana wodą głównia. Nienawidził siebie za to swoje niezamierzone okrucieństwo. Musiał teraz działać szybko i zdecydowanie. Musiał przeciąć sieć, w którą się zaplątywał, nożem jeszcze większej bezwzględności. A o nożach wiedział wszystko. Podobnie jak o rewolwerach.

- To imię jest kłamstwem. Wymyśliłem je sobie. Podobnie jak wiele jeszcze innych rzeczy.

Dosłownie nikła mu w oczach. W przeciągu kilku chwil z uwodzicielskiej i zdobywczej boginki stała się ranną ptaszyną.

- Więc okłamywałeś mnie od samego początku?

Cofnął się o krok, czując, że inaczej chwyci ją w ramiona i zacznie tulić i obsypywać pocałunkami.

- Nie, Jasny Nefrycie. Tobie mówiłem tylko prawdę. Nie mógłbym, nie śmiałbym cię okłamywać. Jesteś taka wyjątkowa...

- Do tego stopnia wyjątkowa, że zamierzasz mnie

opuścić - powiedziała z bezbrzeżną goryczą. - Zanim wyjdiesz z tego pokoju, zdradź mi przynajmniej swoje prawdziwe imię.

Wciąż czuł się wewnętrznie pęknięty i rozdarty. Z jednej strony nakazywała mu bezduszna woła, z drugiej serdeczna ochota. Wola mówiła: „idź”, ochota: „zostań, odwołaj wszystko i proś o przebaczenie”.

Ruszył ku drzwiom.

- Będzie lepiej, jeśli już na zawsze pozostanę dla ciebie Nevada.

Położył dłoń na klamce. Nie odwracał głowy. Czuł, że jedno spojrzenie na ukochaną obróci całe to jego postanowienie w perzynę.

- Nigdy cię nie zapomnę, Jasny Nefrycie. Życzę ci szczęścia. Niechaj towarzyszy ci we wszystkich przedsięwzięciach.

I z tymi słowami wyszedł.

Była w tym jakaś krzyżująca niesprawiedliwość. Albowiem role w jednej chwili się odwróciły. On teraz był silny, zdrowy i wolny, ona zaś oniemiała, odrętwiała i zraniona.

A potem na dole trzasnęły drzwi i rozległy się kroki na ulicznym bruku. Wpędce ucichły. Cisza, która zaległa w pokoju, wydawała się cmentarną ciszą.

- Czy coś zjadła? - zapytała Lily służącej, którą zaczepiła na korytarzu.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie ruszyła nawet herbaty.

- Boże, to trwa już od czterech dni. - Lily odwró-

ciła głowę i spojrzała na drzwi do salonu Jasnego Nefrytu z takim wyrazem twarzy, jakby były bramą brońiącej się twierdzy. - Zagłodzi się na śmierć.

Nacisnęła klamkę i uczyniwszy na piersi znak krzyża, weszła ze stanowczo zaciśniętymi ustami. Powietrze była aż gęste od zapachu i dymu kadzideł. Jasny Nefryt stała z pochyloną głową i złożonymi dłońmi przed czymś w rodzaju ołtarzyka.

- Nefrycie.

Na dźwięk znajomego głosu Jasny Nefryt gwałtownie uniosła głowę.

- Przyszłam porozmawiać z tobą, moje ty biedactwo.

Młoda kobieta odwróciła się. Zmizerniała bardzo przez te ostatnie dni, lecz ku zaskoczeniu Lily wydawała się spokojna i opanowana.

- I ja muszę porozmawiać z tobą, ciociu Lily. Dopiero co rozmawiałam z moimi czcigodnymi rodzicami. Poradzili mi, żebym nie załamywała się i pogodziła z życiem.

- Mądra rada. - Lily spojrzała uważniej. - Posłuchasz jej?

Jasny Nefryt głęboko westchnęła.

- Powiedziałaś mi kilka dni temu, że serce to delikatna rzecz. Myliłaś się. Teraz już wiem, że serce może krwawić, a przecież nadal bije. - Osunęła się na krzesło. - Chang Lu przysłał przez posłańca wiadomość, że najchętniej już teraz przejąłby „Złotego Smoka”. Niech więc tak będzie. Jeszcze dzisiaj zaczniemy się pakować i gdy tylko uda się zgromadzić

odpowiednią ilość wozów i koni, wyruszymy do Hanging Tree. W ten sposób zamknę pewien etap życia, żeby rozpocząć nowy.

Lily jak gdyby skuliła się w sobie. Spojrzała w kątek pokoju.

- Jest pewna rzecz, o której chciałabym ci powiedzieć.

Na twarzy Jasnego Nefrytu pojawił się cień niepokoju.

- Mów, Lily.

- Jak zapewne zauważyłaś, senator Hammond jest od wielu lat moim bliskim przyjacielem...

Jasny Nefryt siedziała nieruchomo na krześle. Czekwała na dalsze słowa przyjaciółki.

- Otóż kilka dni temu - ciągnęła Lily - senator zapytał mnie, czy nie mogłabym zostać w San Francisco, równocześnie zapewniając mnie, że bardzo mi zależy na kontynuowaniu naszej... przyjaźni.

Jasny Nefryt utkwiała wzrok w leżących na podolku dłoniach.

- Zostaniesz i cóż będziesz tu porabiała? Zatrudnisz się u Chang Lu?

- Nie. Senator Hammond chce oddać do mojej dyspozycji willę w Nob Hill. Będę miała służbę, powóz i prowadziła życie damy.

- Ale przecież senator jest żonaty - zauważyła Jasny Nefryt cichym głosem.

Lily zaczerwieniła się.

- Wiem o tym. On i ja nigdy nie staniemy się kimś więcej niż tylko parą przyjaciół. Ale to mi wystarcza.

Senator troszczy się o mnie i szanuje mnie. Kobieta mojego pokroju nie może więcej oczekiwać od życia.

„Kobieta mojego pokroju...” Słowa te były kolejnym ciosem w krwawiące serce Jasnego Nefrytu.

Obie przyjaciółki miały łzy w oczach.

- Czy mi wybaczysz mój egoizm? - zapytała Lily.

- Cicho! Sza! - Jasny Nefryt wstała, otworzyła ramiona i obie kobiety złączyły się w serdecznym uścisku.

- Tak mi przykro, Nefrycie. Chciałam ująć ci ciężaru, a skończyło się na tym, że obarczyłam cię dodatkowym brzemieniem.

Jasny Nefryt pogładziła ciotkę po policzku.

- Jesteś moją przyjaciółką, moją opiekunką, moim oparciem, najbliższą mi osobą. Pragnę jedynie twojego szczęścia. Jesteś szczęśliwa w tym związku?

- Zgrzeszyłabym, zaprzeczając. Zależy mi na senatorze. To dobry człowiek.

- Chcę o coś cię poprosić.

Lily wytarła łzy.

- Proś, o co chcesz.

- Jestem młoda, ale znam życie i wiem, że szczęście jest kapryśne. Gdyby więc twoja przyjaźń z senatorem nie wytrzymała próby czasu, gdybyś poczuła się samotna i obca w tym mieście, przyrzeknij mi, że przyjedziesz do mnie do Hanging Tree. Drzwi mojego domu będą zawsze stały dla ciebie otworem.

- Och, Nefrycie. - Lily wpadła w rozczulenie. - Zasługujesz naprawdę na coś więcej. Na przyjaciół, którzy dochowają ci wierności. Na mężczyznę, który

będzie cię kochał, szanował i poprosi o twoją rękę. Na rodzinne szczęście.

- Ty oraz dziewczęta z pierwszego piętra stanowicie całą moją rodzinę. Innej nie potrzebuję - szepnęła Jasny Nefryt.

Lily zeszytywniała i uwolniła się z objęć przyjaciółki.

- Jest jeszcze coś. To naprawdę bolesna sprawa. Wolałabym zostawić ją na później. Nie chciałabym dodawać ci zmartwień.

Jasny Nefryt patrzyła nieruchomym wzrokiem.

- Zniosę wszystko. Mów.

- Otóż dziewczęta nie chcą wyjeżdżać. Teksas jest taki olbrzymi, taki pusty, taki prymitywny. Słyszały o wielu mrozących krew w żyłach historiach, które gdzie indziej nie miałyby prawa się wydarzyć. - Lily wzięła głęboki oddech. - W rezultacie podjęły decyzję, że będą pracować dla Chang Lu.

Jasny Nefryt przyjęła tę wiadomość wyjątkowo spokojnie. Wbiła tylko w Lily zdumiony wzrok i zapytała:

- Które zostają?

- Wszystkie.

- Skąd wiesz?

- W tym domu nic się nie ukryje. Kochają cię, Nefrycie, ale naprawdę boją się tego wyjazdu.

- Rozumiem. - Jasny Nefryt z powrotem opadła na krzesło i zadumała się. - Dziękuję, Lily - powiedziała po dłuższej chwili. - Teraz zostaw mnie samą. Mam jeszcze dzisiaj dużo pracy.

- Mogłabym pomóc...



Jasny Nefryt zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Muszę zrobić to sama.

Sama. Słowo to odzywało się echem w jej głowie i napełniało smutkiem serce.

Kiedy drzwi zamknęły się za Lily, przeszła do gabinetu i zasiadła za biurkiem. W milczeniu zaczęła się przyglądać leżącym na wierzchu papierom. Trwało to jakiś czas. Nagle jednak chwyciła za pióro, zanurzyła je w kałamarzu i wzięła się do podpisywania kolejnych dokumentów i rachunków.

Tak oto odwracała się ostatnia karta jej życia w San Francisco.

Kufry były już spakowane i załadowane na dyliżans. Pozostawało więc tylko zamknąć torbę podróżną, nałożyć wierzchnie okrycie i wyjść.

Jasny Nefryt podeszła do okna. Jak okiem sięgnąć, rozciągało się miasto, w którym się urodziła i spędziła tyle lat. A było to miasto, jakich mało na świecie. Pokochała je dozgonną miłością. Jego ogromny port, do którego zawijały statki najróżniejszych bander, i jego zatłoczone, hałaśliwe i malownicze ulice. Okazałe rezydencje i nędzne baraki imigrantów. Oceaniczne wiatry i zapach końskiego nawozu. Pyszniące się towarami wystawy sklepowe i niebezpieczne zaułki.

Odwróciła się od okna i zlustrowała spojrzeniem luksusowe wnętrze swojego apartamentu. Mahonie, kryształ, wschodnie kobierce, mosiężne okucia, wywoskowane posadzki. Porzucała cały ten komfort

i wybierała się do krainy stad bydła, nieokrzesanych kowbojów i ciężkiej pracy farmerów. Bogactwo zamieniała na prostotę. Wyrafinowanie na surowość i prymityw.

Gdyby wciąż żyła jej matka, nie musiałaby stawać przed tego rodzaju wyborem. Ten dom najbardziej jej odpowiadał ze wszystkich miejsc na świecie. Ale bez matki był jak piękna, pusta muszla.

Poza tym, mimo całego kontrastu pomiędzy Teksasem a Kalifornią, jej serce rwało się do Hanging Tree. Nie z powodu Nevady lub wielbnego Wadę'a Westona, czy jak się tam naprawdę nazywał ów człowiek, ale z powodu trzech młodych kobiet, które obdarzyły ją siostrzaną miłością. W San Francisco miała tylko jedną przyjaciółkę, Lily, tam zaś aż trzy, i to szczególnego rodzaju. Łączyły je z nią więzy krwi. W żyłach Świetlistego Diamentu, Różowej Perły i Gorącego Rubinu płynęła krew jej czcigodnego ojca, a to oznaczało, że cztery stanowiły rodzinę. Innej rodziny nie miała.

Wyszła z pokoju i zeszła schodami na dół. Tam już wszyscy czekali, żeby się z nią pożegnać. Uścisnęła Lily i wymieniła uścisk dłoni z każdą z pensjonariuszek, dodając jakieś miłe słowo.

Przed domem czekał specjalnie wynajęty dylizans pocztowy. Zajęła miejsce i dała znak, że można ruszać.

Nie obejrzała się za siebie. Dom, wymówiła bezgłośnie. Nie opuszczała domu. Wracала do domu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jasny Nefryt zdusiła ziewanie. Ten ostatni etap podróży zapowiadał się jako najdłuższy i najbardziej męczący, gdyż słońce prażyło okrutnie, a wzbijany końskimi kopytami kurz wdzierał się do wnętrza dyliżansu i tamował oddech. Z każdą chwilą jednak była bliżej domu i niebawem miała uściskać siostry.

Tymczasem patrzyła na przesuwany się krajobraz. Monotonna i jałowa równina, usiana wzgórzami o stromych zboczach i białymi poszarpanymi skałami. Na błękitnym niebie ani jednej chmurki, tylko od czasu do czasu jakiś duży czarny ptak.

Mimo że tak nieprzystępna i dzika, kraina ta była bliska jej sercu. Toteż w miarę jak mijał kilometr za kilometrem, smutek, z którym opuszczała San Francisco, ustępował miejsca radosnemu podnieceniu.

Opadła na oparcie wyściełanej ławki i zamknęła oczy. Droga na tym odcinku była płaska i pozbawiona wybojów, więc po chwili zapadła w drzemkę. Obudził ją jakiś niezwykajny hałas. Wychyliła głowę przez okno. Zobaczyła sześciu jeźdźców, pędzących na złamanie karku i próbujących zrównać się z dyliżansem. Ich krzyki i strzały mieszały się z tętentem

koni. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to najprawdziwszy napad.

Woznica, ufny w rączność i wytrzymałość swoich czterech cugowych koni, którymi na ostatnim nocnym postoju w miasteczku zastąpił poprzednie, zdrowione i ochwaczone, próbował ująć pogoni. Nie zaprzestawał trzaskać batem, a zaprzęg rwał do przodu. Pudłem dyliżansu rzucało od skraju do skraju gościńca. Jasny Nefryt czuła się jak w kajucie statku miotanego wichrem i falami. Bandyci strzelali coraz gęściej i, okazało się, celniej, gdyż jedna z kul ugodziła woźnicę w ramię. Jedną ręką nie sposób było powodować rozpędzonym zaprzęgiem, po chwili więc stanęli. Strzelanina ucichła, ale prawdziwe niebezpieczeństwa dopiero miały nadejść.

Jasny Nefryt, pobladła ze strachu jak opłatek, ośmieliła się spojrzeć przez okno. Zamaskowani bandyci zdążyli już otoczyć dyliżans. Jeden z nich, chudy jak tyka, ściągał właśnie z kozła woźnicę.

Inny otworzył mocnym szarpnięciem drzwiczki dyliżansu. Jasny Nefryt zadrzała, gdy nagle rozdarł się na całe gardło:

- Zobaczcie, co znalazłem! - Chwycił ją za rękę i wywłókł na zewnątrz.

Herszt bandy, który nie kwapił się schodzić z konia, aż gwizdnął ze zdumienia. Jego piwne oczy zaśmiały się z okrutnej uciechy. Odruchowo dotknął swojego ramienia, naznaczonego blizną po ciosie nożem, jaki zadała mu kiedyś ta kobieta. Uderzyła fatalnie, prawdopodobnie w jakiś splot nerwowy, gdyż

jakkolwiek rana dawno się już zagoiła, ciągle bolała, szczególnie zaś przy zmianach pogody.

- No, no... Więc znowu się spotykamy.

Zanim zdążyła sięgnąć ręką po sztylet, ukryty pod płaszczem podróżnym, ryknął:

- Związać ją! I dokładnie obszukać. Ta źmija potrafi ukąsić.

Wykręcono jej do tyłu ręce i związane w nadgarstkach rzemiennym postronkiem. Następnie ryży wysoki napastnik zaczął ją rewidować. Jego ogromne łapska obmacywały ją przynajmniej dwa razy za długo. Opryszek zaraz na początku wyczuł nóż, ale nie zdradził się z tym i wodził dłońmi po jej pośladkach, udach i piersiach.

- Miała to zatknięte za paskiem sukienki - powiedział wreszcie, podając szefowi odnalezioną broń.

- Jedzie sama? - zapytał tamten, przyglądając się wysadzonej drogimi kamieniami rękojeściu sztyletu.

Pytanie było skierowane do woźnicy, który odparł twierdząco. Ale zaraz dodał:

- Lepiej, żebyście wiedzieli, że jest to panna Jewel, właścicielka jednego z największych rancz w Teksasie. Jeśli źle się z nią obejdziecie, spotka was zemsta jej kowbojów.

- Wynika stąd, że chwyciliśmy cennego ptaszka - mruknął bandyta, niedbałym ruchem wyciągając rewolwer.

Huknął strzał. Woźnica zachwiał się i runął w pył gościńca. Żył jednak, gdyż jęczał i patrzył na swoich katów.

- No to nie popisałeś się, Ned - powiedział jeden z bandytów. - Z tej odległości powinieneś być trafić go między oczy.

- Po co? Niech zdycha świadomie. Dałem mu trochę czasu na pożegnanie się z tym światem. Ale teraz koniec. - Znowu strzał i stary woźnica znieruchomiał w kałuży krwi.

Jasny Nefryt była sparaliżowana ze zgrozy. Na jej oczach z zimną krwią został zamordowany człowiek. Polubiła go podczas tej podróży. Miał ciekawe życie i mnóstwo poczucia humoru. Przygody, jakie przeżył za swych młodych lat, starczyłyby jako materiał na niejedną książkę. Zginął, gdyż miał odwagę stanąć w jej obronie.

- Odprząc konie i przeszukać bagaże! - zawołał szef bandy. - Zabieramy ze sobą tę kobietę. Zapłaci mi za tamto pchnięcie sztyletem. A kiedy z nią skończę, oddam wam na godzinę.

Posadzono Jasny Nefryt na konia, którego wodze trzymał jeden z bandytów. Ruszyli z miejsca pełnym galopem.

Jedynie cudem udawało się jej utrzymać równowagę. Była na granicy hysterii. Dusiły ją rozpacz i strach. Znalazła się w rękach ludzi szalonych, okrutnych i bezwzględnych. Przyjechała do Teksasu po śmierć.

Nevada osiągnął szczyt wzgórza i rozejrzał się po okolicy. Nagle ściągnął wodze i wyostrzył wzrok. Przed sobą, w odległości kilkuset metrów, zobaczył

porzucony dyliżans, w pobliżu którego leżał człowiek. Nevada zaklął i wraził ostrogi w koński brzuch.

Zanim jeszcze pochylił się nad leżącym mężczyzną, wiedział już, że ten nie żyje. Krew jeszcze nie zdążyła zakrzepnąć. Napad musiał nastąpić najwyżej pół godziny temu.

Ukląkł i jął z bliska przypatrywać się śladom końskich kopyt. Niektóre z nich posiadały podkowy w kształcie ściętego półksiężyca. Oczy Nevady zwięziły się do szparek. Ned Garland. Znał bardzo dobrze tego człowieka i wiedział, że jest bez sumienia. To on z pewnością zabił bezbronnego woźnicę i zrobił to z sadystyczną przyjemnością.

Gdy tylko wróci do Hanging Tree, natychmiast powiadomi o wszystkim szeryfa.

Już wkładał stopę w strzemię, gdy nagle jego wzrok przykuł jeden z kufków; wszystkie otwarte i wybebeszone walały się wokół dyliżansu. Spojrzał uważniej i zamarł z przerażenia. Zobaczył wśród innych części damskiej garderoby zieloną jedwabną szatę z wyhaftowanymi na niej kwiatami głogu.

Chwiejnym krokiem podszedł do kufra i zanurzył twarz w chłodnym jedwabiu. Wyczuł odurzającą, egzotyczną woń.

Jasny Nefryt. Wielki Boże, Jasny Nefryt znajdowała się w zbrodniczych łapach Neda Garlanda.

Myśl ta podziałała nań niczym smagnięcie biczem. Wskoczył na konia i ruszył śladem bandy.

Byli już w drodze od kilku godzin. Jasny Nefryt straciła poczucie kierunku. Podejrzewała tylko, że kluczyli, pragnąc zmylić ewentualny pościg. Przeprowadzili się przez rwące strumienie i leniwe rzeczki, przeciskali się wąskimi, cienistymi parowami, wspinali się na wzgórze, przedzierali przez chaszczę i zarośla. Czasami robili krótkie przerwy, by napić konie i napełnić opróżnione manierki. Żaden z bandytów nie pomyślał o tym, że jej również chce się pić.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Jasny Nefryt całkiem już upadła na duchu. Straciła wszelką nadzieję. Nadchodząca noc przerażała ją. Wiedziała, że niebawem będą musieli zatrzymać się na nocleg. Wówczas rozstrzygnie się jej los.

Dotarli wreszcie do niewielkiej chaty z bali uszczelnionych mchem i darnią. Stała na zboczu lesistego wzgórza, ukryta wśród skał, drzew i zarośli. Trudno było wyobrazić sobie lepszą kryjówkę. Odludzie, skalisty teren, dobra pozycja do obrony. Bandyci zsiadli z koni i przywiązali je do drzew.

- Dajcie mi tę kobietę - huknął herszt, zmierzając długimi krokami ku drzwiom.

Jeden z bandytów ściągnął Jasny Nefryt na ziemię i pchnął brutalnie w kierunku chaty. Zachwiała się, odzyskała równowagę, po czym ruszyła skalistą ścieżką.

- Jestem piekielnie głodny. Myślicie, że ta skośnooka potrafi gotować?

Usłyszał to Ned Garland, który jeszcze nie wszedł do środka, i odwrócił się ku swoim kamratom.



- Nie przywiozłem jej tu po to, żeby nam pichciła. Jeśli który głodny, niech sobie sam coś przygotuje. Co do mnie, to mam ochotę przede wszystkim na whisky. A później pobawię się z nią trochę. Jest młoda i raczej gładka. Będzie, chłopcy, sporo uciechy.

Jasny Nefryt raz jeszcze popchnięto, gdy była już w drzwiach. Potknęła się o próg i upadła. Ze względu na skrępowane z tyłu ręce, podnosiła się bardzo niezgrabnie, wzbudzając tym szczerą wesołość mężczyzn.

Rzemień wrzynał się w nadgarstki, było jej zimno i dręczyło ją pragnienie. Ale najgorszy był ów brak nadziei. Umierała, zanim jeszcze zadano jej śmiertelny cios.

Ktoś rozpałił w palenisku, ktoś inny uzupełnił zapas drewna. Bandyci pokładli się na derkach rozłożonych na klepisku i zaczęli raczyć się whisky. Pękaty dzbanek przechodził z rąk do rąk. Kiedy go opróżniono, napełniony został powtórnie ze sporej baryłki z kurkiem. Wpadłszy w dobry humor, bandyci skupili się na Jasnym Nefrycie. Jęli z niej szydzić, przeplatając szyderstwa czkaniem i okropnym rechetem.

W końcu herszt uznał, że po nasyceniu się whisky czas na nasycenie się zemstą. W jego przymglonych oczach płonęła nienawiść.

- Chodź tu, kobieto.

Nie ruszyła się. Siedziała pod ścianą, zobojętniała na wszystko.

Wówczas zniżył głos:

- Jeżeli wydaję rozkaz, to oczekuję, że będzie wykonany. Wstawaj, flądrowo.

Spojrzała na swojego dręczyciela i nagle w jej oczach pojawił się bunt. Mogą ją zabić, ale nie będą jej poniżać.

- Widzę, że trzeba nauczyć cię dobrych manier. - Spojrzał na palenisko. - Hej, John, podaj mi tę największą głownię.

Po chwili ścisnął już w rękę pałace się z jednego końca polano. Zbliżył je do twarzy ofiary.

- Chyba widziałas, jak potraktowałem woźnicę? Miał w sumie lekką śmierć w porównaniu do tej, jaką tobie gotuję. Ale przedtem musisz mi być posłuszna.

- Rakarz! - syknęła, cofając głowę, gdyż ogień palił jej policzki.

- To uparte babsko - powiedział jeden z kamratów. - Trzeba ją trochę przypiec, Ned, to od razu inaczej zaśpiewa.

Pozostali skomentowali tę radę hałaśliwym śmiechem.

- W takim razie rozpoczynamy pierwszą lekcję śpiewu - obwieścił Ned, zbliżając płonący koniec głowni do włosów Jasnego Nefrytu.

W tym momencie drzwi z ogłuszającym trzaskiem rozwarły się na oścież i do izby wpadł ubrany na czarno mężczyzna. Trzymał dwa rewolwery, z których natychmiast zaczął strzelać. Zaskoczenie było zupełne. Żaden z bandytów nie zdążył nawet sięgnąć po broń. Rozpoczęła się rzeź. Kule roztrzaskiwały im twarze, przerywały tętnice, grzęzły w ich brzuchach i piersiach. Z czy-

jegoś gardła wydobył się nieludzki ryk, ale zaraz ucichł. Zresztą umilkły też strzały, bowiem było już po wszystkim. Pięć pokrwawionych i zmasakrowanych ciał leżało nieruchomo na klepisku.

Szósty bandyta żył i nie był nawet ranny. Trzymał Jasny Nefryt za włosy i kulił się wraz z nią za blatem przewróconego stołu.

Jasny Nefryt usłyszała męski głos i był to głos Nevady.

- Lepiej puść ją, Ned, bo inaczej zdmuchnę cię jak świeczkę. Dobrze wiesz, że ze mną nie przelewkę.

Czy jednak naprawdę był to głos Nevady? Po-brzmiewała w nim bowiem taka wściekłość i taka nienawiść, że Jasny Nefryt, mimo iż Bóg zesłał jej obrońcę, zadrzała z przerażenia.

Ned Garland ostrożnie wyjrzał zza swojej osłony. Na jego twarzy odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

- Danny. Co, do diaska, tu...

- Powiedziałem ci kiedyś, żebyś miał się na baczności, ponieważ pewnego dnia wrócę.

- W porządku. - Bandyta głośno przełknął ślinę.  
- Rozwaliłeś moich chłopaków. Ale jeśli myślisz, że to samo zrobisz ze mną, to lepiej popatrz na to.

Wciąż trzymał w prawym ręku głownię i teraz rzu- cił ją na łóżko, jakby była niedopałkiem cygara. W mgnieniu oka zaczęła palić się słoma, którą wypcha- ny był siennik.

- Lepiej wycofaj się, Danny. Chyba że chcesz się usmażyć.

- Puść tę kobietę, to zniknę ci z oczu.

Ned Garland domyślnie się uśmiechnął.

- Więc o nią tu chodzi? Myślałem, że dopadłeś nas za tamto. Ale ty chcesz uwolnić tę kobietę. Jest twoją kochanką?

- Zgadza się.

Płoneło już całe łóżko. Płomień zaczął się czepiać ścian chaty i wspinał się ku stropowi. Czarny dym gryzł w oczy i przesłaniał widok. Obaj mężczyźni nic sobie z tego nie robili.

- Więc podzieli się nią - powiedział Ned. - Kiedyś dzieliliśmy się wszystkim.

- To raczej ja dzieliłem się z tobą, bez żadnej wzajemności z twojej strony. A potem nastał dzień, gdy moi przyjaciele zniknęli, a ja miałem zadyndać na sznurze za zbrodnie, których nie popełniłem. Pięknie to sobie obmyśliłeś, Ned.

- A jednak nie zadyndałeś i żyjesz. Słyszałem nawet, że zagrzebałeś się w książkach i w końcu nawróciłeś się na wiarę. Miło patrzeć na ciebie, gdy tak stoisz na rozkraczonych nogach. Prawdziwy twardziel. Wróciłeś i możemy zacząć wszystko od początku. Zabawimy się jak za dawnych czasów. A zaczniemy od tej kobiety. Możesz wziąć ją pierwszy.

Nevada na ułamek sekundy przesunął wzrok z twarzy bandyty na twarz Jasnego Nefrytu. To wystarczyło, żeby zrozumiał, iż musi kończyć.

Jego głos nabrał stalowego podźwiewku.

- Jak powiedziałem, Ned, nie pójdę już nigdy z tobą na żadne układy. Możesz przeżyć tylko pod jed-

nym warunkiem. Puść ją. Jeśli nie zrobisz tego, zabiję cię. Wybór, przed którym stoisz, nie należy, jak sądzę, do trudnych.

Ned Garland zasepił się, wając swoje szanse. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę zajmie się dach i wtedy dalsze pozostawanie w chacie będzie równoznaczne z samobójstwem. Śmierć w płomieniach była najgorszą z możliwych śmierci. Ale uświadamiał sobie również, że przy odrobinie szczęścia może przechytrzyć człowieka, który powystrelał jego chłopaków. Danny nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, o miniaturowym pistolecie ukrytym w rękawie jego kurtki. Ten pistolet już nieraz uratował mu życie. Chodziło teraz tylko o to, żeby zaaranżować odpowiednią sytuację.

- Zawsze byłeś lepszy ode mnie w strzelaniu, Danny, ale ja byłem skuteczniejszy, gdyż nie przestrzegałem reguł. Ty nigdy nie strzelałeś w plecy i myślę, że miało to jakiś związek z twoim przewrażliwionym sumieniem. Do diaska, ja przyszedłem na świat bez sumienia. Więc nie sądzę, że szykujesz tu jakąś pułapkę. Nie wierzę, żebyś tak gadając, zarazem zamierzał mnie uziemić. Chcę okazać ci moje zaufanie. Za chwilę odepnę pas i odrzucę go. Jeżeli mimo wszystko pociągniesz za spust, to zabijesz człowieka bezbronno.

I faktycznie, Ned Garland, wciąż trzymając Jasny Nefryt za włosy, odpiął prawą ręką pas z rewolwerami i cisnął go pod okno, gdzie jeszcze nie dotarł ogień.

Zauważył z satysfakcją, że Danny opuścił broń.

Był już najwyższy czas, by kończyć ten szczególnie pojedynek. Płomienie huczały z tyłu, z boku i ponad głową. Żar stawał się nie do wytrzymania. Dym wdzierał się do płuc.

Ned powoli podniósł się zza stołu, zasłaniając się Jasnym Nefrytem niczym tarczą. Wyciągnął przed siebie prawą rękę, niby w geście prośby, aby Danny nie strzelał.

- Uważaj! - krzyknęła Jasny Nefryt, zauważając w wyciągniętej dłoni bandyty błysk metalu.

Jednak Nevada nie mógł nic zrobić. Spodziewał się, znając Neda, jakiegoś podstępu, lecz przecież nie mógł strzelać. Był dobrym, a może nawet bardzo dobrym strzelcem, ale nie czarodziejem w obchodzeniu się z bronią. Neda prawie nie było widać za jego żywą tarczą. Tylko sztukmistrz potrafiłby tak strzelić, by nie drasnawszy Jasnego Nefrytu, zabić bandytę.

Na szczęście Jasny Nefryt nie czekała. Błyskawicznie wyszarpnęła zza paska jego spodni swój własny sztylet, którego kształt czuła cały czas na swych plecach, i wbiła go aż po rękojeść w brzuch Neda Garlanda.

Bandyta spojrział na nią z bezmiernym zdumieniem w oczach.

- Ty... mała... - wymamrotał i zwałił się na ziemię.

Nie stracił przytomności i próbował jeszcze zrobić użytek ze swej filigranowej broni, ale strzał Nevady położył kres jego podłemu życiu.

- Dokonałeś złego wyboru, Ned - mruknął Nevada, alias Wadę Weston, alias Danny. - Aż serce rośnie na myśl, że nie opuścisz już piekła.

Tymczasem z Jasnym Nefrytem działo się coś złego. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Resztkę słabnących sił zużyła do zadania tego niezwykłego ciosu (wciąż miała przecież skrępowane ręce). Smród palących się ciał wywoływał mdłości. Poczują, że osuwa się na ziemię. Ale zanim upadła, ktoś chwycił ją na ręce i wyniósł na świeże powietrze. Po chwili leżała już na chłodnym kobiercu z ziół i traw, kilkadziesiąt metrów od trawionej przez ogień chaty.

Nad sobą miała gwiazdy. Nagle przesłoniła je głowa mężczyzny. Po jego twarzy pełgał odbłask ognia.

- Tak mi przykro, Nefrycie - rozległ się nabrzmiały czułością głos. - Nietrudno się domyślić, co musiałaś przeżyć. Ale już po wszystkim. Niebezpieczeństwo minęło. Również dzięki tobie. Uratowałam mi życie, choć wiem, że musisz mnie nienawidzić. Przrzekam, że dotrzesz bezpiecznie do domu.

Jeszcze coś powiedział, ale nie zrozumiała słów. Ogarnęła ją słodka cisza. Zamiast gwiazd, widziała teraz złocisty wir. Zapadła w otchłań.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jasny Nefryt wynurzała się z głębokiego snu. Jeszcze nie otworzyła oczu, a już czuła ciepłe pocałunki słońca na policzkach. Gdzieś w pobliżu szemrał warunki strumień. Miły wietrzyk niósł ptasie trele i trzepoty.

Ten idylliczny spokój wydawał się aż nieprawdopodobny po wczorajszych wydarzeniach. Nie mogła wykluczyć, że nie tyle budzi się, co śni swoje przebudzenie.

Uniosła powieki i przekonała się, że to jednak jawa. Leżała w śpiworze na małej leśnej polance. W pobliżu paliło się ognisko, a nad nim wisiał kociołek, z którego unosiła się para. Nozdrza mile łechtał aromatyczny zapach kawy. Na kamieniu obok leżało pudełko z bułeczkami domowego wypieku. Od strony strumienia szedł Nevada. Miał rozchełstana na piersiach koszulę i mokre włosy. Wyglądał młodo, świeżo i zdrowo. Pasował jak ulał do tego wizerunku pastora, który usiłował niegdyś narzucić swojej gminie.

Zbliżył się i ukląkł przy niej na trawie.

- A więc już nie śpisz - powiedział.

Mimowolnie wzdrygnęła się. Od wczoraj patrzyła



nań jak na obcego zupełnie człowieka. Zmieniał twarz jak aktor w teatrze. Raz był duchownym, innym znów razem eleganckim hazardzistą, by na koniec przeobrazić się w bezwzględного mściciela, który zaabił na jej oczach sześciu ludzi.

- Czy oni...? - Przełknęła ślinę, po czym zaczęła od początku: - Czy ci wszyscy bandyci nie żyją?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Ten Ned znał ciebie. Rozmawiał z tobą jak z jednym ze swoich kumpli.

- Bo byłem jego kumplem.

Patrzyła teraz na jego lśniące włosy, wysokie czoło i szlachetny nos. Było czymś nie do przyjęcia, żeby ten przystojny, wręcz czarujący mężczyzna, który swoją wrażliwością moralną i mądrym interpretowaniem Pisma zdobył sobie serca i szacunek wszystkich mieszkańców Hanging Tree, był tylko zwykłym bandziorem. Bo z tego wynikałoby, że była teraz na łasce i niełasce bandyty.

Jakby czytając w jej myślach, podał jej sztylet, którego ostrze rozstrzygnęło o tym, że Ned Garland nie dożył dnia dzisiejszego.

- Być może jeszcze ci się przyda - rzekł z całkowitą powagą.

- Jak go odzyskałeś? Przecież gdy opuszczaliśmy chatę, płoneła niczym stóg siana.

- Pomyślałem, ile ten sztylet znaczy dla ciebie. Zacisnęła dłoń na bogato zdobionej rękojeści.

- Jak długo spałam?

- Dochodzi południe.

- Południe! - Poderwała się i usiadła. Poczwała zawrót głowy.

Podtrzymał ją ramieniem.

- Spokojnie. Wiele przeszłaś. Uważaj na siebie.

Świat powoli przestawał się chwiać.

- Gdzie jesteście?

- Dzień drogi od Hanging Tree.

- To lepiej ruszajmy. - Zaczęła wygrzebywać się ze śpiwora.

Zatrzymał ją.

- Nigdzie nie jedziemy - rzekł stanowczo. - Po tej ciężkiej próbie, jaką przeszłaś, musisz dojść do siebie.

- Nie jestem cieplarnianym kwiatkiem, który owionął mroźny wiatr. Nic mi nie jest. Mogło być gorzej. - Ale nagle przypomniała sobie palącą się głownię, rechot bandytów, ich poskręcane i pokrwawione ciała i coś się w niej załamało. - Och, Nevada, tak strasznie się bałam.

- Ja również.

- Ty? Myślałam, że nie znasz strachu.

- Nie bałem się o siebie. Moje życie jest bez znaczenia. Lękałem się o ciebie. - Przynął siodło, żeby mogła złożyć na nim głowę jak na poduszce. - Musisz odpocząć. Przeszłaś prawdziwe piekło.

Wyciągnęła się. Skóra siodła wydzielała ostrą woń, ale bynajmniej nie była to woń nieprzyjemna.

- Dobrze. Poleżę jeszcze godzinkę. Może faktycznie muszę dojść ze sobą do ładu.

Zgodziła się z nim, a zatem zaufała mu, pomyślał

Nevada. Widocznie nie był w jej oczach już taki najgorszy.

Podszedł do ogniska, nalał z kociołka kawy do kubka i przyniósł ją Jasnemu Nefrytowi. Po czym podsunął bułeczki.

Wzięła jedną, lecz zjadła tylko do połowy. Jedzenie stawało jej w gardle. Wstrząs, jaki przeżyła, jeszcze nie minął. Wciąż żyła wczorajszym dniem. Pamięć podsuwała jej potworne obrazy. Słyszała strzały, widziała wykrzywione w agonii i zastygłe w śmierci twarze bandytów, czuła na skórze palący oddech ognia, który trawił belki chaty. Była o krok od śmierci w nieludzkich męczarniach. Wystarczyło, żeby Nevada zjawił się trochę później.

Zamknęła oczy. Za wszelką cenę chciała zasnąć. I sen istotnie na nią spłynął.

Zmierzchało. Ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucały czerwonawe błyski na płynący nieopodal strumień.

Jasny Nefryt odrzuciła koce i usiadła, zdumiona, że przespała cały dzień. Miała oto niezbity dowód, że Nevada dobrze jej radził. Teraz czuła się o wiele silniejsza, zarówno na ciele, jak i na duszy.

Już chciała wstawać, gdy zdumiała się po raz wtóry. Obok posłania leżała jej podręczna torba podróżna. Była pewna, że torba ta została wraz z innymi bagażami w dylizansie.

Nagle wszystko stało się jasne. Nevada, jadąc dro-

ga, natknął się na porzucony dyliżans. Zobaczył kufry i walizy. Rozpoznał jej ubrania. Na drodze leżał zabity woźnica. Nietrudno więc było mu zgadnąć, że została porwana. Gdyby nie ten ciąg zdarzeń, częściowo przypadkowych, zostałaby haniebnie zgwałcona przez bandytów, a potem zamordowana.

Otworzyła torbę i wyjęła z niej szaszetkę z przyborami toaletowymi, a także komplet bielizny. Rozejrzała się, czy czasami nie ma gdzieś w pobliżu Nevada. Nie było go. Nie było również jego konia.

Ogarnął ją lęk, ale zaraz zaczęła myśleć racjonalnie. Przecież nie przywoziłby jej tutaj, żeby ją porzucić. Gdziekolwiek się udał, na pewno wróci. W tym czasie ona umyje się i przebierze. Poczwała nawet wdzięczność, że podarował jej trochę prywatności.

Stała na brzegu strumienia i włożyła stopę do wody. Woda była chłodna, ale nie zimna, tym bardziej nie lodowata. Szybko więc rozebrała się, namydliła i zanurzyła z westchnieniem po samą brodę.

Och, jak dobrze było zmyć z siebie tę grubą warstwę brudu. Nie tylko brudu gościńca i podróży, lecz przede wszystkim brudu wczorajszego dnia - brudu ich spojrzeń, dotknięć i szyderstw. Zaczęła tańczyć w wodzie. Zanurzała się i wychylała, przewracała na plecy i na brzuch, burzyła wodę rękami, pryskała nią ku wieczornemu niebu. Aż wreszcie zmęczyła się i wyszła na trawiasty brzeg.

Ubrana i z rozczesanymi włosami, ruszyła ku ognisku. W połowie drogi się zatrzymała. Zobaczyła ko-

nia, a na nim jeźdźca. Jeździec przyglądał się jej. Był to Nevada.

- Wybacz - zawołał. - Nie zamierzałem oddalać się na długo. Miałem nadzieję wrócić, zanim jeszcze się obudzisz.

- Obudziłam się, kiedy słońce dotykało już horyzontu. Gdzie byłeś?

Zsiadł z konia i wskazał na przytroczonego za siodłem jelonka.

- Pomyślałem, że przydałby się nam treściwszy posiłek. Niech ptaki żywią się bułeczkami.

Zobaczył, że rozciera dłońmi nagie i pokryte gęsią skórką ramiona, więc zdjąwszy kurtkę, tulił nią Jasny Nefryt.

- Drżysz. Z wieczora robi się chłodno. Żeby tylko ta kąpiel nie skończyła się gorączką.

Nic nie odpowiedziała, ale poczuła się wzruszona. Był wobec niej opiekuńczy i troskliwy. W istocie tego właśnie potrzebowała najbardziej w tej chwili.

Podeszła do ogniska, które już przygasało, i dorzuciła chrustu. Czuła na sobie spojrzenie Nevady. Jakkolwiek nadal władny był rozpaścić jej ciało i duszę jednym krótkim dotknięciem, nie mogła zapomnieć tego, czego dowiedziała się o nim wczoraj. Wypływał stąd tylko jeden wniosek - musiała zahartować swoje serce i uczynić je twardym i nieczułym. Ale jak słowika przemienić w jastrzębia, a domowego kotka w lwa?

Księżyc toczył się już ponad szczytami dalekich gór. Noc zapowiadała się pogodna, ale dość zimna.

Opatulona kocami, Jasny Nefryt siedziała przy ognisku. Po jej lewej ręce, na tym samym pniu zwalonego drzewa, siedział Nevada i piekł osadzoną na długim kiju porcję dziczyzny.

- Powiedz, jak natrafiłeś na dylizans i moje bagaże - zagadnęła go, przerywając milczenie. - Tędy nie prowadzi droga do Nevady.

- Okłamałem cię - odparł. - Nigdy nie miałem zamiaru wybierać się w podróż do Nevady.

Chwilę coś w sobie ważyła, zanim zadała następne pytanie:

- Dlaczego mnie okłamałeś?

Usłyszał nutę goryczy w jej głosie. Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Było mu zresztą łatwiej z nią rozmawiać, gdy patrzył na ciemną ścianę lasu. Las nie wąpi, nie darzy nieufnością, a czegoż innego mógł oczekiwać z jej strony?

- Musiałem opuścić San Francisco. Zrozumiałem, że czas stanąć oko w oko z własną przeszłością.

- Ale dlaczego powiedziałeś mi nieprawdę?

- Chciałem zaoszczędzić ci niepotrzebny ból. Nie miałem prawa przyjąć tego, co chciałaś mi zaoferować.

Poczuła ogień na policzkach.

- Domyśliłeś się?

- Wiedziałem. Mimowolnie podsłuchałem przez drzwi twoją rozmowę z Lily.

Zwiesiła głowę. Palił ją wstyd.

Pojał, że musi przyjść jej z pomocą.

- Żebyś tylko źle mnie nie zrozumiała. Pragnąłem

tego najbardziej na świecie. O tym marzyłem od dnia, kiedy cię poznałem. Ale zarazem czułem się niegodny takiego prezentu, takiej ofiary. Zaslługujesz na coś więcej, Nefrycie. Pewnie, że zachowałem się tchórzliwie. Powinienem był, zanim zamknąłem za sobą drzwi, wytłumaczyć ci wiele rzeczy. Prawda złagodziłaby ból zawodu i rozczarowania.

Przełknęła ślinę.

- A co tutaj jest tą prawdą?
- Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.
- A kim jesteś naprawdę?
- Samotnym graczem. Kłamcą. Oszustem. Zawsze byłem skazany wyłącznie na samego siebie. Żeby dać sobie radę, musiałem prędko dorosnąć.

- Co stało się z twoimi rodzicami? Raz już zaczęliśmy o nich mówić, ale nam przerwano.

- Mój ojciec umarł, gdy miałem osiem lat. Moja matka owdowiała jako całkiem jeszcze młoda kobieta. Ugięła się pod ciężarem, który nagle spadł na jej barki.

- To znaczy?

Wzruszył ramionami.

- Och, zapadła na coś w rodzaju melancholii. Pewnego razu zastałem ją na ganku. Siedziała na bujanym fotelu i nieruchomym wzrokiem patrzyła w przestrzeń. Była odrętwiała i zobojętniała na wszystko. Dzieci darły się w niebogłósy, a ona nie reagowała. Sam musiałem je nakarmić.

- Miałeś rodzeństwo?
- Tak, dwie siostry. Były wówczas zupełnie ma-

leńkie. Potrzebowały macierzyńskiej opieki, a nasza matka po śmierci ojca zmieniła się nie do poznania. Lecz znalazł się pewien człowiek... - Nevada zacisnął zęby, a twarz mu ściemniała. - Pewnego dnia wróciłem do domu z polowania i zastałem dom pusty. Dowiedziałem się od sąsiada, ranczera jak i my, że spakowała się i wyjechała z tym miodoustym kowbojem.

Jasny Nefryt westchnęła. Słuchała człowieka, którego dzieciństwo przy jej dzieciństwie wydawało się prawdziwym koszmarem.

- Pozostawiła ośmioletniego chłopca?

- Przeczuwała, że nie będzie jej ze mną łatwo. Po śmierci ojca w moim sercu były tylko gniew i zacieklność. - Obrócił mięso na drugą stronę, aby równomiernie się przypiekało. - Miesiąc po wyjeździe matki i dziewczynek pojawił się Ned.

Jasny Nefryt próbowała wyobrazić sobie ośmioletniego chłopca, który, skazany na samego siebie, musi radzić sobie we wszystkim.

- Ned mógł mieć wówczas piętnaście, szesnaście lat, lecz ja zobaczyłem w nim doświadczonego, kutego na cztery nogi cwaniaka. Już wówczas był szefem bandy wyrostków i zaproponował mi, żebym przystał do spółki.

- Ale ty przecież miałaś osiem lat. Byłaś dzieckiem.

- Powiedziałem ci już. Okoliczności sprawiły, że musiałem szybko dorosnąć. Ned przekonał mnie, że moją jedyną szansą przeżycia jest dołączenie się do



grupki twardzieli, biegłych w wyciąganiu broni. Zostanę, mówił, to szybko pójdę w ślady ojca. Nie chciałem umierać. Nie namyślałem się ani dnia. Ned i jego chłopcy stali się moją rodziną. Przemierzaliśmy Zachód wzdłuż i wszerz, wyżsi ponad prawo i gardzący prawem. Na zimę ściągaliśmy do tej chaty, która właśnie przestała istnieć.

- Więc to dlatego tak szybko ich odnalazłeś. Pamiętam, że kluczyliśmy i zacierali za sobą ślady. Ty jednak z góry wiedziałeś, gdzie ich szukać.

Potwierdził jej domysł skinieniem głowy.

W oczach Jasnego Nefrytu lśniły łzy. Żal jej było dziecka, które otarło się tak wcześnie o bezprawie.

- To musiało być straszne.

Próbował się uśmiechnąć.

- Nie zawsze było łatwo. Ale przeżyłem.

- Ned mówił do ciebie „Danny”.

- Danny umarł - odparł z nieprzejeđnanym wyrazem twarzy. - Pochowałem go, gdy miałem osiem lat. Przyjąłem imię Nevada. Ned nauczył mnie strzelać. Zdaje się, że z czasem prześcignąłem mistrza.

- Ale przecież nie byłeś taki sam, jak oni. - Było to stwierdzenie, które, wiedziała to, niczym nie różniło się od pobożnego życzenia.

Oczy Nevady zaświeciły się jak u wilka.

- Nie próbuj rysować mojego portretu wedle własnych marzeń. Należałem duszą i ciałem do bandy. Złamałem wszystkie boskie i ludzkie prawa. Jestem złodziejem, oszustem i mordercą.

- Nie jesteś! - wybuchnęła. - Znam cię. Nie mógłbyś nikogo zamordować.

Wykrzywił usta.

- Już zapomniałaś? Przecież widziałaś to na własne oczy. Waliłem do nich jak do kaczek, bez słowa ostrzeżenia, nie będąc nawet zagrożony z ich strony.

- Ale ja byłem zagrożona. Stanałeś w mojej obronie. Miałeś do wyboru zabić lub zostać zabitym. Nie miałeś szans na pertraktacje. I tak byłeś w ich oczach zdrajcą i odszczepieńcem. Pozbyliby się niewygodnego świadka. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

Ten prosty gest, wyrażający chęć dodania mu otuchy, poruszył wszystkie struny jego duszy.

- A jednak to ja im odebrałem życie. W oczach prawa czyni mnie to zabójcą.

Położył zrumieniony kawał mięsa na cynowym talerzu i pokrajał na plastry. Jasny Nefryt dostała swoją porcję z dwiema bułeczkami. Nim jednak zabrała się do jedzenia, uśmiechnął się i rzekł:

- Szkoda, że nie byłaś szeryfem, który odstawił mnie do więzienia. Podróż z tobą byłaby dla mnie samą przyjemnością.

- Byłeś w więzieniu?

Skinał głową.

- Znalazł się taki szeryf, który chciał mnie ukarać, gwoli przykładu, za wszystkie zbrodnie popełnione przez bandę Garlanda. Marzyła mu się dla mnie szubienica. Ale sędzia dokładnie przesłuchał świadków i dowiedział się, że często występowałem w obronie

ludzi, nad którymi pastwił się Ned. Za wyjątkiem aktów samoobrony nigdy też nie zabiłem człowieka. Więc wlepiono mi tylko pięć lat.

- „Tylko”? Nie wyobrażam sobie pięciu lat za murami.

- Sądzę, że właśnie ten wyrok mnie ocalił. Miałem okazję od początku przemyśleć swoje życie. I doszedłem do dość pokrzepiającego wniosku. Muszę uczynić swoje życie godniejszym i lepszym. Z takim postanowieniem opuściłem więzienie.

- I stałeś się wielebny m Wade'em Westonem?

- Próbowałem. Bóg zna moje intencje. Doświadczyłem ludzkiego szacunku. Ale jak pozbyć się starych nawyków? Rzecz równie trudna, jak zarazić pijacznym wstrętem do whisky. Nosząc Biblię zamiast rewolwerów, czułem się nieraz bezradny i zagubiony. Szczególnie gdy dowiedziałem się, że Ned Garland i jego banda znów się pojawili w tej okolicy. Gdy po raz pierwszy napadli na ciebie, instynktownie sięgnąłem po broń.

- Więc to ty! - Patrzyła na niego z radosnym zdumieniem. - Ty byłeś moim aniołem stróżem.

Uśmiechnął się i zawiesił wzrok na tańczących płomieniach.

- W każdym razie kimś w tym rodzaju. Uważam, że mieszkańcy Hanging Tree zasługują na lepszego pastora. I właśnie to mam zamiar im powiedzieć, gdy dotrę na miejsce.

Mięso stygło. Mimo iż głodni, jeszcze nie wzięli się do jedzenia.

- Mylisz się co do mieszkańców miasteczka - powiedziała z gniewnym oburzeniem. - Oni cię kochają. Wniosłeś w ich życie tęsknotę za czymś wyższym i nieskończonym. Nie odrzucają cię tylko dlatego, że powiesz im prawdę o sobie.

- Jeśli w to wierzysz, Nefrycie, to musisz wierzyć w cuda. Kiedy ludzie z Hanging Tree dowiedzą się prawdy o mnie, pobiegną z tym zaraz do szeryfa.

- Więc po co tam jedziesz?

Poderwał się z pnia.

- Ponieważ jestem im to winien. Jeśli się coś rozpoczyna, trzeba to dokończyć.

Ruszył szybkim krokiem i po chwili zniknął w ciemności. Spojrzała na niebo. Rzęsiście usiane gwiazdami, było nie do ogarnięcia i nie do zrozumienia. Jak zresztą mogła pojąć nieskończoność, skoro nie do końca pojęła to, co powiedział jej Nevada.

Wsunęła się do śpiwora, nakryła kocami i zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą to samo gwiazdziste niebo, tylko księżyc znajdował się w zupełnie innym miejscu. Wydawało się, jakby boski bartnik otworzył wszystkie ule i wypuścił złote pszczoły ku dalekim ogrodom i łąkom.

Przypomniała sobie słowa Nevady. „Pragnąłem tego najbardziej na świecie. O tym marzyłem od dnia, kiedy cię poznałem. Ale zarazem czułem się niegodny takiego prezentu, takiej ofiary. Zaslługujesz na coś lepszego, Nefrycie”.

Usiadła. Łuska spadła jej z oczu. Jak mogła tego nie widzieć?

Ze wszystkiego, czego dowiedziała się tego wieczoru z ust Nevady, tylko to posiadało jakąś istotną wartość. Jego nagły wyjazd z San Francisco nie był odrzuceniem jej, jak do tej pory sądziła, tylko formą wyznania, że on, Nevada, nie czuje się godny jej miłości. Stanowił zarazem dość szczególne wyznanie miłości przez nią najbardziej upragnionej. Stanowił niezbite świadectwo, że ten mężczyzna potrafi wznieść się ponad siebie samego i szarpiące go żądze.

Już od dawna go kochała. Ale teraz kochała go jeszcze bardziej. Wręcz rozpaczliwie.

Nadszedł czas na uczciwość i szczerłość z jej strony.

Nevada siedział przy ognisku i palił cygaro. Dręczyły go myśli czarne jak noc. Siegał pamięcią w przeszłość, przebiegał swoje życie i nie mógł odnaleźć niczego, z czego mógłby być dumny. Żadne światełko nie błyskało w nocnych ciemnościach.

Nagle usłyszał kroki na trawie. Odwrócił głowę. Owinięta pledem przed chłodem, Jasny Nefryt wchodziła właśnie w krąg światła, zakreślany przez płonące ognisko. Jej twarz jaśniała niezemską urodą. Podeszła i usiadła obok niego na pniu zwalonego drzewa.

- Powinnaś spać. Ruszamy w drogę o pierwszym świcie - powiedział nieco opryskliwym tonem.

- Spałam, ale coś mnie obudziło. - Czuła się jak

człowiek, którego goni czas. Bała się, że może nie wytrwać w powziętym przed chwilą postanowieniu.

Odruchowo dotknął dłonią kolby rewolweru i rozejrzał się wokół.

- Niczego nie słyszałem.

- Bo nie mogłeś słyszeć. Zbudził mnie mój własny wewnętrzny głos.

- Nie rozumiem.

Obdarzyła go uśmiechem tak olśniewającym, że aż zmrużył oczy.

- Przyznałeś się do tego, że podsłuchałeś moją rozmowę z ciotką Lily. Układałyśmy wtedy plan... uwiedzenia cię. Z kolei powiedziałaś, że już od dawna mnie pożadasz. Czy w takim razie...

Przerwał jej machnięciem ręki.

- Dość tego, Nefrycie. Wracaj do śpiwora i zanim zaśniesz, nie zapomnij dobrze się okryć. To nie jest czas na tego rodzaju rozmowy.

- Pozwól, że zadam ci tylko jedno pytanie. Gdzie leży moja wina, że nagle przestałeś się mną interesować?

- Nie ma mowy o żadnej twojej winie. To ja jestem tu zawadą. Wszystko rozbija się o moją przeszłość. To moja przeszłość sprawia, że nie mam przed sobą, do diaska, żadnej przyszłości.

- Nie obchodzi mnie twoja przeszłość ani przyszłość. To na czym mi jedynie zależy, to ty w chwili obecnej. - Dotknęła jego ramienia, lecz drgnął i odsunął się, jakby jej ręka była rozżarzoną do białości prętą.

Cóż, ani myślała się narzucać. I już wstawała z kłody, gdy jeszcze raz spojrzała na Nevadę, a zobaczywszy jego drgające nozdrza, pulsujące mięśnie szczęk, wznoszącą się i opadającą pierś, zrozumiała w jednej chwili, że ten mężczyzna, tak śmiały i zuchwały w pojedynkach z przeciwnikami, toczył teraz walkę z samym sobą. Walkę, w której stawką była ona, Jasny Nefryt.

Poczuła, że wraca jej pewność siebie.

- Kocham cię, Nevada. Być może nie powinnam, ale nic na to nie poradzę. I myślę, że ty również coś do mnie czujesz.

Na sekundę zamarło mu serce. Wyznała mu miłość. Miłość. Wałęsał się po tym świecie już tyle lat, a jeszcze nikt do tej pory nie zwrócił się do niego z tego rodzaju wyznaniem. Był więc kochany. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiego obrotu rzeczy. Gdyby powiedziała mu, że chce poznać miłosne sztuczki, gdyby próbowała być przymilna i uwodzicielska, znalazłby w sobie dość siły, żeby się oprzeć. Ale ona podarowała mu swoją miłość. Dar ten zniewalał swoją prostotą i pięknem. I był to dar bezcenny.

Tym bardziej musiał uświadomić jej pewne sprawy. Dla jej własnego dobra.

- Czyżbyś nie słuchała, gdy Lily ostrzegała cię przed zasadzkami i niebezpieczeństwami miłości?

Zareagowała, jakby wymierzył jej policzek.

- Może i nie słuchałam. Zechciej mi więc przypomnieć.

- Posłużę się za Lily przykładem twoich rodziców.

Nigdy nie zeszedli się ze sobą, tylko spotykali się na kilka dni jak dwa okręty w przygodnych portach. Mammy powtórzyć ich błąd? Masz urodzić dziecko, które nigdy nie będzie miało prawdziwej rodziny? Dziecko, które będzie tęskniło za ojcem, podczas gdy ten może pojawi się w Wigilię Bożego Narodzenia, a może i nie pojawi?

Milczała. Wiedział już, że wygrał. Tyle że ze swojego zwycięstwa nie czerpał najmniejszej satysfakcji.

- A teraz połóż się i spróbuj zasnąć. Za trzy godziny zacznie świtać, a lepiej jest podróżować w chłodzie poranka niż w spiekocie południa.

Usłyszał, że wstaje, ale nie spojrział na nią. Patrzył na ognisko i cały zdawał się być pochłonięty paleniem cygara. Rzucił niedopałek w płomień.

Nagle coś go zaniepokoiło. Odwrócił głowę. Jasny Nefryt stała przy pniu. Pled zsunął się z jej ramion. Jedwab szaty mienił się tęczowo w blasku ognia.

- Myślałem... - zaczął.

- Myślałeś, że udało ci się mnie pozbyć. Chciałeś, żebym zasnęła sobie słodko, niczym mała dziewczynka po zmówieniu paciorka. I chciałeś tego dla mojego własnego dobra, prawda?

Poderwał się na równe nogi.

- Na miłość boską, odejdz! Odejdz, zanim będzie za późno.

- Już jest za późno. - Podeszła, uniosła się na palcach i podała mu usta.

Chwycił ją i odsunął na długość ramion.



- Nie wiesz, co czynisz. To nie jest luksusowy dom rozkoszy z pachnącą pościelą, dywanami i francuskim szampanem, a ja nie jestem eleganckim klientem, któremu wystarczy przyjemnie wypełnione półgodzinki. Pragnę więcej niż gotowa jesteś mi dać. Pragnę wszystkiego. Wszystkiego, rozumiesz? A teraz odejść, zanim nie stanie się coś, czego później będziemy żałować.

Opuścił ręce, dając jej swobodę ruchów. Skorzystała z niej. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego całym ciałem.

- Zostanę. Nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do odejścia.

Opuściła go w jednej chwili cała determinacja. Już nie miał siły dalej walczyć.

- Nie zapomnij - pragnę wszystkiego.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ścisnął ją tak mocno, że o mało co nie pogruchotał jej kości, a pocałował żarłocznie, dziko, bez cienia litości, tak iż ich zęby zgrzytnęły o siebie.

Zareagowała na jego oszalały szturm niczym przestraszona łania. Wsparła się dłońmi o jego dyszącą pierś i próbowała odepchnąć.

- Nie. Poczekaj. - Zauważyła, że oczy płoną mu niebezpiecznym blaskiem.

- Uprzedzałem cię. Nie jestem dżentelmenem.

Potrząsnęła głową. Walczyła o oddech.

- Daj mi zebrać myśli.

- Za późno na myślenie. Po co myśleć? Po prostu stań się samym uczuciem. Zaufaj mi.

Pochylił głowę. Ich usta znowu się spotkały. Przywarł do niej całym ciałem. Zalała ją fala rozkosznego gorąca. Nie mogła zmienić miejsca, jak nie może się ruszyć drzewo wrosnięte korzeniami w ziemię. Prawie nie mogła oddychać. Wszelkie myśli odleciały.

Pozostało samo słodkie omroczenie. Wbiła palce w mięśnie jego ramion. Jęknęła. Odpowiedział na jej jęk wzmożoną pieszczotą. Gładził i pieścił jej szyję, kark, plecy i biodra.

Na razie sprawiał, że nie poznawała samej siebie. Nogi uginały się pod nią, głowa uciekała gdzieś do tyłu, zaś całe ciało roztopiało się w drżącej ekstazie.

Być może były kobiety, które w takich chwilach potrafiły się bronić. Ona, Jasny Nefryt, nie wyobrażała sobie nawet takiej możliwości. Bo jak tu nie zmoknąć, gdy zostało się zaskoczonym przez burzę w bezdrzewnej, płaskiej okolicy? Właśnie spadła na nią burza jego pocałunków.

Zwarli się ustami. Lecz to nie był już pocałunek, tylko drażnienie i spijanie soków. Jasny Nefryt, z której ulatywały wszystkie myśli, zdołała pomyśleć o jednym. O nasyconej wilgocią glebie na wiosnę. W nich obojgu również nastąpiła wiosna, a podskórne wody wylewały się na powierzchnię.

Poczuła, że całym swoim jestestwem rozchyła się i rozwiera. Wszystko w niej drżało, płonęło, przeobrażało się. Jego oddech owiewał jej delikatną skórę, lecz nie przynosił ukojenia, tylko jeszcze wzmagał pragnienie. Zanurzyła palce w jego gęste włosy i już nie wiedziała, gdzie kończy się rozkosz, a zaczyna ekstaza.

Tylko dalekim obrzeżem świadomości spostrzegła, że ściągnął z niej szatę i rozpiął guziki stanika. Następnie odkrył jej piersi. Obnażył je podwójnie, bo najpierw pozbawił je okrycia i wydobył na światło dzienne, a potem jął chłonać ich nagość zachwyconym, płonącym spojrzeniem.

- Moja piękna - wychrypiał.
- Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje - powie-

działa drżącym głosem. - Gdzie moja duma? Sprawiliś, że zapomniałam o wszystkich radach, których udzieliła mi moja wychowawczyni.

- Uczono cię, jak być bezpieczną, a ja cię nauczę, jak być kochaną. Kochaj mnie, Nefrycie, jak ja kocham ciebie. Tylko ty dla mnie istniejesz. Wszystko inne się nie liczy.

- Tylko ty dla mnie istniejesz, Nevada. Wszystko inne nie liczy się.

Całą sobą potwierdzała to wyznanie. Jej serce waliło w pościgu za rozkoszą, a wzrok omdlewał w przyzwoleniu. Jej dłonie na ciele Nevady poszukiwały bliskości.

Nevada nie mógł nasycić spojrzenia. Patrzył na piękność, jaką mógł sobie wymarzyć jedynie w snach. Lśniaca czerń rozpuszczonych włosów, biel piersi i różowość brodawek tworzyły całość godną najsubtelniejszego pędzla.

Boże, jak bardzo jej pożądał. Bo czyż można patrzeć na piękno, nie pożądając go?

- Pozwól - powiedział, dotykając jej piersi.

Odniósł wrażenie, że dotknął puszystego kwiatu białej peonii. Kwintesencji gładkości, delikatności, miękkości. A w samym środku przeżył się pręcik sutka, jakby prowokując do dalszych pieszczot. Ujął go w wargi i musnął koniuszkiem języka. Jasny Nefryt wyszeptała coś chrapliwie. Raczej domyślił się samego słowa, niż je zrozumiał.

- Wiem - odpowiedział, myśląc o dalszych rozkoszach, które pragnął z nią dzielić.

Poczuł jednak, iż powoli zaczyna tracić panowanie

nad sobą. Już nie pieścił płatków kwiatu, tylko je rozgniatał. Zanurzył twarz w przełęczu pomiędzy pierściami. Słyszał w uszach pulsowanie krwi. Niecierpliwość, przyrodnia siostra żądz, pchnęła go ku dalszym zdobyciom.

Obnażył ukochaną z szaty i bielizny. Miał więc ją wreszcie naga. Ześlizgnał się spojrzeniem po płaskowyzu brzucha w cienisty kielich ud.

Opadli na miękkie posłanie z traw i ziół. Rozchylił dłonią jej długie, bardzo długie nogi i zaczął pieścić uda od wewnętrznej strony. Głowa Jasnego Nefrytu opadła do tyłu, a w półotwartych ustach błysnęły białe zęby.

- Spójrz na mnie - poprosił.

Minęła długa chwila, zanim uniosła powieki.

- Jesteś piękna. Tak piękna, że aż trudno w to uwierzyć. I jesteś moja, Nefrycie.

Zrzucił koszulę, a potem zsunął spodnie. Był teraz jej równy. Również nagi. Tyle że ona przez skromność czy też upojenie nie widziała tego. I dopiero kiedy poczuła jego nagość na sobie, powitała ją głębokim westchnieniem i spazmatycznym dreszczem. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Ta dolegliwa i sztywna twardość na podbrzuszu była czymś zupełnie nowym, groźnym i bolesnym. Uda instynktownie się zwarły, ciało naprężyło.

Pojął, że to jej pierwszy raz. Musiał okiełznać bestię w sobie i zdobyć się na delikatność, na którą Jasny Nefryt bez wątpienia zasługiwała.

Wyczuła w nim to zawahanie i zapytała szeptem:

- Co się stało? Czy zrobiłam coś nie tak?

- Och, Nefrycie. - Chłonał zapach jej włosów i ciała, zmieszany z woniami tej leśnej polany. - Wszystko, co robisz, jest doskonałe, bo cała jesteś doskonała. Po prostu chciałbym, żeby ta chwila była dla ciebie wyłącznie słodką rozkoszą.

- A czy w ogóle może być inaczej? Przecież jestem z tobą.

Był więc szczęściarzem. Bo tylko szczęściarz mógł otrzymać taką odpowiedź.

Jego pieszczoty sprawiły, że się rozluźniła, rozrzuciła nogi i wygięła ciało w łuk. Oddawała mu swoją czystość w upojeniu i ekstazie, skromność nie licowała przecież z miłosnym szalem.

Jasny Nefryt czuła się wsysana przez wir. Od podbrzusza po jej ciele rozchodziły się fale upojnego gorąca. Sutki łaskotały, jakby za chwilę miały trysnąć sokiem. Krzyż zdawał się być rozpalonym prętem. Czuła mrowienie, łaskotanie, palenie w wielu różnych miejscach. Jeśli za chwilę to nie ustanie, zacznie chyba krzyczeć, więc się i rzucać jak opętana.

Doszły ją słowa Nevady. Zdławionym, zachrypniętym głosem prosił ją o zgodę.

Zgodę na co? Znała odpowiedź na to pytanie. Chciał, ażeby świadomie mu się oddała. Jeżeli w ogóle jeszcze zachowała jakieś resztki świadomości.

- Tak, Nevada. Tak! Chcę tego. Teraz. Tylko ty. Kochaj mnie.

Oplotła go ramionami i nogami. Przywarła do niego niczym bluszcz do ściany. Wstrzymała oddech.

Czekała całą wieczność. Przynajmniej tak się jej wydawało. A potem nagle rozdarł ją piorun. I cisza. Bezruch. Uspokojenie. Nevada był w niej i oczekiwał, aż ona go zaakceptuje.

Uderzyły na nią poty. Wyrzuciła biodra do przodu. Wówczas i on drgnął, a z tego drgnienia narodził się rytm, cała melodia cielesnego ruchu.

Zapadał w nią i wynurzał się niczym pływak, który wychyla głowę dla złapania powietrza. Zaczęła więc nieśmiało naśladować jego ruchy. Z początku szło jej bardzo nieporadnie, lecz w pewnym momencie złapała rytm i dostroiła się do kochanka.

Podziękował jej najdzikszym z pocałunków.

- Nevada - jęknęła.
- Nefrycie...

Wbiła paznokcie w skórę na jego plecach. Gryzła jego ucho. Opanowało ją marzenie, że Nevada chowa się w niej cała.

Ich ruchy stawały się coraz szybsze i szybsze. Zaczęła rzeźić. Wiedziała, że umiera, lecz było to rozkoszne umieranie. Miało w sobie słodycz omdlenia, jasność fajerwerków i uniesienie zwycięstwa.

Nagle pchnął raz i drugi tak silnie, że niemal przygwoździł ją do ziemi. Krzyknął. Pałace soki wypełniły jej wnętrze i wylały się na pośladki i uda.

Znieruchomieli, dysząc. Dopiero teraz poczuła ciężar jego ciała. Ale on jakby to odgadł i zaraz osunął się na trawę.

Oboje ujrzeli nad sobą rozgwieżdżone niebo.

Gdy obudzili się, był już dzień.

- Wiesz - przeciągnęła się i uśmiechnęła - marzę o kąpieli w strumieniu. - Spojrzała na Nevadę spod spuszczonej rzes, gęstych i aksamitnych.

Była bezwstydną flirciarą. I kochał ją za to.

- Więc marzysz o kąpieli. Dlaczegożby nie? Kąpiel to dobry początek dnia.

Zanim zdążyła dodać swoje trzy grosze, chwycił mydło, odrzucił koc i wziął ją na ręce.

- Co robisz? - zapytała, zarzucając mu ramię na szyję.

- Mam zamiar namydlić i umyć moje kochanie. - Wszedł do strumienia. Posadził ją na mieliźnie. Pisnęła. Woda była zimna, a jej ciało rozgrzane. - Zachowuj się grzecznie. Zdaj się na mnie. Zrobię wszystko, żebyś poczuła się czystutka.

Zamknęła oczy. Zaczął od zmoczenia i namydlenia jej włosów. Masował skórę głowy energicznymi ruchami, nie pozbawionymi wszak delikatności.

- Masz takie silne dłonie - powiedziała.

- Doprawdy? Nie miałem pojęcia, że moje dłonie nadają się do mycia kobiecych włosów. A włosy masz zupełnie wyjątkowe. Miękkie, lśniące i jedwabiste. Jakbyś codziennie rano myła je w rosie.

- Czy ty aby na pewno jesteś człowiekiem wyjętym spod prawa? Bo mówisz jak poeta.

Roześmiał się.

- Nie powtarzaj tego nikomu, ale w więzieniu przeczytałem trochę wierszy. A potem długo się dziwiłem, że można tyle powiedzieć o kobiecych ustach.



Albo włosach. Kiedy zobaczyłem cię jednak w „Złotym Smoku” w dzień twoich urodzin, zrozumiałem. Nie masz pojęcia, jak długo twój wizerunek pozostał w mojej pamięci, by ogrzewać mnie nocami i podsycać moje marzenia.

- A jednak jesteś poetą. Albo bezwstydnym po-  
chlebcą.

- Lub tym i tym. A teraz zamknij oczy. - Odchylił ją trochę do tyłu i jał splukiwać pianę z włosów.

Mruczała z rozkoszy jak kotka.

- Bosko.

- Dobre słowo. Szkoda, że go tak rzadko uży-  
wamy.

Skończywszy z włosami, zaczął namydlać jej cia-  
ło. Szyję, plecy, piersi, brzuch i uda.

- Nevada - jęknęła i wyciągnęła ku niemu ręce.

Legli w płytkiej wodzie. Za materac służyło im  
piaszczyste dno, okrycia nie mieli.

- Dlaczego musimy jechać?

Jasny Nefryt płukała naczynia w strumieniu. Ne-  
vada siodłał konia.

- Powiedziałem ci. Twoje siostry będą się martwić  
o ciebie.

- Z chęcią bym tu została jeszcze jeden dzień, ale  
chyba masz rację.

Nic nie odpowiedział. Oboje czuli to samo. Nie-  
chęć do opuszczania tego miejsca, które stało się dla  
nich ogrodem miłości. Mieli tu wodę, nic nie zapo-  
wiadało zmiany pogody, las był pełen ptactwa i pło-

wej zwierzyny. Na upartego mogli tu spędzić jeszcze wiele, wiele dni. Kochać się, pieścić, rozmawiać ze sobą, żartować, kąpać się w słońcu i w przezrystem strumieniu. Ale istniały pewne konieczności. Nie sposób było się im nie podporządkować. Dlatego kiedy pocałowali się jakby na pożegnanie, gdyż długo nie odrywali od siebie ust, wsiedli na konia i ruszyli.

Żadne nie obejrzało się za siebie. Wiedzieli, że i tak nigdy nie zapomną tego uroczego zakątka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zmierzchało już, kiedy wjeżdżali do Hanging Tree. Jakkolwiek widok ich dwojga na jednym koniu sam w sobie był sensacją i tak został odebrany, o czym świadczyła niejedna zdumiona twarz, to żaden z przechodniów nie podniósł ręki w geście powitania. Ludzie odwracali się, zwieszali głowy i na różne sposoby starali się nie patrzeć w ich stronę.

Był to bardzo niepokojący sygnał i sprawił, że przejechali miasteczko w pośępnym milczeniu.

Godzinę później znaleźli się na szczycie wzgórza, skąd już było widać oświetlone okna rancza Onyxa Jewela. Jasny Nefryt poczuła się głęboko wzruszona.

Dom. Kiedy znajdowała się w rękach bandytów, jednym z najboleśniejszych doznań była myśl, że już nigdy więcej nie zobaczy rancza i drogich twarzy sióstr. Ale teraz, gdy od domu dzieliła ją już niewielka i wciąż zmniejszająca się odległość, jej radość tłumili ból i strach. Powrót do domu oznaczał bowiem rozstanie z mężczyzną, który zabrał jej serce.

- Przez kilka dni nic nie rób, tylko odpoczywaj - szepnął jej do ucha, chociaż ów szept niczym właści-

wie się nie tłumaczył. - O wizycie w miasteczku na razie jeszcze nie myśl.

- Próbujesz mnie przestraszyć?

Zajechali przed ganek, więc zatrzymał konia i przerzuciwszy prawą nogę, zsunął się na ziemię.

- Po prostu chciałbym zaoszczędzić ci nieprzyjemności. Widziałas, jak nas powitano. Wrogim milczeniem. To nie wróży najlepiej.

- Chcę, żebyś spędził tę noc na ranczo. Rankiem wspólnie stawimy czoło mieszkańcom Hanging Tree.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż rozległ się trzask otwieranych drzwi i na ganek wybiegły Świetlisty Diament, Różowa Perła i Gorący Rubin. Za nimi pojawiła się Carmelita. Wszystkie na przemian to śmiały się, to płakały.

- Dzięki Bogu, że widzimy cię całą i zdrową - krzyknęła Świetlisty Diament.

- Niewiele brakowało, a zamartwilibyśmy się na śmierć - dodała Różowa Perła. - Adam i Cal z kowbojami już od wielu godzin przeczesują okolicę. Wyślemy Cookie z wiadomością, że dotarłaś szczęśliwie do domu.

- Wyglądasz na mocno zmienioną. - Oczy Gorącego Rubinu patrzyły badawczo i przenikliwie. - Co się stało?

Zbliżyła się Carmelita.

- Och, panienko! Pewnie jest panienka głodna. Tak, najpierw jedzenie, a potem opowiadanie. Wielbny Weston, mam nadzieję, też nie pogardzi skromnym posiłkiem.

- Przykro mi, ale zmuszony jestem odmówić. Mam w mieście wiele spraw do załatwienia.

Jasnemu Nefrytowi zaschło w gardle.

- A może te sprawy mogą poczekać do jutra? Zostań choćby na noc.

- Wiesz, że nie mogę.

Świetlisty Diament zauważyła wymianę spojrzeń między nimi i ośmieliła się wtrącić:

- Ludzie od dnia waszego wyjazdu gadają właściwie wyłącznie o was. Byliście przez ten czas bohaterami najbardziej fantastycznych plotek. Rozeszła się nawet pogłoska, że widziano was w jakimś mieście w hotelu na wschodnim wybrzeżu.

- Uważam - powiedział Nevada - że trzeba temu jak najprędzej położyć kres. Spotkam się z mieszkańcami i postaram się udzielić im wszystkich niezbędnych wyjaśnień. Po tym spotkaniu, podejrzewam, żądają, żebym natychmiast opuścił te strony. - Podszedł do konia i usadowił się w siodle.

Jasny Nefryt po chwili była już przy strzemieniu.

- Jeżeli wystąpią z takim żądaniem, to wyjeżdżamy razem.

Pochylił się i pogładził ją po włosach.

- Wykluczone. Wiesz, że wyjadę sam.

Chwyciła go za rękę.

- Przenigdy. Nie puszczę cię samego. Nie po tym, co się stało między nami. - Głos jej załamał się i stał się proszący. - Mamy przed sobą całą przyszłość. Nie obchodzi mnie, co inni sobie pomyślą.

Uwolnił rękę i zebrał cugle. Uderzył konia pięta-

mi. Ruszył. Kiedy ich oczy raz jeszcze się spotkały, spoglądał na nią z takim chłodem, jakby miał serce z kamienia. A przecież dławiło go wzruszenie, musiał je tylko jakoś zamaskować. Odwiózł ją bezpiecznie do domu i teraz gotów był na najgorsze. A najgorsza była rozłąka.

- Dbaj o siebie, Nefrycie. Wiem, co to znaczy - być skazanym na tułacza nędzę. Nigdy nie pozwolę, byś doświadczyła podobnego losu. W przeciwnym razie straciłbym cały szacunek dla samego siebie.

- Niepotrzebnie już z góry siebie obwiniasz. Być z tobą i kochać ciebie - oto, co wybrałam. Wybrałam! - krzyknęła na cały głos.

Wszystkie cztery kobiety, które przysłuchiwały się tej rozmowie, miały w tej chwili właściwie identyczny wyraz twarzy. Była to mieszanina zdumienia i ciekawości. Więc tych dwoje się kochało? Jak i kiedy to mogło się stać? A może plotki nie były wcale plotkami? Może faktycznie te kilka tygodni, które upłynęły od ich wyjazdu, spędzili ze sobą w jakimś hotelu?

Nevada był już w bramie, gdy Jasny Nefryt zawołała za nim:

- Upprzedzam cię! Chcę być z tobą i będę z tobą!

Nie odwrócił głowy. Nie spojrzął za siebie. Rozpłynął się w mroku i tylko przez jakiś czas słychać było oddalający się tętent.

Jak zawsze wtedy, gdy było jej ciężko na duszy, Jasny Nefryt zwróciła się myślami ku ojcu.

Och, czcigodny ojcze, czy taką mam przejać spuściznę po tobie? Czy koniecznie muszę powtórzyć

twój błąd i przeżyć do końca swój czas z dala od człowieka, którego kocham?

Łzy stanęły jej w oczach, lecz nie pozwoliła im popłynąć. Wzięła się w garść i odwróciła ku siostrom i Carmelicie. Zdumienie wciąż malowało się na ich twarzach. Lecz nagle, powolne temu samemu odruchowi serca, podbiegły do niej i zaczęły całować ją i ścisnąć.

- Myślałyśmy, że wrócisz z San Francisco pogodna i radosna - powiedziała Świetlisty Diament. - A tymczasem widzimy cię smutną i nieszczęśliwą. Powiesz nam, co się stało?

- Dajcie mi minutkę. Niech dojdę do siebie.

Przyjęła z rąk Różowej Perły batystową chusteczkę i osuszyła nią oczy. A potem weszła wraz z siostrami do domu i usiadła za stołem w jadalni. Zaczęła opowiadać. Słowa płynęły wolno i z oporem. Często przerywała i robiła użytek z chusteczki. W końcu jednak udało się jej powiedzieć wszystko.

- To człowiek bez wątpienia dzielny - skomentowała Różowa Perła.

- Odnalazłaś wreszcie swojego anioła stróża - powiedziała z uśmiechem Gorący Rubin.

- I pokochałaś go - dorzuciła Świetlisty Diament z niemal nabożną czcią.

Jasny Nefryt kilkakrotnie skinęła głową.

- Ale kiedy mieszkańcy Hanging Tree poznają jego przeszłość, zażądają, by wyniósł się stąd.

Siostry spojrzały na siebie. Nie sposób było odmówić słuszności temu stwierdzeniu. Świetlisty Diament wyraziła to, co wszystkie pomyślały:

- Lavinia i jej przyjaciele nigdy nie zgodzą się na pastora, który kiedyś był członkiem bandy.

Zamiast jeść, Jasny Nefryt machinalnie bawiła się widelcem. Milczała.

- Przede wszystkim musisz odpocząć - powiedziała Świetlisty Diament autorytatywnym tonem.

- Myślicie, że uda mi się zasnąć po tym wszystkim? Raczej zadreczę się obawami o to, co ma się wydarzyć jutro.

- Musisz odsunąć od siebie wszystkie lęki i niepokoje - powiedziała Różowa Perła. - Kochasz Westona, a skoro tak, to powinnaś dbać o siebie.

Jasny Nefryt poddała się. Rozłożyła ręce i udała się na górę w towarzystwie sióstr. Przed drzwiami sypialni raz jeszcze uściskała się z nimi, wysłuchując zapewnień, że cokolwiek się stanie, może liczyć na wsparcie i miłość z ich strony.

Pół godziny później Gorący Rubin, ubrana w nocną koszulę, szła tym samym korytarzem. Przystanęła przy drzwiach sypialni siostry. Przyłożyła ucho. Usłyszała niczym nie zmaconą ciszę. Westchnęła z ulgą i pomyślała, że dobrze jest mieć Jasny Nefryt znowu przy sobie.

Nie wiedziała, że wsłuchiwała się przed chwilą w ciszę pustego pokoju. Jasny Nefryt wymknęła się bowiem z domu schodami pożarowymi i była już w drodze do Hanging Tree.

Jasny Nefryt uniosła latarnię i spojrzała na napis nad drzwiami. Wycięte w blasze i powleczone żółtą



farbą litery składały się na słowo: ZŁOTY. Drugie słowo miało być najprawdopodobniej dodane jutro lub w najbliższych dniach. Wnętrze domu pachniało farbą, wapnem i strużynami. Na podłodze tu i ówdzie wałały się narzędzia, które pozostawili robotnicy.

Weszła po schodach na piętro. Odnalazła pokój, który w niedalekiej przyszłości miał stać się jej sypialnią. Wyobraziła sobie łóżko i w tym łóżku siebie z Nevadą. Tak, jedynym mężczyzną, który będzie miał wstęp do jej sypialni, będzie Nevada. Dotyczyło to całego jej życia, obojętnie, ile lat miała jeszcze przed sobą.

Podeszła do okna i spojrzała na uśpione miasteczko. Co będzie, jeżeli jutro Lavinia i inni każą Nevadaie wsiadać na konia i jechać, gdzie oczy poniosą? Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. A zresztą czuła lęk przed wybieganiem myślami naprzód.

Gdy znów znalazła się na parterze, wydało się jej nagle, że słyszy czyjś oddech. Przesunęła się z latarnią w stronę, skąd dochodził szmer, równocześnie kładąc dłoń na rękojęści sztyletu.

- Czy jest tu kto? Proszę się odezwać.

- To ja, Birdie. Birdie Bidwell - rozległ się drżący głos i z mroku wyłoniła się chuda dziewczynka; miała spuszczone oczy.

- Przestraszyłaś mnie, Birdie.

- Tak mi przykro, panno Jewel. Usłyszałam o pani powrocie i kiedy zobaczyłam światło, pomyślałam, że to na pewno pani ogląda swój nowy dom. Przyszłam z panią... porozmawiać.

- Teraz? W środku nocy? Dlaczego nie poczekałaś tych kilku godzin?

Dziewczynka przełknęła ślinę.

- Nie chcę, żeby ktoś dowiedział się o naszej rozmowie. Wolę, żeby to spotkanie odbyło się w tajemnicy. - Zaczęła nawijać postrzępiony koniec szala na wskazujący palec lewej ręki. - Nadeszły ciężkie czasy, panno Jewel. Mama powiedziała, że już nie pośle mnie do szkoły. Chce, żebym zarabiała pieniądze. Ale w mieście nie ma pracy. Niekiedy tylko pani Potter wynajmuje mnie do pomocy na jakieś pół dnia. Więc pomyślałam sobie... - zwilżyła wargi koniuszkiem języka - pomyślałam, że może tutaj mogłabym znaleźć zajęcie.

Ostatnie słowa dziewczynki podziały na Jasny Nefryt niczym obelga rzucona jej prosto w twarz.

- A czy zdajesz sobie sprawę, na czym będzie polegała praca kobiet, które zatrudnię? Jakie usługi będą świadczyć?

- Tak, proszę pani. Mniej więcej.

- Ile masz lat, Birdie?

- Trzynaście. Ale mówią, że wyglądam na więcej.

- Trzynaście. A jak sądzisz, co by powiedzieli ludzie, gdyby dowiedzieli się o twoich planach?

- Myślę, że byliby zgorzeleni. To porządni ludzie. Boją się grzechu jak ognia. Ale ja jestem w rozpacz, panno Jewel. - Dolna warga dziewczynki zaczęła niebezpiecznie drżeć, zapowiadając, że za chwilę z jej oczu trysną łzy. - Kilka dni temu papa powiedział do mamy, że już nie wie, jak nas utrzymać. Myśli o wy-

mówieniu mi domu, ażeby sama zaczęła dawać sobie radę. Boję się, panno Jewel. Potrafię tylko gotować, sprzątać i czytać książki. Ale co komu po tych moich umiejętnościach. - Łzy popłynęły, a dwie szczupłutkie dłonie nie nadażały ze ścieraniem ich z policzków.

Jasny Nefryt poczuła, że pęka jej serce. Chciała przytulić dziewczynkę, lecz ta się odsunęła.

- Lepiej niech mnie pani nie dotyka, bo pobrudzi sobie tę piękną suknię.

- Och, ty dzieciно!

Objęła chudziutkie ciało i mocno przygarnęła do piersi. Dziewczynka powoli się uspokajała. Pociągnęła nosem raz i drugi. Jasny Nefryt podała jej chusteczkę.

Po chwili Birdie mogła już mówić.

- Myślę, że praca tutaj nie będzie wcale taka straszna - powiedziała. - Obojętnie, co ludzie mówią. Ważne, że pani jest piękną, elegancką damą. Pani Thurlong i inni utrzymują, że dla pani każdy mężczyzna gotów byłby porzucić żonę i dzieci, ponieważ budzi pani w mężczyznach żądzę. Ja też mogę budzić w nich żądzę, bylebym tylko tutaj pracowała i zarabiała pieniądze. Szybko wszystkiego się uczę, bo jestem pojętna. Chciałabym upodobnić się do pani.

Chciałaby upodobnić się do mnie, powtórzyła w myślach Jasny Nefryt i zaraz przed oczyma stanęła jej Lily, która zgodziła się zostać kochanką i utrzymanką żonatego mężczyzny, ponieważ jedynie to wchodziło w rachubę. A teraz to niewinne dziewczę

skazywało samo siebie na podobny los. Wyrzekało się szansy na zamążpójście i macierzyństwo tylko dlatego, że jej matka nie miała co do garnka włożyć.

Najpierw więc pozwoliła się Birdie wypłakać, a potem pogładziła ją po włosach i patrząc w jej zaczerwienione oczy, powiedziała:

- Nie martw się o pracę, znajdziesz ją u mnie, Birdie.

- Naprawdę? Nauczysz mnie pani? Wszystkiego, co potrzeba?

- Ależ wcale nie muszę cię niczego uczyć, ponieważ to ty nauczysz mnie czegoś, czego nie potrafię robić.

- Ja? A niby czego, panno Jewel?

Jasny Nefryt zrobiła tajemniczą minę.

- Pewnej umiejętności, która przyda mi się na bardzo długo, może na całe życie. - Leciutko pchnęła dziewczynkę ku drzwiom. - A teraz do domu i do łóżka, Birdie. I nic nikomu nie wspominaj, że się spotkałyśmy. To będzie nasz mały sekret.

- Dobrze, proszę pani.

Dziewczynka poszła sobie, zaś Jasny Nefryt pozostała sama. Wydawała się smutna i zamyślona. Cekał ją wyjątkowo ciężki dzień.

Hanging Tree było niewielką miejsciną. Gdy ktoś kichnął na jednym końcu, na drugim po chwili już o tym wiedziano. Toteż wieść, iż wielbny Wade Weston spędził tę noc w pensjonacie Millie Potter, rozeszła się lotem błyskawicy. Od wczesnych godzin

porannych ludzie zaczęli gromadzić się na ulicy, aż zrobił się w końcu całkiem spory tłum. Rej wodziły Lavinia Thurlong i Gladys Witherspoon. One najczęściej zabierały głos, one szermowały najsurowszymi ocenami, inni zaś poprzestawali na kiwaniu głowami i okrzykach poparcia.

- Co za zdumiewający zbieg okoliczności! - Oczy Lavinii płonęły świętym oburzeniem. - Wielebny Weston powraca do nas po kilkutygodniowej nieobecności na jednym koniu z właścicielką „Złotego Smoka”. Zaiste, chciałabym wiedzieć, czy ośmieli się zaprzeczyć, że spędził cały ten czas z tą bezwstydną ladacznicą.

Rozległ się groźny pomruk, który jeszcze urósł w siłę, gdy człowiek, któremu ferowano już zaoczne wyroki, pojawił się na progu domu. Wielebny Wade Weston nie wyglądał bynajmniej na kogoś, kogo czeka pręgiarz. Ubrany był w nieskazitelnie białą koszulę i szyty na miarę czarny garnitur i raczej wydawał się być sędzią lub senatorem, a już najmniej złoczyńcą i ewentualną ofiarą linczu.

W tym samym niemal momencie zajechała bryczka i wysiadły z niej wszystkie siostry Jewel. Przybycie Jasnego Nefrytu najwyraźniej pogorszyło i tak już napiętą atmosferę.

- My, mieszkańcy Hanging Tree - rozpoczęła Lavinia Thurlong - zgromadziliśmy się tutaj, żeby ogłosić naszą wolę. Nie życzymy sobie pastora, który miał wskazywać nam drogę zbawienia, sieje zgorzenie i ściągą gniew Boży na nasze miasteczko. Za-

sługujemy chyba na lepsze traktowanie, gdyż harujemy od świtu do nocy i staramy się żyć zgodnie z dekalogiem. Trzeba nie mieć sumienia, pastorze, żeby wykładać nam słowa Pisma Świętego, a równocześnie igrać miłośnie z tą upadłą kobietą. - W tym miejscu, silna licznymi głosami poparcia, Lavinia uderzyła w śmielszy ton: - Nie jesteśmy złaknieni krwi, wiemy, ile jest warte życie ludzkie, obędzie się więc bez stryczka. Ale kulbacz swojego konia, pastorze, i wynoś się stąd! - Spojrzała ku Jasnemu Nefrytowi i jej siostrze. - I nie zapomnij zabrać ze sobą tej nierządniczki.

Siostry otoczyły Jasny Nefryt ciasnym pierścieniem, tworząc ze swoich ciał coś w rodzaju tarczy ochronnej, lecz ona rozsunęła je i śmiało wystąpiła kilka kroków do przodu.

- Moje siostry nie mają z poruszaną tu sprawą nic wspólnego - oświadczyła donośnym głosem. - Jeżeli komuś można wykazać winę, to tylko mnie.

Nevada podniósł rękę, dając znak, że chce coś powiedzieć. Słowa jego zaskoczyły wszystkich.

- Pani Thurlong ma całkowitą rację. Zasługujecie bez wątpienia na lepsze traktowanie. Dlatego powróciłem. Ażeby wyznać wam prawdę i oddać sprawiedliwość.

- To zmienia trochę postać rzeczy - powiedziała lekko zmieszana Lavinia. - Mamy swoje stałe miejsce spotkań, gdzie się modlimy i podejmujemy wspólnie decyzje. Przejdźmy więc do magazynu na tyłach sklepu Durfee'ego i wysłuchajmy pastora, za-

nim rozstaniemy się z nim na zawsze. Bo że będzie musiał odjechać to pewne, jeżeli znów chcemy chodzić z podniesioną głową.

Odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem, a za nią podążył tłum mieszkańców, zagarniając ze sobą Nevada. Gdy Jasny Nefryt wraz z siostrami przybyła na miejsce, wszystkie krzesła były już zajęte. Stały więc w pobliżu wejścia i z niepokojem czekały na dalszy rozwój wydarzeń.

Jasny Nefryt widziała wiele znajomych twarzy. Birdie Bidwell, która przyszła tu razem z rodzicami, siedziała ze spuszczoną głową. Millie Potter miała wypieki na policzkach, podobnie jak jej córki. Farley Duke, właściciel tartaku, oraz jego robotnicy, jakkolwiek chętnie przyjmowali od niej zapłatę za materiały i pracę przy budowie domu i zawsze dotąd witali ją uprzejmie, a nawet z rewerencją, dzisiaj czynili karkołomne wysiłki, żeby na nią nie patrzeć.

Nevada stanął przed zgromadzeniem, skupiając na sobie liczne wrogie mu spojrzenia.

- Nie ma sensu tracić czasu na cczą gadaninę - powiedziała Lavinia Thurlong. - Niechaj wielbny Weston wyzna swoje grzechy, a potem opuści to miasto.

Poderwał się Ario Spitz, zastępca szeryfa.

- Jest jeszcze jedna ważna rzecz, którą musimy się zająć. Chodzi o bandę Garlanda, która terroryzuje okolicznych ranczerów i dopuściła się już kilku morderstw.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Rufus Durfee, siadając za stołem prezydialnym, który w niedziele i święta służył za ołtarz; poniekąd był gospodarzem tego zebrania i jego głos liczył się podwójnie. - Ustalmy jakiś porządek obrad. Oskarżamy obecnego tu pastora, że współżył cieleśnie z kobietą o nadszarpniętej reputacji. Czy ktoś z obecnych może przedstawić dowody jego winy?

- Opuścili Hanging Tree niemal równocześnie, a po kilku tygodniach wrócili na jednym koniu - wykrzyknęła Lavinia. - Nie wiem, co wy o tym sądzicie, ale mnie nie potrzeba lepszego dowodu.

Rozległ się ogólny pomruk, który stopniowo przerodził się w głośne rozmowy. Jasny Nefryt poczuła, że pałą ją policzki, jakby ktoś smagał je żywym ogniem. Ale starała się trzymać głowę wysoko, walcząc ze wstydem i upokorzeniem. To wszystko była jej wina. To ona doprowadziła, obojętnie - świadomie czy nieświadomie, do tej sytuacji.

Rufus Durfee kilkakrotnie uderzył młotkiem o blat stołu. Poskutkowało. Gwar przycichł.

- Uważam, że należy dopuścić teraz do głosu pastora. A potem każdy zagłosuje zgodnie z własnym przekonaniem.

Ale zanim Nevada zdążył otworzyć usta, przed zgromadzeniem pojawił się szeryf we własnej osobie. Jego policzki okrywał dwudniowy zarost, a na ubraniu miał grubą warstwę kurzu. Popatrzył po twarzach spod ściągniętych brwi.



- Jestem rad, że mogę wam oświadczyć, iż bandyci nie będą już więcej terroryzowali naszej okolicy.

Nastąpiła chwila zdumionego milczenia, a zaraz po niej brawa, gwizdy i okrzyki.

- Dziękujemy, szeryfie - powiedziała Lavinia, czując się upoważnioną do wyrażania myśli i uczuć obecnych na sali osób. - Wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy dumni z szeryfa, który uchronił nas przed przemocą i zbrodnią.

- Rzecz w tym, pani Thurlong, że nie jest to moja zasługa. Ja tylko odnalazłem i zidentyfikowałem ciało, kierując się wskazówkami otrzymanymi z ust wielkiego Westona.

- Ciało? A zatem byli już martwi? - zapytał ktoś z ostatniego rzędu.

- Myślę - odparł przedstawiciel prawa - że najlepiej będzie zapytać o wszystko pannę Jewel. Niechaj opowie nam, jak została porwana i jak zdołała uwolnić się z rąk bandytów.

Wszyscy jak na rozkaz odwrócili głowy. Teraz z kolei ona, Jasny Nefryt, stała się przedmiotem ich wrogiego zaciekawienia.

- Przynajmniej jedno jest pewne - rozległ się jakiś męski głos. - Bandyci nie mogli zabrać jej czegoś, co już dawno straciła.

Z kilku ust wydobył się rubaszny rechot, po czym posypały się dalsze tego typu uwagi i uszczypliwości. Jasny Nefryt zdumiała się faktem, że skądinąd porządni, zacni i uczciwi ludzie potrafią być w pewnych okolicznościach tak okrutni.

Świetlisty Diament chwyciła siostrę za ramię.

- Ani minuty dłużej nie będziesz zaszczycała tego zgromadzenia swoją obecnością. Wracamy do domu.

- Nie. - Jasny Nefryt uwolniła rękę. Machinalnie poprawiła fałdy szaty, po czym z dumnie podniesioną głową wyszła przed zgromadzenie i stanęła przy Nevadzie.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Myślę, że nadszedł czas opowiedzenia wam o wszystkim, co zaszło do tej pory pomiędzy mną a wielebnym Westonem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jasny Nefryt modliła się w duchu, żeby nie zawiódł jej głos. Równocześnie wiedziała, że jeśli ludzie, na których patrzyła, spodziewają się usłyszeć z jej ust intymne szczegóły romansu, to będzie musiała ich rozczarować. Jeżeli natomiast nastawieni są na prawdę, obojętnie, czego ta prawda ma dotyczyć, to zostaną w pełni usatysfakcjonowani.

Zwilżyła wargi, po czym w możliwie prostych słowach opowiedziała o ataku na dyliżans, bestialskim zamordowaniu woźnicy i uwięzieniu jej do stojącej na odludziu chaty.

- To wielebny Weston uratował mi życie. Gdyby nie rozpoznał moich bagaży, które zostały w dyliżansie, i nie podążył śladem bandytów, nie widzielibyście mnie w tej chwili przed sobą.

- To nie wyjaśnia jeszcze podstawowej kwestii, jakim cudem kaznodzieja znalazł się na miejscu napadu - odezwała się Lavinia. - Ani co sprawiło, że duchowna osoba miała przy sobie broń. Wszystko, co tu usłyszeliśmy, jest pełne luk, niedopowiedzeń i nieścisłości.

- Zgadzam się z panią, pani Thurlong - zabrał

głos Nevada. - Przyrzekłem powiedzieć wam prawdę i dotrzymam słowa. Otóż tą prawdą jest, że przed laty należałem do bandy, znanej później pod nazwą bandy Garlanda.

W jednej chwili na sali zapanował nieopisany tumult. Jedni krzyczeli, inni ciskali przekleństwa, a znaleźli się nawet i tacy, którzy wyciągnęli rewolwery i wycelowali je w pierś Nevada.

Szeryf Regan uznał, że musi interweniować.

- Tylko niech nikt nie odważy się pociągnąć za spust! - ryknął groźnie. - Mierzycie do bezbronnego człowieka i każdy, również przypadkowy strzał zakwalifikuję jako próbę zabójstwa z premedytacją. Natychmiast schowajcie broń.

Niechętnie i z szemraniem, zastosowano się jednak do tego wezwania.

A kiedy pierwsze emocje minęły i zrobiło się w miarę cicho, szeryf dodał:

- Proszę mówić dalej, pastorze.

- Jak już powiedziałem, byłem członkiem bandy - podjął Nevada. - Skończyło się na tym, że zostałem skazany na pięć lat więzienia, które odsiedziałem co do dnia.

I znów rozległy się przekleństwa i krzyki, choć tym razem obyło się bez wyciągania broni.

- Sądzę, że usłyszeliśmy przed chwilą coś, co w pełni tłumaczy nasz gniew, nasze oburzenie i naszą pogardę! - krzyknęła Lavinia Thurlong. - To nie jest pastor, który zboczył ze ścieżki prawdy i uczciwości. To oszust, który podszywał się pod kaznodzieję. Szar-

latań i wydrwigrosz. A my w swojej naiwności wierzyliśmy mu. Uczynił z nas głupców. Pozbądźmy się go jak najprędzej! Wypędźmy go z miasta!

Gladys i inne kobiety namiętnie wsparły Lavinie i tłum jął domagać się natychmiastowego głosowania.

Jednak nie doszło do niego za sprawą wdowy Purdy. Wsparta na ramieniu córki, z drugiej zaś strony podtrzymywana przez doktora Prentice'a, weszła na salę i skierowała się wprost ku prezydialnemu miejscu, gdzie usadowiono ją w jedynym stojącym tam fotelu, zaś córka obłożyła ją poduszkami i nakryła grubym pledem.

- Mama wstała z łóżka i kazała się tu przywieźć - powiedziała Martha drżącym głosem. - Doszła bowiem do wniosku, że powinna odłożyć swoje spotkanie ze Stwórcą do chwili, gdy sprawa wielbnego Westona zostanie do końca i uczciwie wyjaśniona.

- Kochamy i szanujemy wdowę Purdy - wykrzyknęła Lavinia Thurlong - ale jest szczytem naiwności żywić jeszcze jakieś nadzieje na oczyszczenie z win tego oszusta.

- Czy mogę zabrać głos? - zapytał doktor Prentice, po czym sam go sobie udzielił: - Powiedziałem pani Purdy, że jeśli mam opierać się w ocenach na swej medycznej wiedzy, to nie daję jej najmniejszych szans na przeżycie tej podróży. A jednak widzicie ją żywą i przy zdrowych zmysłach. Stał się cud i mówi wam to człowiek, który nie wierzy w cuda.

- Zbliź się, młody człowieku - powiedziała staru-

szka, uśmiechając się do Nevady. - Zaslugujesz na to, żeby ktoś wreszcie wziął cię w obronę.

Nevada zawahał się, po czym zbliżył się do fotela.

- Sam nie wiem, czy zasługuję, pani Purdy. Przykro mi, że naraziła się pani z mojego powodu na trudy podróży. Oby ten piękny gest i to poświęcenie z pani strony nie poszły na marne.

- Ani słowa więcej. Chcę, żebyś słuchał.

- Nie zrozumiała mnie pani. Nie zasługuję...

Uciszyła go podniesieniem ręki.

- Słuchaj, a wy słuchajcie razem z nim. To, co zamierzam powiedzieć, jest naprawdę ważne. Zapytałeś mnie raz, pastorze, czy kiedykolwiek powieszono w tej okolicy niewinnego człowieka. Odpowiedziałam ci, że nic takiego się nie wydarzyło. Skłamałam. A przecież nie pójde na spotkanie ze Stwórcą z tą zmałą na sumieniu.

Rozległo się jakby zbiorowe westchnienie, po którym zapadła idealna cisza. Nikt nie chciał uronić ani jednego słowa z tego, co zamierzała powiedzieć wdowa Purdy.

- Zapytałeś mnie też o ranczera o nazwisku Jessie Simpson, a ja ci odrzekłam, że nie przypominam sobie nikogo takiego. Tymczasem prawda wygląda całkiem inaczej. Wszyscy starzy mieszkańcy Hanging Tree i okolic pamiętają Jessie'ego. Powieszono go za zbrodnie nie przez niego popełnione.

Jasny Nefryt zauważyła, że Nevada zmienił się na twarzy. Zacisnął szczęki, pobladł, utkwiał spojrzenie w zwiedłych wargach starej kobiety.

Wdowa Purdy powiodła wzrokiem po twarzach. Wszystkich tu znała i wszyscy ją znali.

- Jessie Simpson miał niewielkie ranczo w pobliżu rozległych posiadłości Onyxa Jewela. Nasz dawny szeryf Handley aresztował Jessie'ego pod zarzutem zamordowania sąsiada, takiego samego drobnego ranczera, jak Simpson, i zagarnięcia części jego bydła. Jessie zaklinał się na wszystkie świętości, że nie ma z tym nic wspólnego. Błagał, żeby szeryf przeszkodził jego ranczo i wycofał oskarżenie.

- I jak? Szeryf znalazł ukradzione bydło na pastwiskach Simpsona? - zapytał lekarz, który żywo interesował się krótką historią tych stron.

- Ani jednej sztuki. Ale to niczego nie mogło już zmienić. Wie pan, doktorze, to nie było pierwsze morderstwo ani nie była to pierwsza kradzież bydła i ludzie za wszelką cenę chcieli mieć winnego. Dyszeli żądzą zemsty. Ktoś więc powiedział, że Jessie mógł ukryć skradzione bydło w jednym z wozów, których tu nie brakuje, i wszyscy się tego uczepili. Dla rozwścieczonych ranczerów dowodem winy Jessie'ego była zarżnięta krowa, którą znaleziono kilometr od jego domu. Nie minął więc tydzień, gdy mimo że Jessie wciąż odpierał zarzuty, miasto doczekało się swojej okrutnej rozrywki - niedzielnego pikniku pod szubienicą. Przyjechali ranczerzy nawet z dalszych okolic. Jedynymi osobami, które nie brały udziału w powszechnej wesołości, byli najbliżsi Jessie'ego. Wszakże zmuszono ich, to znaczy żonę i nieletnie dzieci, by obejrżeli to okropne widowisko.

Po słuchaczach przeszedł dreszcz zgrozy. Nawet Lavinia, z natury szybka w karaniu i rzucaniu oskarżeń, siedziała cicho z pobladłą twarzą.

Tymczasem wdowa Purdy nie spuszczała wzroku z twarzy Nevady.

- Jakies dwa tygodnie po egzekucji Jessie'ego zamordowany został kolejny ranczer, a jego bydło znikło z pastwisk. Miesiąc później wydarzyło się jeszcze jedno morderstwo i wtedy już musieliśmy spojrzeć prawdzie w oczy. Wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów wskazywało w tej serii zabójstw i kradzieży na tego samego sprawcę. To zaś oznaczało, że my, tak do tej pory dumni z własnej nieposzlakowanej uczciwości, skazaliśmy na śmierć niewinnego człowieka.

- Tego do końca nie można być pewnym - rzuciła Lavinia Thurlong.

Szeryf spiorunował ją spojrzeniem, po czym zapytał:

- Czy Hanging Tree w osobach swych reprezentantów powiadomiło o pomyłce rodzinę Simpsona i próbowało w jakiś sposób zadośćuczynić poniesionej przez nią stracie?

- Uznano, że jest już za późno. Jessie umarł, został pogrzebany i nic go już nie mogło wrócić do życia. Wdowa po nim, dość młoda jeszcze kobieta, przeniosła się do innego stanu. Mówiono, że zabrała ze sobą młodsze dzieci, najstarszego zaś chłopca pozostawiła własnemu losowi.

Serce Jasnego Nefrytu na moment zamarło. Znała



już tę historię. Usłyszała ją z ust Nevady, ale on przemilczał najistotniejszy fakt - że jego ojciec zakończył życie na szubienicy. I że on, ośmioletni chłopaczek, został zmuszony przez dorosłych ludzi do przyglądania się konaniu w mękach swego rodzzonego ojca.

- Czy schwymano w końcu i osądzono prawdziwego mordercę? - zapytał doktor Prentice.

Wdowa potrząsnęła głową.

- Wszyscy podejrzewali Tuckera Branda, ranczera, który mieszkał samotnie w niewielkiej chacie wśród wzgórz.

- A co z szeryfem? - dopytywał się dociekliwy lekarz. - Przeprowadził jakieś śledztwo? Przebadał tego Branda?

Stara kobieta ciężko westchnęła.

- Nasz szeryf był już w latach. Nadchodziła zima. Nic nie mogło go zmusić do zapuszczenia się w kręte i niebezpieczne wąwozy i wezwania Tuckera do oddania się w ręce prawa.

- Czy mamy przez to rozumieć, że nikt nie powstrzymał zabójcy i nie położył kresu jego haniebnemu procederowi? - Lavinia wodziła wzrokiem po twarzach przyjaciół i znajomych, którzy siedzieli w absolutnej ciszy, jak zahipnotyzowani.

Wdowa Purdy zniżyła głos:

- Już na wiosnę, kiedy śniegi stopniały, odnaleziono Tuckera martwego, a jego chatę spaloną.

- Czy domyślano się, kto miał odwagę to zrobić? - zapytał lekarz.

Głos starej kobiety drżał, gdy udzielała odpowiedzi:

- Chodziły słuchy, że uczynił to chłopak Jessie'ego. Ale nie było żadnej pewności. Chłopak przepadł jak kamień w wodę i nigdy już tu się nie pojawił.

Jasny Nefryt zacisnęła dłonie, przemogła się i zadała wreszcie to swoje pytanie, które obracała w myślach już od kilku minut:

- Pani Purdy, a jak miał na imię ten chłopiec?

- Danny - odparła stara kobieta. - Danny Simpson.

Jakkolwiek było to tylko potwierdzenie prawdy dawno już poznanej, Jasny Nefryt cicho krzyknęła i zasłoniła usta dłonią.

Nevada się odwrócił. Ich oczy spotkały się i przez kilka chwil mówili sobie samymi tylko spojrzeniami rzeczy, o których żadna ze zgromadzonych na sali osób nie miała jeszcze najmniejszego pojęcia.

Stara kobieta znowu zabrała głos:

- Mieszkańcy Hanging Tree byli tym wszystkim tak głęboko zawstydzeni, że przyrzekli sobie nigdy już więcej nie wracać w rozmowach do tej sprawy. Podejrzewam, że wielu, nie mogąc znieść własnego upokorzenia, wyrzuciło ją nawet z pamięci. Płynęły lata, a nikt nie zbliżał się do rancza Simpsonów, jakby to było miejsce przeklęte, nawiedzane przez złe duchy. Yancy Winslow, który łatwo wpadał we wściekłość, pewnego dnia chwycił siekiere i ściał drzewo-zubienicę w nadziei, że pogrzebał tym raz na zawsze haniebną tradycję. Mylił się. Następne pokolenie,

które nie znało przeszłości, postawiło swoją własną szubienicę. A ja w głębi duszy zapytywałam siebie, czy gdybyśmy przerwali tę znowę milczenia, uratowalibyśmy tym życie jakiegoś nieszczęśnika. Ale do dnia dzisiejszego żadne usta nie zająknęły się o Simpsonie i jego biednej rodzinie.

- Jesteśmy wdzięczni pani za przypomnienie nam tamtych bolesnych wydarzeń, pani Purdy - powiedziała Lavinia Thurlong. - Niewątpliwie nad Hanging Tree ciąży jak gdyby grzech pierworodny. Tylko proszę nam powiedzieć, jaki to ma związek z tą dzisiejszą sprawą?

- Nie widzi pani? Nie domyśla się? - Wdowa Purdy przez chwilę walczyła o oddech. - Nazywamy samych siebie uczciwymi ludźmi, pełnymi bojaźni Bożej. Rościmy sobie prawo do moralnego osądzania i prawnego sądzenia innych. Ale pewnego dnia to my będziemy sądzeni. Więc kiedy to mnie przyjdzie stanąć przed Najwyższym Trybunałem, będę błagała nie o sprawiedliwość, tylko o litość i łaskę.

Wyciągnęła drżącą starczą rękę ku stojącemu w pobliżu Nevadzie.

- Ufam, że okażesz miłosierdzie tym, którzy skrzywdzili ciebie i twoich najbliższych.

Nevada milczał.

- Czyż myślisz, że nie wiem, kim jesteś?

Większość słuchaczy wciąż pogrążona była w głębokiej zadumie, lecz do niektórych dotarł już sens zasłyszanych słów i ci zaczęły szeptać pomiędzy sobą.

Nevada potrząsnął głową.

- Miałem tylko osiem lat.  
- Ale okoliczności sprawiły, że prędko stałeś się mężczyzną. - Uścisnęła mu dłoń. - Tak mi przykro, Danny.

- Danny? - Lavinia nie posiadała się ze zdumienia. - To ma być syn powieszzonego ranczera?

- Patrzycie na niego. - Wdowa Purdy miała łzy w oczach. - Bóg jeden wie, co musiał przecierpieć z powodu naszej pomyłki. Obyś znalazł w swym sercu moc przebaczenia, Danny.

Ale Lavinia miała inny obraz rzeczy.

- Błagać go o przebaczenie to zapominać o jego własnych winach. Przecież należał do bandy, która kradła, mordowała, siała strach, wyciskała łzy z oczu niewinnym ludziom. A czyż nie oszukał nas, przybывая tu pod fałszywym nazwiskiem? Całe jego życie to jedno wielkie kłamstwo. A czy wiemy, z kim był i co porabiał w ciągu tych ostatnich kilku tygodni? Możemy się tylko tego domyślać.

- Więc ja domyślam się - powiedziała wdowa Purdy - że spędził ten czas z osobą, która była balsamem na jego duchowe rany. Bóg sprowadził go tutaj na czas, żebym zdążyła jeszcze wyznać mu swoje winy. A jeśli Danny wybaczy mi, umrę z uśmiechem szczęścia na twarzy.

- Pani Purdy, tu nie ma nic do wybaczenia - powiedział Nevada.

- Ależ jest, synu. Zawiniłiśmy straszliwie wobec ciebie i twojej rodziny.

- Z kolei ja zawiniłem wobec was wszystkich.

Pismo mówi, że dokąd nie przyznamy się do własnych błędów i nie wyrazimy skruchy, jesteśmy skazani na ich powtórzenie. Skoro pani Purdy powiedziała już wszystko, co gnębiło ją od dziesiątków lat, skorzystam z okazji i zrzucę ciężar, który mnie przytłacza. Rzadko się zdarza, by ośmioletnie dziecko potrafiło nienawidzić. Lecz ja nienawidziłem. Nie tylko mieszkańców tego miasteczka, lecz również Tuckera Branda, który kradł i mordował i przez którego zawisł na sznurze mój ojciec. Ale zbrodnie Tuckera na tym się nie kończą. Gdy zostaliśmy bez męskiej opieki, wyklęci i napiętnowani, Tucker pojawił się na naszym ranczu i zgwałcił moją matkę. To dlatego wyjechała z pierwszym napotkanym mężczyzną, który się nią zainteresował. I dlatego nie wzięła mnie ze sobą. Byłem świadkiem jej wstydu i hańby. Za każdym razem gdy spojrzała na mnie, przypominała sobie tamtą chwilę strasznego poniżenia.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, aż dźwięczała w uszach. Wielu słuchaczy pozwieszało głowy, wstydzając się spojrzeć na sąsiadów.

Jasny Nefryt czuła się wręcz chora. Przepęłniała ją bezmierna litość dla tego chłopca, któremu nikt nie podał pomocnej ręki, kiedy zawalił się cały jego świat; i dla tego mężczyzny, który wciąż był sam wobec całego miasta.

- Uważam - powiedział doktor Prentice - że powinniśmy zwrócić się do pastora z gorącą prośbą o wybaczenie i zapomnienie tej niegodziwości, jakiej dopuściła się wobec niego i jego najbliższych społe-

czność Hanging Tree. Ja ze swej strony stawiam wniosek, żeby wielbny Weston... Simpson pozostał nadal na czele naszej gminy wiernych.

- Ależ nie możemy popadać z jednej skrajności w drugą! - wykrzyknęła Lavinia Thurlong. - To, co usłyszeliśmy, bynajmniej nie zmienia sedna sprawy. Stoi przed nami człowiek, który głosi pokój, a praktykuje gwałt.

- Pani Thurlong ma rację - powiedział Nevada. - Sądziłem, że uda mi się raz na zawsze zerwać z moją przeszłością. Ale gdy zobaczyłem, że moja dawna banda zamordowała woźnicę i porwała pannę Jewel, moja mała duszyczka nie była w stanie oprzeć się na samej tylko wierze i ufności w dobroć Pana. Uciekłem się do przemocy, bo tylko przemoc, wiedziałem to, wzbudzała w moich przeciwnikach, a dawnych towarzyszach, lęk i szacunek.

- Jeżeli to ma być przestępstwo - odezwał się, sapiąc, szeryf Regan - to ja również jestem przestępcą. Niewiele wiem o kaznodziejstwie, lecz trochę wiem o kryminalistach i przemocy. I potrafię wyobrazić sobie dalszą działalność bandy w naszej okolicy, gdyby nie zapobiegła temu okrutna i bezlitosna, a przecież czasem tak bardzo potrzebna broń. Gdyby nasz pastor, nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu, nie pozabijał ich, kto wie, ilu z nas stałoby się kolejnymi ofiarami. Uważam, że nasze miasto ma u pastora poważny dług do spłacenia. Więc mam nadzieję, że pójdziemy za wnioskiem doktora i w głosowaniu opowiemy się za pastorem.

- Pragnę, żebyś pozostał, pastorze - powiedziała wdowa Purdy. - Nie proszę z myślą o sobie, choć słodko byłoby mieć cię przy sobie, gdy będę żegnać się z tym światem. Proszę dla dobra tych, którzy pozostaną - mojej córki, moich przyjaciół i sąsiadów. Mam nadzieję, że to miasto porzuci swój niechętny do ciebie stosunek i przyjmie cię na powrót z otwartymi ramionami. Moim zdaniem, stałeś się człowiekiem pełnym miłości i współczucia, a czegoż więcej można żądać od pastora.

- Całkowicie się zgadzam z wdową Purdy - zabrał głos doktor Prentice. - Pastor postępował z nami uczciwie i szlachetnie. Wątpię, by każdy z nas mógł tak wysoko ocenić swoje własne uczynki.

Jeszcze Lavinia chciała coś powiedzieć, lecz Rufus Durfee uderzeniem młotka oznajmił, że rozpoczyna głosowanie. Ręce unosiły się w górę jedna po drugiej. Millie Potter, jej córki, Rufus Durfee, jego synowie, szeryf, doktor Prentice, Farley Duke, Samuel Fisher, jego żona - wszyscy oni głosowali na korzyść Nevada, a w ich ślady poszło całe miasto.

Lavinia i Gladys wymieniły spojrzenia i z lekko zaczerwienionymi twarzami dołączyły do pozostałych. Miasto zagłosowało jednomyślnie.

Rufus z uśmiechem oświadczył:

- Wydaje się, pastorze, że masz tu paru przyjaciół. Wszyscy jak jeden mąż życzą sobie, żeby wielbny Wadę Weston, chciałem powiedzieć: Danny Simpson, był w dalszym ciągu ich przewodnikiem duchowym.

Wdowa Purdy uścisnęła rękę Nevadzie, a doktor Prentice i szeryf Regan poklepalili go po plecach.

Jasny Nefryt czuła się lekka jak piórko.

- I co? Wierzysz teraz w cudowne odmiany losu?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zasypano go ze wszystkich stron gratulacjami.

A potem zdumiał wszystkich, podnosząc rękę i prosząc o uwagę.

Ludzie wrócili na swoje miejsca, a on powiedział:

- Daliście mi dowód zaufania i przyjmuję go jako dar prawdziwie bezcenny. Wdzięczność za tę chwilę już na zawsze pozostanie w moim sercu.

- Mówisz, pastorze, jakbyś chciał nas opuścić - zauważyła wdowa Purdy.

Kiwnął głową.

- Obawiam się, że tak musi być.

Spojrzał na Jasny Nefryt i pomyślał, że wygląda jak zraniona łania. Musiał przywołać na pomoc całą swoją wolę, żeby nie doskoczyć do niej i nie przygarnąć do piersi. Jego słowa sprawiły jej ból. Ale tylko tak mógł postąpić. Musiał uciąć pewien wątek swojego życia szybko i zdecydowanie. Tak właśnie, jak zrobił to w San Francisco.

- Przykro mi, że wszystko to nie będzie miało żadnych praktycznych następstw. Zanim doszło do głosowania, nie zapytaliście mnie, czy chcę pozostać.

- To z powodu tego, co się stało w dalekiej przeszłości, prawda? - zapytała wdowa Purdy. - Nie możesz nam wybaczyć tamtej okrutnej pomyłki.

Pokręcił głową.



- Przeszłość pozostawiłem za sobą i musicie w to uwierzyć. Zanim wyjadę, prosiłbym o pewną uprzejmość.

Hałas, który wzrastał się od pewnego czasu, nagle zaczął przycichać.

Nevada rzucił krótkie spojrzenie na Jasny Nefryt.

- Mam nadzieję, że zawsze pozostaniecie odrębnymi osobami, a nigdy tłumem, którym rządzą zbiorowe instynkty i emocje. Dlatego ośmielam się prosić, żebyście dobrze traktowali pannę Jewel, jakkolwiek zdaję sobie sprawę, że nie akceptujecie i nie możecie zaakceptować jej planów związanych z domem, który zbudowała.

- Tego już za wiele! - wykrzyknęła Lavinia, zrywając się na równe nogi. - Próbuje pan wykorzystać naszą życzliwość, by chronić tę... tę kobietę?

Kiwnął głową.

- Tak jak próbowałbym ją wykorzystać, żeby ochronić ciebie, Lavinio, gdybyś potrzebowała takiej ochrony.

- Przeniósł wzrok na szeryfa. - Szeryfie, pozostawiam pannę Jewel pod pana opieką, chociaż wiem, że i pan niechętnym okiem patrzy na ten budynek.

- Proszę na mnie liczyć, pastorze.

Nevada rozpogodził się, ukłonił całemu zgromadzeniu i ruszył ku drzwiom. Ludzie, których mijał, ściskali mu ręce i życzyli wszelkiej pomyślności. Klepano go po ramionach i plecach. Szedł wśród uśmiechów, wyrażających sympatię i życzliwość.

Na dworze czekał osiodłany koń. Nevada dosiadł go i zebrał cugle.

Z baraku wybiegła Jasny Nefryt.

- Odjeżdżasz bez słowa pożegnania? - wykrzyknęła zdławionym głosem.

- Uznałem, że tak będzie najlepiej. - Och, jak on bardzo w tej chwili siebie nienawidził! - Żegnaj, Jasny Nefrycie. Życzę ci szczęścia.

Ruszył z miejsca szybkim kłusem. Przesłonił go tuman kurzu.

Jasny Nefryt opuściła ręce. Poczowała się nędzarką. Oto utraciła coś, co od niedawna stanowiło całą treść jej życia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Od zachodu zbliżały się groźne pomruki burzy. Niebo nad horyzontem co chwila stawało w ogniu błyskawic.

Nevada ponownie ogarnął spojrzeniem niewielką izbę, w której żaden mebel nie był cały, a popękana kuchnia ziała czarnymi wystygłymi paleniskami. Zawitał tu po raz ostatni. Umyślił sobie, że właśnie w tym miejscu rozstanie się ostatecznie z własną przeszłością i zwróci się cały ku przyszłości.

Ale najpierw trzeba było ogrzać wnętrze, gdyż od klepiska ciągnęło nieprzyjemnym wilgotnym chłodem.

Naznosił więc drew i rozpałił w kominie. Ogień ożywił izbę i uczynił ją przytulniejszą.

Nevada wciąż nie mógł uwierzyć, że właśnie wyrzekł się czegoś, co cenił najbardziej i czego najbardziej pragnął w życiu. Wszystko to zostało w małym miasteczku o nazwie Hanging Tree. Tam dzisiaj za sprawą wdowy Purdy jego nazwisko, to, które miał po ojcu, oczyszczone zostało z hańby. Tam w rezultacie głosowania, w którym wzięli udział prawie wszyscy mieszkańcy, odzyskał społeczny prestiż oraz

szacunek dla samego siebie. Tam wreszcie została kobieta, którą umiłował.

Kobieta, którą umiłował.

Ból, jaki nagle przeszył mu serce, zmusił go do zamknięcia oczu. Sytuacja ich dwojga nie mieściła się w żadnym typowym schemacie. Duchowny i właścicielka burdelu. Chrześcijanin i osoba wyznająca kult zmarłych. Ale jeszcze bardziej dręczyła go myśl, jak zdoła ułożyć sobie przyszłość bez Jasnego Nefrytu.

Przez całe życie bolał nad utratą rodziny. I jakkolwiek wprost nie przyznawał się do tego przed sobą, Jasny Nefryt w jego marzeniach pojawiała się nie jako kochanka, tylko jako kobieta, z którą mógłby założyć rodzinę. Ukochana żona, piękne dzieci, zadbane dom... Oczywiście były to marzenia ściętej głowy, rojenia człowieka, który doświadczył chłodu samotności.

Więc jak właściwie widział dalsze swoje życie? Po prostu będzie wędrownym kaznodzieją i może po latach osiadzie gdzieś na stałe. To była służba, do której czuł się powołany. Nikt nie rozumie lepiej bólu, gniewu i uzdrawiającej mocy przebaczenia, niż człowiek, który za swoje błędy zapłacił tak wysoką cenę. Jasny Nefryt była mieszkanką odrębnego świata. Potrafiła uzdrawiać w całkiem innym znaczeniu.

Dorzucił drew do ognia, a właściwie cisnął je w ogień, wzniesając chmurę dymu i iskier. Błysnęło i zagrzmiało. Usłyszał pierwsze krople deszczu.

Powinien był nie zsiadać z konia, aż przekroczyłyby granicę Teksasu. Zatrzymanie się tutaj było błędem.

To miejsce budziło zbyt wiele bolesnych wspomnień. Rozdrapywało zagojone już rany. Napełniało niepokojem, którego w żaden sposób nie umiał zdefiniować. Tutaj czuł się prawdziwie bezbronny.

Podniósł głowę. Jął uważniej nasłuchiwać. To, co w pierwszej chwili wziął za krople deszczu, okazało się innym dźwiękiem. To nie był deszcz. To był odgłos toczącej się po nierównym gruncie bryczki, pomieszany z tętentem końskich kopyt.

Rzucił się do okna i wyrżał na dwór. W szarawym świetle, jakie słało na ziemię zachmurzone niebo, zobaczył smukłą kobiecą postać, która biegła od bryczki w stronę chaty.

Minęła krótka chwila i Jasny Nefryt wpadła do izby, zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami.

Dyszała. Miała potargane od wiatru włosy i spryskaną deszczem szatę. Na szczęście zdążyła przed właściwą ulewą, której szum zaczynał właśnie narastać na dworze.

- Powinnaś była domyślić się, że coś cię łączy z tą chatą - powiedziała, łapiąc oddech. - Pamiętam wyraz twojej twarzy, kiedy zajechaliśmy tu po raz pierwszy. Jak ty pieściłeś wzrokiem każdy przedmiot, choćby to był tylko wyszczerbiony garnek czy krzesło, na którym strach usiąść. Ale dopiero po twoim odjeździe zaczęłam kojarzyć i nagle wszystko zlało się w jedną spójną całość.

- Nie powinnaś była przyjeżdżać. - Wciąż stał przy oknie, po prostu bojąc się zbliżyć do niej. Wąt-

pił, by po czymś takim starczyło mu jeszcze siły woli niezbędnej do wytrwania w decyzji opuszczenia tych stron. - Już przecież się pożegnaliśmy.

- Nie. - Zgarnęła dłonią włosy z policzków. - To ty pożegnałeś się ze mną.

Wciąż jeszcze nie mogła zapanować nad nerwami. Tak strasznie się bała, że nie zostanie go tutaj. I tak strasznie się bała, choć w innym trochę znaczeniu, widząc go przed sobą.

- Coś wydarzyło się minionej nocy - podjęła. - Coś niezmiernie istotnego. Gdy wszyscy poszli spać, wybrałam się do miasta. Jechałam z zamiarem zobaczenia się z tobą i przekonania cię, że jakkolwiek znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji, możemy z niej wybrnąć, byleby tylko kierowała nami ta sama wola i to samo pragnienie. Nagle jednak zachciało mi się najpierw sprawdzić, jak posuwają się prace przy budowie domu. I kiedy już tam byłam, ktoś złożył mi wizytę. Po tej wizycie, krótkiej zresztą, stałam się zupełnie inną osobą.

- Nie rozumiem.

- Może zaczniesz rozumieć, gdy powiem, że odwiedziła mnie Birdie Bidwell. Przyszła prosić o pracę.

Najpierw na jego twarzy odmalowało się zdumienie, ale zaraz znikło, ustępując miejsca gniewnemu oburzeniu.

- Ależ ona ma tylko...

- Wiem. Birdie jest dzieckiem. Dzieckiem, które rozpaczliwie pragnie zaradzić biedzie, w jaką popad-

ła jej rodzina. Uświadomiłam sobie, że nie mogę okazać się głucha na jej prośby. Po prostu nie leży to w mojej naturze.

- Chcesz powiedzieć, że Birdie będzie świadczyła wiadomego rodzaju usługi w tym twoim domu rozkoszy cielesnych? - Jego głos niczym się w tej chwili nie różnił od grzmotów za oknem.

Jasny Nefryt wykrzywiła wargi w tajemniczym uśmiechu.

- Mówisz, że opuszczasz Hanging Tree. Ale chyba tylko cieleśnie, skoro los jego mieszkańców wciąż leży ci na sercu.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Zamierzasz zatrudnić Birdie?

- To zależy wyłącznie od ciebie.

- Wyrażaj się jaśniej.

Jasny Nefryt odchrząknęła.

- Pewnego razu Lavinia Thurlong powiedziała w mojej obecności, bo nigdy jeszcze nie zwróciła się do mnie wprost, że to, czego miasto potrzebuje najbardziej, to świątynia, a nie dom rozpusty. Nie lubię tej kobiety, ale w tej kwestii muszę przyznać jej rację. Dlaczegożby więc, skoro dom nie został jeszcze umeblowany, nie przeznaczyć go na ten cel? Oczywiście, jeśli ty nie miałbyś nic przeciwko temu.

Nie wierzył własnym uszom. Przemknęło mu przez głowę, że Jasny Nefryt stroi sobie z niego żarty.

- Zamierzasz przekazać mi ten budynek i zamienić go na świątynię?

- Dokładnie tak - odparła. - Ma się rozumieć, stawiam pewne warunki.

- Mianowicie?

- Chcę, żeby nad frontowymi drzwiami wisiał napis „Złoty Przybytek”.

- „Złoty Przybytek”? I uważasz, że to ładna nazwa?

- Ładna to ona może nie jest, aleja nie cierpię strat finansowych - rzekła z poważną miną. - Robotnicy zdążyli już umieścić pierwszy wyraz, a każda litera kosztuje.

- Rozumiem. - Chciało mu się śmiać, ale jakoś zachował względną powagę. - A nie przyszło ci do głowy, żeby po prostu zamalować ciemną farbą wiszące już litery?

Wzruszyła ramionami.

- Pomyśl, owszem, ciekawy, ale muszę się nad nim jeszcze zastanowić. A teraz kolejny warunek. Budynek jest duży, a ściślej mówiąc, największy w mieście. Na parterze obok salonu, który przemieniony zostanie w kaplicę, są inne pomieszczenia, które mogą służyć innym celom. Co byś powiedział o szkole? Albo instytucji charytatywnej?

- Mądrze pomyślane. Widzę, że jeśli już snujesz plany, to tylko na szeroką skalę. - Wciąż jakimś cudem udawało mu się zachowywać powagę. - Skoro więc ma być to duże przedsięwzięcie, to będę potrzebował kogoś do pomocy. Znasz kogoś, kto służyłby mi mądrą radą i znał się na sprawach finansowych?



Oderwała się od drzwi i postąpiła dwa kroki do przodu.

- Znam taką osobę - powiedziała z obojętną miną.  
- Kobieta, którą przygotowano do pełnienia posług.

- Problem w tym, czy jej wychowawcy mieli na myśli posługi pełnione w kościele.

Wzruszyła ramionami.

- Posługa jest posługą. Oczywiście, ona, to znaczy ta kobieta, też będzie potrzebowała kogoś do pomocy.

- Pomocy, powiadasz?

Jasny Nefryt kiwnęła głową.

- Birdie Bidwell bardzo dobrze gotuje i sprząta. A może są jeszcze inne młode dziewczyny w mieście, które marzą o stałej pracy. Pomyśl o nich i przy pierwszej okazji porozmawiaj z nimi.

- Masz bardzo praktyczny umysł, panno Jewel. Wygląda na to, że pomyślałaś dosłownie o wszystkim. Rzecz jasna, jest pewien problem, bo zawsze znajdzie się jakiś problem. Akceptuję kobietę, którą, jak powiedziałaś, wychowano do posług. Ale nie sądzę, żeby miasto zgodziło się na kaznodzieję z konkubiną. Rozumiesz, pastor musi świecić przykładem. Nie może anagażować się w nieoficjalny romans. Wynika stąd, że albo małżeństwo, albo nic.

- Och! - wykrzyknęła z niewinną miną. - Czyżbym zapomniała wspomnieć o ślubie?

- Chyba tak. Albo ja nie dosłyszałem przez te grzmoty.

Uczyniła kolejny krok, a potem następny. Po chwili

li była już przy ukochanym mężczyźnie. Podniosła rękę. Musnęła klapę jego surduta.

- Będziesz musiał ożenić się ze swoją pomocnicą. Jest to równie pewne jak to, że ma się w tej chwili na niepogodę. Innego rozwiązania nie zaakceptuje ta kobieta.

- Ta kobieta?

- Tak, ta kobieta. - Nareszcie uśmiech zakwitł na jej wargach.

- Opowiedz mi o niej trochę więcej. - Czuł się szczęśliwy. Bodaj pierwszy raz w swoim życiu.

- Wiem, że lubi dzieci. - Mówiła coraz szybciej i szybciej. - Chciałaby mieć całą ich gromadkę. Czworo lub pięcioro. Po prostu zanim się dowiedziała, że ma siostry w Teksasie, zbyt długo żyła w przeświadczeniu, że jest sama jak palec.

- Rozumiem. - Ośmielił się dotknąć opuszkami palców jej rozpalonych warg.

Przeszedł ją dreszcz. Spłynął po krzyżu od karku aż do stóp.

- Wiem, że może to wyglądać na zbyt dużą pedanterię i dzielenie włosa na czworo, ale chciałabym, żeby wszystko odbyło się zgodnie z odwiecznym zwyczajem. Zacie i przystojnie.

- Zacie i przystojnie - powtórzył, rozkoszując się każdą zgłoską.

Wielkie nieba, jak pojemne jest serce, skoro może pomieścić się w nim tyle miłości do jednej kobiety!

Zmierzyła go wyzywającym spojrzeniem.

- I co? Co teraz powinnam usłyszeć z twoich ust?  
Chwycił ją i namiętnie pocałował.

- Mam nadzieję - rzekła, łapiąc oddech - że są to oświadczenia?

- Są to oświadczenia, moje ty szmaragdowe kochanie.

- W takim razie najlepiej będzie, gdy wrócimy do miasta i powiadomimy wszystkich, że znowu mają swojego kaznodzieję. Kiedy odjeżdżałam, opłakiwali stratę. Zaoszczędzimy im w ten sposób łez.

Ponownie złączyli się w krótkim, gorącym pocałunku.

- Jutro na to wszystko też nie będzie za późno - powiedział, owiewając jej twarz ciepłym oddechem.

- Tylko posłuchaj, jak grzmi. I leje, jakby się otwarły wszystkie niebieskie upusty. Tylko desperaci podróżują w taką pogodę.

- Więc jesteśmy...

- Tak, jesteśmy skazani na spędzenie tutaj tej nocy.

W oczach Jasnego Nefrytu pojawiły się łzy. Były to jednak łzy szczęścia. Drogocenne klejnoty rozweselonej duszy.

- Danny Simpsonie, wynika z powyższego, że już nie opuścisz tych okolic i tych wszystkich życzliwych ci ludzi. Do końca życia będziesz z nimi związany. Albowiem potrzebujesz ich, tak jak oni potrzebują ciebie.

- Teksas był dla mnie krainą okrucieństwa, aż dziw, że odnalazłem w niej szczęście. Oby córka

Onyxa Jewela, który urodził się tutaj i wychował, miała tego szczęścia również w nadmiarze.

Przytulili się mocno do siebie i znieruchomieli w tej pozie. Goiły się dawne rany, piersi wzbierały radością, czas zdawał się nie istnieć.

## EPILOG

- Nefrycie - powiedziała rozkazującym głosem Różowa Perła - czy mogłabyś nie kręcić głową, dopóki nie skończę z twoimi włosami? - Trzymała w dłoni pęk polnych kwiatów, które wpinała w hebanowe pukle siostry; wyglądało to, jakby głowę Jasnego Nefrytu obsiadły różnokolorowe motyle.

- Przestań tak się wiercić, kochanie - odezwała się Gorący Rubin - bo jeszcze ukłuję cię igłą. - Po raz ostatni przewlekła igłę przez materiał, przegryzła nitkę, po czym cofnęła się i spojrzała krytycznym okiem na swoje dzieło - ślubna suknia leżała jak ulał.

- Nawet nie domyślacie się, co za wspaniałą weselną ucztę szykują nasze panie - powiedziała Świetlisty Diament, wpadając do pokoju. Nagle w pół kroku zatrzymała się i machnęła ręką. - A niech mnie! Prawie bym zapomniała. Jakiś człowiek czeka na korytarzu. Mówi, że koniecznie musi się z tobą widzieć, Nefrycie. I to natychmiast. Ale pouczyłam go, że pan młody zgodnie z obyczajem spotyka się z oblubienicą dopiero na ślubnym kobiercu.

- Och, ten Nevada - westchnęła Jasny Nefryt, a uśmiech szczęścia i dumy rozjaśnił jej twarz.

- Uważam, że musisz zacząć przyzwyczajać się do innego imienia - upomniała ją Świetlisty Diament. - Twój narzeczony ma na imię Dan. Powtarzam: Dan. Kto to pomyślał, żeby kaznodzieja nosił imię złoczyńcy.

- Masz całkowitą rację, siostrzyczko. Ale zakochałam się w Nevadzie, gdy miałam szesnaście lat, i w moim wnętrzu mój mąż już na zawsze pozostanie dla mnie Nevadą.

- Mam nadzieję, że to „zawsze” będzie trwało co najmniej sto lat - rozległ się męski głos i wielebny Simpson we własnej osobie wkroczył do pokoju.

- Ależ ci nasi mężczyźni są zdyscyplinowani - skomentowała to wtargnięcie Świetlisty Diament, lecz gdy spojrzała na młodą parę, w lot zrozumiała, że trzeba się wycofać. Dała znak siostrze i zostawiły narzeczonych samych.

Nevada patrzył na kobietę, która stała przed nim. Nie poznawał jej, gdyż patrzył na białą lilię, kwitnący krzew jaśminu, jodłę obsypaną śniegiem. Była tak niemożliwie piękna. Aż nie chciało się wierzyć, że jest ludzką istotą. Blask, jaki od niej bił, porażał i przypominał mistyczne doznanie.

- Czy goście już przybyli? - zapytała, zapłoniona jak róża.

- Całe miasto. Mignęła mi nawet Lavinia z córką Agnes. Wynika stąd, że domy opustoszały i kury chodzą głodne po podwórzach.

Jasny Nefryt uśmiechnęła się.

- Żartujesz, a mimo wszystko wyczuwam w tobie pewien niepokój. Co się stało?

Wepchnął ręce w kieszenie spodni.

- Nie pojmuję sam siebie. Wygłaszałem kazania może sto, a może więcej razy. I zawsze byłem spokojny i opanowany. A dzisiaj będzie się wymagało ode mnie tylko kilku słów i cały się trzęsę. Jestem na nogach od świtu i co pięć minut powtarzam sobie swoje imię.

- To rozumiała. Miałaś tyle różnych imion. Więc jak mam się zwracać do ciebie: pastorce czy Dan? - Pogładziła go po ramieniu.

Słońce zajrzało przez okno i rozświetliło jego burztynowe oczy.

- A może - musnął wargami jej usta - zwracaj się do mnie po prostu „mój mężu”.

- Tego właśnie pragnę najbardziej - odparła z taką miłosną pasją, że aż zawrzała w nim krew.

Złączyli się w gorącym, namiętym pocałunku.

Drzwi uchyliły się i dobiegł ich uszu nagłący szept Świetlistego Diamentu:

- Goście zaczynają się niepokoić. Lepiej pośpieszcie się i zejździe na dół. Jeśli będziecie się tak całować, to dzieciaki rzucają się na te wszystkie ciastka i torty. Już je pałaszują oczyma.

- Za chwilę zejdziemy - odparł Nevada, lekko poirytowany tym ponaglaniem.

Gdy zaś Świetlisty Diament cofnęła głowę i zamknęła drzwi, dotknął czołem czoła narzeczonej i powiedział:

- Chciałem ci wyznać, Nefrycie, że wszystkie moje pragnienia...

Drzwi ponownie skrzypnęły, lecz tym razem pojawiła się w szparze głowa Gorącego Rubinu.

- Kochani, na pogaduszki ze sobą i pieśzcoty będziecie mieć całe życie. Musicie się pośpieszyć. Robotnicy zawiesili właśnie dzwon na szczycie budynku. Ciężko się naharowali i są głodni jak wilki. Grożą, że jeśli ceremonia zaraz się nie rozpocznie, to zsiądą do stołu, nie czekając na młodą parę.

- Chyba się nie przesłyszałem? Wspomniałaś coś o dzwonie. Jakim dzwonie, jeśli łaska? - zapytał Nevada.

Gorący Rubin nakryła usta dłonią.

- Ależ ze mnie papla. To miała być niespodzianka. Dzwon jest prezentem ślubnym od mieszkańców Hanging Tree. Ludzie chcą, żebyście tym dzwonem wzywali ich na nabożeństwa i różne inne zbiorowe imprezy.

Kiedy drzwi się zamknęły, Jasny Nefryt spojrzała na Nevadę i wybuchnęła śmiechem.

- Co tu śmiesznego? - zapytał, robiąc niepewną minę.

- Właśnie sobie wyobraziłam, jak ciagniesz za sznur od tego dzwonu. - Spoważniała. - Tak, Nevada, jako pastor będziesz musiał być do dyspozycji całego miasta. Wybrałaś zawód, który polega na zaspokajaniu pragnień wszystkich i każdego z osobna.

Zachnął się.

- Więc chociaż teraz niech mi pozwolą spędzić pięć minut sam na sam z narzeczoną!



- Są konieczności, którym musimy się poddać. Bądź co bądź, żyjemy wśród innych.

Westchnął z trochę udaną, trochę prawdziwą rezygnacją i podał jej ramię. Spojrzała na jego profil. Nevada właściwie nic się nie zmienił. Wciąż był tym samym przystojnym i tajemniczym mężczyzną, którego przed laty ujrzała w „Złotym Smoku”. Tylko teraz był jej. Należał do niej, ona zaś należała do niego.

Odwrócił ku niej twarz.

- Kocham cię, Nefrycie. Kocham cię całym sercem i duszą. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby twoje życie okazało się szczęśliwe.

Opuścili pokój i zeszli na dół po schodach. Powitano ich radosnymi okrzykami. Serce Jasnego Nefrytu przepełniało szczęście. Objęła wdzięcznym i kochającym spojrzeniem wszystkich zgromadzonych gości. A potem skupiła się już tylko na samej ceremonii. Gdy nadeszła chwila składania małżeńskiej przysięgi, Nevada wyjął z kieszeni złoty pierścionek z bursztynem.

- To jedyna cenna rzecz, jaką mam po ojcu - powiedział półgłosem, wsuwając pierścionek na jej palec. - Daję ci go wraz ze swoim sercem.

Spojrzała przez łzy na ów symbol miłości i wierności małżeńskiej.

- Mylisz się, mój mężu - wyszeptwała. - Twój ojciec podarował ci coś o wiele cenniejszego. Życie i nazwisko. Ażebyś żyjąc, przywrócił temu nazwisku czysty blask najzwyczajszej uczciwości, z którego zaślepieni ludzie je niegdyś odarli.

Pocałowali się i zapanowała ogólna wesołość.

Och, czcigodny ojcze, myślała Jasny Nefryt. Jesteś tu i patrzysz na moje szczęście. Zawsze zresztą byłeś przy mnie. Wiodłeś mnie drogami, których kresu nie znałam. I oto doprowadziłeś mnie do miejsca, gdzie mam wszystko, czego świadomie lub nieświadomie pragnęłam. Pracę, która daje zadowolenie. Czułą miłość trzech sióstr. I mężczyznę, który wyłonił się z moich marzeń i snów. Dziękuję ci, czcigodny ojcze, za twą szczodroblivość.

Jej opiekunka myliła się. Mężczyzna wcale nie musiał być wcielonym diabłem i wrogiem kobiety. Mógł być samą treścią jej duszy. Miłością całego jej życia.

Z Nevadą u swego boku gotowa była stawić czoło wszystkim przeciwnościom losu.

Albowiem miłość, prawdziwa i wierna, jest wałem obronnym, o który rozbijają się wszystkie nawałnice.